
TRAGEDIA PODCZAS ZJAZDU RODZINNEGO

Agata Christie

Strzały w Stonygates




WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

Agata Christie

Strzały w Stonygates

Przełożyła z angielskiego

Beata Długajczyk

Agatha Christie®

Herkules Poirot

Dorównaj sprytem sławnemu belgijskiemu detektywowi

A.B.C.	Poirot prowadzi śledztwo
Czarna kawa	Pora przyływu
Dwanaście prac Herkulesa	„Przyjdź i zgiń”
Entliczek pentliczek	Rendez-vous ze śmiercią
Karty na stół	Samotny dom
Kot wśród gołębi	Słonie mają dobrą pamięć
Kurtyna	Śmierć lorda Edgware’a
Morderstwo na polu golfowym	Śmierć na Nilu
Morderstwo w Boże Narodzenie	Śmierć w chmurach
Morderstwo w Mezopotamii	Tajemnica gwiazdkowego puddingu
Morderstwo w Orient Expressie	Tajemnicza historia w Styles
Morderstwo w zaułku	Tragedia w trzech aktach
Niedziela na wsi	Trzecia lokatorka
Niemy świadek	Wczesne sprawy Poirota
Pani McGinty nie żyje	Wielka Czwórka
Pierwsze, drugie... zapnij mi obuwie	Wigilia Wszystkich Świętych
Pięć małych świnek	Zabójstwo Rogera Ackroyda
Po pogrzebie	Zagadka Błękitnego Ekspresu
	Zbrodnia na festynie
	Zerwane zaręczyny
	Zło czai się wszędzie

Panna Marple

Rozwiązuj kryminalne zagadki z legendarną panną detektyw

4.50 z Paddington	Strzały w Stonygates
Hotel „Bertram”	Śmiertelna klątwa
Karaibska tajemnica	Trzyście zagadek
Kieszeń pełna żyta	Uśpione morderstwo
Morderstwo na plebanii	Zatrute pióro
Morderstwo odbędzie się...	Zwierciadło pęka
Nemezis	w odłamków stos
Noc w bibliotece	

Tommy i Tuppence

Wpadnij na trop z zabawną parą detektywów-amatorów

Dom nad kanałem	Tajemnica Wawrzynów
N czy M?	Tajemniczy przeciwnik
Śledztwo na cztery ręce	

Samodzielne powieści i zbiory opowiadań

Detektywi w służbie miłości	Pasażer do Frankfurtu
Dlaczego nie Evans?	Podróż w nieznaną
Dom zbrodni	Próba niewinności
Dopóki starczy światła	Rosemary znać pamięć
Godzina zero	Spotkanie w Bagdadzie
I nie było już nikogo	Świadek oskarżenia
Mężczyzna w brązowym garniturze	Tajemnica Białego Konia
Morderstwo to nic trudnego	Tajemnica lorda Listerdale’a
Niespodziewany gość	Tajemnica rezydencji Chimneys
Noc i ciemność	Tajemnica Siedmiu Zegarów
Pajęczyna	Tajemnica Sittaford
Parker Pyne na tropie	Tajemniczy pan Quin
	Zakończeniem jest śmierć

Dla Matthew Pricharda

I

Pani van Rydock z lekkim westchnieniem odsunęła się od lustra.

– No, teraz powinno być dobrze – oznajmiła. – Podobna ci się, Jane?

Panna Marple przyjrzała się kreacji od Lanvanellego z aprobatą.

– Uważam, że to bardzo ładna suknia – zapewniła z przekonaniem.

– Tak, jest bez zarzutu – powiedziała pani van Rydock, wzdychając ponownie. – Proszę pomóc mi ją zdjąć, Stefanio – dodała.

Stefania, starsza siwowłosa pokojówka o mocno zaciśniętych wąskich wargach, troskliwie pomogła swojej chlebodawczyni się rozebrać.

Pani van Rydock ponownie stanęła przed lustrem. Miała teraz na sobie atłasową halkę w kolorze brzoskwiowym i mocno zasznurowany gorset. Jej zgrabne nogi były obciążone cienkimi nylonowymi pończochami. Twarz, poddawana częstym masażom i pokryta warstwą dobrych kosmetyków, z daleka sprawiała wrażenie niemal dziewczęcej. Starannie ufryzowane włosy miały odcień lekko fioletowy. Patrząc na panią van Rydock, trudno się było doprawdy domyślić, jak wyglądałaby, gdyby nie te wszystkie zabiegi. Co tylko można zrobić dla urody za pieniądze, zostało uczynione. Do tego dochodziła jeszcze specjalna dieta, masaże i ćwiczenia gimnastyczne.

Ruth van Rydock popatrzyła na przyjaciółkę z szelmowskim uśmiechem.

– Jak myślisz, Jane, czy wielu ludzi powiedziałyby, że jesteśmy niemal równolatkami, ty i ja?

Panna Marple odpowiedziała zupełnie szczerze:

– Sądzę, że nikomu nie przyszłoby to do głowy. Obawiam się, że po mnie dokładnie widać, w jakim jestem wieku.

Panna Marple miała zupełnie białe włosy, różowiutką, nieco pomarszczoną twarz i jasnoniebieskie, porcelanowe oczy o niewinnym spojrzeniu. Wyglądała jak słodka, czarująca starsza dama. Natomiast Ruth van Rydock z pewnością nikt nie obdarzyłby tym mianem.

– Chyba masz rację, Jane – powiedziała pani van Rydock, krzywiąc się lekko. – Zresztą po mnie też już znać moje lata, tyle że w zupełnie inny sposób. Widząc mnie, ludzie zwykli mówić: „To zadziwiające, jak tej starej wiedźmie udało się zachować taką figurę”. I mają rację, jestem starą wiedźmą, a co gorsza, czuję się jak stara wiedźma.

Ciężko opadła na pokryty jedwabiem fotel.

– Dziękuję, Stefanio – zwróciła się do pokojówki – możesz już odejść.

Stefania zabrała suknię i oddaliła się.

– Poczciwa Stefania – ciągnęła Ruth van Rydock – służy u mnie już trzydzieści lat i jest jedyną osobą, która wie, jak naprawdę wyglądam... Jane, muszę z tobą pomówić!

Panna Marple pochyliła się trochę do przodu z wyrazem oczekiwania na twarzy. Stanowczo nie pasowała do krzykliwej, przeładowanej ozdobami sypialni drogiego hotelowego apartamentu. W skromnej czarnej sukni panna Marple w każdym calu wyglądała jak prawdziwa dama.

– Martwię się, Jane. Martwię się o Carrie Louise.

– Carrie Louise... – powtórzyła panna Marple w zamyśleniu. Dźwięk tego imienia sprawił, że jej myśli poszybowały daleko w przeszłość.

Szkolny internat we Florencji. Ona sama, rumiana dziewczyna z angielskiej szkoły klasztornej, i te dwie Amerykanki, Martinówny, które z powodu osobliwego akcentu, swobodnych manier i rozpierającej je energii były dla młodej Angielki obiektem fascynacji. Ruth, wysoka, pełna temperamentu, zachowująca się tak, jakby cały świat należał wyłącznie do niej, i Carrie Louise, niska, krucha, odrobinę nieśmiała.

– Kiedy widziałas ją po raz ostatni, Jane?

– Och, nie widziałyśmy się już całe wieki. Od naszego ostatniego spotkania upłynęło co najmniej dwadzieścia pięć lat. Oczywiście co roku wymieniamy życzenia bożonarodzeniowe.

Osobliwa była przyjaźń, która połączyła ją, młodziutką Jane Marple, i obie Amerykanki. Oczywiście ich drogi szybko się rozeszły, ale dawne więzy pozostały. Listy, wymiana życzeń świątecznych i urodzinowych. Dziwne, ale to właśnie Ruth, której dom – albo mówiąc dokładniej, wiele domów – znajdował się w Ameryce, stała się tą z sióstr, z którą widywała się częściej. Chociaż może nie było to wcale takie dziwne. Jak większość Amerykanek z jej sfery, Ruth była prawdziwą kosmopolitką. Niemal co roku przyjeżdżała do Europy. Pojawiała się w Londynie, odwiedzała Paryż, spędzała jakiś czas na Riwierze i wracała do domu. I zawsze szukała okazji, by móc zobaczyć się ze starą przyjaciółką. Obecne spotkanie było jednym z wielu. Umawiały się to w „Claridge”, to w „Savoyu”, czasami spotykały się w hotelu „Berkeley”, innym razem w „Dorchester”. Wytworny wspólny posiłek, popołudnie spędzone na miłych wspomnieniach, wreszcie czułe, pośpieszne pożegnanie. Ruth nigdy nie znalazła dość czasu, aby odwiedzić swoją przyjaciółkę w St Mary Mead, zresztą panna Marple nawet tego od niej nie oczekiwała. Życiem każdego człowieka rządzi odmienne tempo. Tempem Ruth było presto, podczas gdy panna Marple zadowalała się adagio.

Tak więc częściej widywała się z mieszkającą w Ameryce Ruth, podczas gdy z Carrie Louise, która mieszkała w Anglii, nie spotkała się już od ponad dwudziestu lat. I chociaż mogło się to wydawać dziwne, w gruncie rzeczy nie było w tym nic nadzwyczajnego. Mieszkając w tym samym kraju, człowiek nie stara się organizować jakichś specjalnych spotkań z przyjaciółmi, zakładając, że prędzej czy później i tak do tego dojdzie. Tymczasem w życiu często bywa inaczej niż w wyobrażeniach. Drogi Jane Marple i Carrie Louise przez ćwierć wieku nie zdołały się skrzyżować.

– Dlaczego martwisz się o Carrie Louise, Ruth? – zapytała panna Marple.

– Właściwie to sama nie wiem. Ale fakt, że w ogóle się o nią martwię, bardzo mnie niepokoi.

– Czyżby była chora?

– Nie. Jest co prawda bardzo delikatna, ale przecież zawsze była taka. Nie mogę powiedzieć, aby jej się ostatnio pogorszyło, pomijając oczywiście ten drobny fakt, że się postarzała, jak my wszystkie zresztą.

– Czy jest nieszczęśliwa?

– O nie!

„Oczywiście że nie” – pomyślała panna Marple. Byłoby rzeczywiście trudno wyobrazić sobie Carrie Louise w roli kobiety nieszczęśliwej, choć w jej życiu bywały niewątpliwie i mało radosne momenty. Jednak w takich chwilach Carrie Louise sprawiała wrażenie oszołomionej czy zakłopotanej, nigdy jednak nie wyglądała jak osoba dotknięta nieszczęściem.

– Carrie Louise zawsze chodziła z głową w chmurach – stwierdziła Ruth van Rydock. – Nie miała pojęcia o rzeczywistości. Może to właśnie tak mnie niepokoi?

– Jej otoczenie... – zaczęła z wahaniem panna Marple, ale urwała, potrząsając tylko głową.

– Nie, to leży w niej samej. Carrie Louise zawsze była przepełniona ideałami. Oczywiście w czasach naszej młodości idealizm był po prostu w modzie, każda szanująca się dziewczyna musiała być po trosze idealistką. Pamiętasz, Jane? Ty chciałaś wyjechać do leprozorium i pielęgnować trędowatych, ja zaś zamierzałam zostać zakonnice. Ale z takich marzeń przecież się wyrasta. Małżeństwo – jeśli mogę się tak wyrazić – skutecznie leczy człowieka z idealizmu. Muszę przyznać, że ja nigdy nie wyszłam na tym źle.

Panna Marple pomyślała, że to bardzo dyplomatyczne określenie sytuacji. Ruth van Rydock była trzykrotnie zamężna, za każdym razem z bardzo bogatym człowiekiem. Kolejne rozwody tylko powiększały jej – i tak już spore – konto bankowe, nie przynosząc jednocześnie bolesnych rozczarowań.

– Zawsze byłam stanowcza – mówiła pani van Rydock – i nie dawałam się nikomu podporządkować. Nie oczekiwałam zbyt wiele od życia, a już z pewnością nie od mężczyzn. I nieźle na tym wyszłam. Żadnych kłopotów, żadnych zawiedzionych nadziei. Z Tommym pozostaliśmy do dzisiaj dobrymi przyjaciółmi, a Julius zawsze zasięga mojej opinii, jeśli idzie o operacje giełdowe. – Twarz jej spochmurniała. – Myślę, że to, co mnie niepokoi w Carrie Louise, to właśnie jej idealizm i skłonność do wychodzenia za mąż za dziwaków.

– Za dziwaków?

– Za ludzi z ideałami. Carrie Louise zawsze była idealistką. Miała zaledwie siedemnaście lat i była śliczna jak obrazek, a już przysłuchiwała się z zachwytem staremu Gulbrandsenowi, wpatrując się w niego oczami jak spodki, gdy opowiadał o swoich wielkich planach naprawy ludzkości. Miał już dobrze po pięćdziesiątce, gdy się pobrali. Wyobraź sobie, wdowiec, dorosłe dzieci. A wszystko z powodu jego filantropijnych idei. Była nim dosłownie urzeczona. Zupełnie niczym Desdemona Otellem. Na szczęście obyło się bez Jagona. No i Gulbrandsen nie był kolorowy. Był Szwedem czy może Norwegiem.

Panna Marple pokiwała w zamyśleniu głową. Nazwisko Gulbrandsena było głośne w całym świecie. Znano go powszechnie jako człowieka, który dzięki wrodzonym zdolnościom do interesów najzupełniej uczciwymi metodami zgromadził ogromny majątek i przeznaczył go na cele społeczne. Jego imię nosiło wiele instytucji i organizacji filantropijnych, takich jak Fundacja Gulbrandsena, Komitet Badań Naukowych im. Gulbrandsena, Zarząd Sierocińców i Przytułków im. Gulbrandsena czy wreszcie – może najbardziej znane przedsięwzięcie – instytut kształcący dzieci pochodzące ze środowisk robotniczych.

– Oczywiście nie poślubiła go dla pieniędzy – mówiła Ruth. – Gdybym to ja za niego wyszła, to z pewnością tylko dlatego, że był taki bogaty. Ale nie Carrie Louise. Doprawdy nie wiem, co by się stało, gdyby nie umarł, kiedy miała zaledwie trzydzieści dwa lata. Trzydzieści dwa lata to bardzo przyjemny wiek dla wdowy. Ma się już pewne doświadczenie, a jednocześnie ciągle jest się młodym.

Przysłuchująca się tym słowom stara panna ze zrozumieniem pokiwała głową. Przed jej oczami przesunął się cały szereg wdów zamieszkujących St Mary Mead.

– Byłam taka zadowolona, gdy Carrie Louise zdecydowała się wyjść za Johnniego Restaricka. Oczywiście on poślubił ją dla pieniędzy. Albo inaczej, nigdy by się z nią nie ożenił, gdyby była biedna. Johnnie był egoistą, lekkoduchem wiecznie goniącym za przyjemnościami. Ale taki mąż jest o wiele bezpieczniejszy od dziwaka. Johnnie marzył o wygodnym życiu. Pragnął, aby Carrie Louise odwiedzała najlepsze salony mody, miała luksusowe jachty i samochody i razem z nim korzystała z życia. Takiego męża kobieta może być naprawdę pewna. Zapewnij mu luksus i wszelkie wygody, a będzie wobec ciebie czarujący. Tylko tych teatralnych ciągotek Johnniego nigdy nie brałam poważnie. Natomiast Carrie Louise widziała w tym Sztukę przez duże S, więc stanowczo wymogła na nim powrót do jego dawnego środowiska. No i wtedy pojawiła się ta okropna Jugosłowianka i dosłownie go uwiodła. On sam właściwie wcale nie chciał odchodzić. Gdyby Carrie Louise wykazała więcej rozsądku i spokojnie przeczekała to zamieszanie, z pewnością by do niej wrócił.

– Czy bardzo wzięła sobie do serca jego odejście? – zapytała panna Marple.

– To zabawne, ale nie. Naprawdę nie sądzę, aby ją to bardzo obeszło. Zachowała się czarująco, ale tego należało się właściwie spodziewać. Ona po prostu jest czarująca. Jak

najszybciej przeprowadziła rozwód, tak aby on mógł poślubić tamtą kobietę, a jego synom z pierwszego małżeństwa zaofiarowała swój własny dom, gdyż uznała, że tak będzie dla nich najlepiej. No i biedny Johnnie dostał za swoje. Musiał ożenić się z tamtą kobietą, a ona przez sześć miesięcy zamieniała mu życie w piekło, aby wreszcie w ataku złości zepchnąć go w przepaść razem z samochodem. Oficjalnie mówiono, że to był nieszczęśliwy wypadek, ja jednak jestem przekonana, że był to efekt wybuchowego temperamentu żony.

Pani van Rydock uczyniła krótką pauzę. Sięgnęła po lusterko i badawczo przyjrzała się swojej twarzy. Następnie wzięła do ręki pincetkę i wyrwała jakiś włoszek ze starannie wydepilowanych brwi.

– I w co się nasza droga Carrie Louise wpakowała później? Poślubiła tego Lewisa Serrocolda! Znowu dziwak, znowu mężczyzna z głową wypełnioną ideałami. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie jest jej oddany. Przeciwnie, jest, i to bardzo. Ale zaraził się tym samym bakcylem, co Gulbrandsen – za wszelką cenę chce poprawiać ludziom życie. A przecież każdy sam powinien do tego dążyć.

– Zastanawiam się... – usiłowała wtrącić się panna Marple.

– Oczywiście te wszystkie dążenia do uszczęśliwiania ludzkości są tak samo zmienne jak moda. A propos mody, czy widziałaś ostatnie modele spódnic od Diora? Co on chce z nas zrobić? Na czym to ja stanęłam? Aha, moda. Chciałam powiedzieć, że filantropia również podlega różnym modom. W czasach Gulbrandsena konikiem wszystkich była edukacja. Teraz te sprawy przejęło państwo i możliwość kształcenia należy się każdemu, więc nikogo to tak naprawdę nie interesuje. Ostatnim krzykiem mody jest resocjalizacja nieletnich przestępców. Tych młodych rzezimieszków mamy teraz tak wielu, że wszyscy powariowali na ich punkcie. Powinnaś kiedyś zobaczyć Lewisa Serrocolda. Jego oczy za grubymi szklami okularów aż błyszczą entuzjazmem, gdy rozprawia o przestępczości nieletnich. Dosłownie oszalał. Jest jednym z tych ludzi o niespożytej energii, którzy uwielbiają żyć o kromce chleba i szklance mleka, a całe swoje siły poświęcić jakiemuś „szczególnemu przypadkowi”. A Carrie Louise kupuje to wszystko, jak zwykle zresztą. Mnie natomiast wcale się to nie podoba. Gulbrandsen ufundował szkołę dla dzieci z rodzin robotniczych, obecnie zaś kuratorium sprawujące opiekę nad tą fundacją przekształciło ją w coś w rodzaju zakładu poprawczego dla młodych przestępców. Pełno tam psychologów, psychiatrów i tym podobnych. Otoczenie Carrie Louise i Lewisa stanowią młodzi chłopcy, którzy z pewnością nie są całkiem normalni. A personel zakładu – ci wszyscy nauczyciele, lekarze, terapeuci i inni entuzjaści – co najmniej połowa z nich to kompletni wariaci! A pomiędzy nimi – moja mała Carrie Louise!

Pani van Rydock urwała i popatrzyła bezradnie na przyjaciółkę.

Panna Marple sprawiała wrażenie nieco zakłopotanej.

– Ale nie powiedziałaś mi dotąd, co cię tak naprawdę niepokoi.

– Tłumaczę ci przecież, że nie wiem! I to mnie właśnie martwi. Byłam u nich niedawno z przelotną wizytą i przez cały czas miałam wrażenie, że coś nie gra. Panowała tam jakaś dziwna atmosfera. Z pewnością się nie mylę, zawsze byłam niezmiernie wrażliwa na takie sprawy. Czy opowiadałam ci, jak zmusiłam kiedyś Juliusa do sprzedaży naszych udziałów w „Wyborych Płatkach Śniadaniowych”, bo przeczuwałam krach na giełdzie?

I miałam rację! Tak, w Stonygates naprawdę jest coś nie w porządku, ale nie mam pojęcia co. Czy chodzi może o któregoś z tych okropnych młodych rzezimieszków, czy też o kogoś z domowników? Lewis nie zwraca na nic uwagi, żyje pochłonięty wyłącznie swoimi ideami. A nasza droga Carrie Louise – ta dostrzega wyłącznie rzeczy, które pięknie wyglądają lub pięknie brzmią. To urocze, ale jakże niepraktyczne! Na świecie są przecież także rzeczy złe i wstrętne. I dlatego chciałabym, abyś tam pojechała, Jane, i spróbowała zbadać, co się tam

właściwie dzieje.

– Ja?! – zawołała zdumiona panna Marple. – Ale dlaczego akurat ja?

– Bo ty masz nosa do takich spraw. Zawsze go miałaś. Wyglądasz tak łagodnie i niewinnie, tymczasem jeszcze nigdy nic cię nie zaskoczyło, gdyż zawsze spodziewasz się najgorszego.

– Bo w życiu najczęściej przytrafia się właśnie to najgorsze – tłumaczyła panna Marple tonem usprawiedliwienia.

– Pojęcia nie mam, skąd w tobie tak niskie mniemanie o naturze ludzkiej. Mieszkasz przecież w uroczej, spokojnej, staroświeckiej wiosce. Z pewnością panuje tam wręcz idylliczna atmosfera.

– Nigdy nie mieszkałaś na wsi, Ruth. Byłabyś zdumiona, gdybyś wiedziała, co naprawdę dzieje się w tej z pozoru idyllicznej atmosferze.

– Możliwe. Ty natomiast nigdy się niczemu nie dziwisz. Dlatego pojedziesz do Stonygates i zbadasz całą sprawę, dobrze?

– Ależ, Ruth, to wcale nie jest takie proste.

– Wręcz przeciwnie. Wszystko już dokładnie zaplanowałam. Mam nadzieję, że nie będziesz się na mnie gniewała, ale przygotowałam już grunt pod twój przyjazd.

Pani van Rydock zamilkła i popatrzyła na pannę Marple z lekkim niepokojem. Potem zapaliła papierosa i zaczęła mówić trochę nerwowo:

– Z pewnością przyznasz, że dla ludzi z niewielkimi dochodami, takimi jak twoje, droga Jane, życie po wojnie stało się dosyć trudne.

– O tak, masz zupełną rację. Gdyby mój siostrzeniec Raymond nie troszczył się o mnie, doprawdy nie wiem, jak dawałabym sobie radę.

– Zostawmy w spokoju twojego siostrzeńca, Jane – powiedziała pani van Rydock. – Carrie Louise nie ma o nim pojęcia. Nawet jeżeli o nim słyszała, to zna go wyłącznie jako pisarza i nie wie, że jest on twoim siostrzeńcem. Rozmawiałam z Carrie Louise na twój temat, Jane, i powiedziałam jej, co następuje: „To okropne, jak tej kochanej Jane źle się teraz powodzi. Doprawdy czasami nie wystarcza jej nawet na jedzenie. Oczywiście jest zbyt dumna, aby zwrócić się o pomoc do któregoś ze swoich dawnych przyjaciół. Nie można jej proponować żadnych pieniędzy – mówiłam – ale dłuższy odpoczynek w ładnym otoczeniu, wśród przyjaciół, obfite posiłki, prawdziwe wakacje bez żadnych trosk materialnych...” – Ruth van Rydock zrobiła króciutką pauzę, a potem dorzuciła ze zdecydowaną miną: – No, powiedz coś, Jane. Zbesztaj mnie za to, co zrobiłam.

Panna Marple szeroko otworzyła swoje niebieskie, porcelanowe oczy.

– Dlaczego miałabym cię zbesztać, Ruth? Przyznaję, że to brzmi bardzo wiarygodnie. Jestem pewna, że Carrie Louise zareagowała na to.

– Natychmiast do ciebie napisała. Po powrocie do domu pewnie już zastaniesz jej list. Powiedz szczerze, Jane, nie budzi to twoich oporów... – zawahała się i zamilkła.

Panna Marple dokończyła jednak spokojnie:

– ...jechać do Stonygates pod fałszywym pretekstem i korzystać z gościny Carrie Louise i jej męża? No cóż, skoro nie ma innego wyjścia. Ty uważasz, że powinnam jechać, a ja się z tobą zgadzam.

Pani van Rydock popatrzyła zdumiona.

– Dlaczego? Czy dotarły do ciebie jakieś pogłoski?

– Nie, nie słyszałam o niczym podejrzanym. Ale ty tak uważasz, a ty zawsze byłaś bardzo rozsądna.

– Możliwe. Tym razem jednak moje obawy nie opierają się na żadnych faktach.

– Przypominam sobie pewien niedzielny poranek – zaczęła z namysłem panna Marple. – Było to w drugą niedzielę adwentu. Podczas nabożeństwa siedziałam w ławce za Grace Lamble i nagle poczułam, że bardzo się o nią niepokoję. Byłam pewna, że grozi jej niebezpieczeństwo, poważne niebezpieczeństwo, ale zupełnie nie potrafiłam powiedzieć, skąd ja to wiem. Było to bardzo niepokojące uczucie, ale zupełnie jednoznaczne.

– I okazało się usprawiedliwione?

– O, tak. Jej ojciec, stary admirał, był ostatnio bardzo zmieniony. Następnego dnia rzucił się na nią z młotkiem do rozbijania węgla, krzycząc, że to antychryst, który przybrał postać jego córki. Omal jej nie zabił. Trzeba go było odwieźć do zakładu zamkniętego, a ona dopiero po kilku miesiącach wyszła ze szpitala. Doprawdy niewiele brakowało, a straciłaby życie.

– Miałaś więc rzeczywiście trafne przeczucia tamtego ranka podczas mszy.

– Nie nazwałabym tego przeczuciem. Mój niepokój wziął się z czegoś zupełnie konkretnego, tyle że nie rozpoznałam tego od razu. Grace Lamble miała przekrzywiony kapelusz. To musiało coś znaczyć, bo Grace była kobietą niezwykle pedantyczną. Nigdy nie bywała roztargniona czy nieobecna myślami i nie wyobrażam sobie, że mogłaby włożyć kapelusz tyłem do przodu i nie zauważyć tego. Prawdopodobieństwo takiej sytuacji było doprawdy niewielkie. I cóż się naprawdę wydarzyło? Jej ojciec rzucił w nią marmurowym przyciskiem, rozbijając przy tym lustro. Wtedy w pośpiechu chwyciła kapelusz, wcisnęła go na głowę i wybiegła z domu. Za wszelką cenę starała się stworzyć pozory, że nic się właściwie nie stało. Zachowanie ojca tłumaczyła sobie porywczym temperamentem byłego marynarza. Nie rozpoznała początku choroby umysłowej, a właściwie powinna, gdyż admirał już od pewnego czasu skarżył się, że jest zewsząd otoczony przez wrogów i ludzi, którzy go szpiegują. To są przecież bardzo charakterystyczne symptomy.

Pani van Rydock popatrzyła na przyjaciółkę z respektem.

– Zaczynam wierzyć, że St Mary Mead nie jest tak idyllicznym miejscem, jak to sobie wyobrażałam – powiedziała.

– Natura ludzka jest wszędzie taka sama. Tyle tylko, że w dużym mieście trudniej jest ją studiować.

– A więc pojedziesz do Stonygates, Jane?

– Pojadę. Chociaż to trochę nie w porządku wobec Raymonda, bo może wyglądać tak, jakby on mi nie pomagał. Ale drogi chłopiec przebywa właśnie w Meksyku i zostanie tam jeszcze przez pół roku. Zanim wróci, będzie już po wszystkim.

– Jak to, po wszystkim?

– Przecież Carrie Louise nie zaprasza mnie na Bóg wie jak długo. Myślę, że w grę wchodzi jakieś trzy tygodnie, może miesiąc. Ale to powinno w zupełności wystarczyć.

– Sądzisz, że w ciągu takiego krótkiego pobytu uda ci się odkryć, co w Stonygates przebiega nie tak, jak powinno?

– Myślę, że tak.

– Droga Jane, ty chyba masz ogromne zaufanie do swoich możliwości – zauważyła pani van Rydock.

Panna Marple popatrzyła na przyjaciółkę z lekkim wyrzutem.

– To ty masz do mnie zaufanie, Ruth, albo przynajmniej tak twierdzisz. Mogę cię jedynie zapewnić, że zrobię wszystko, aby cię nie zawieść.

II

Przed powrotem do St Mary Mead (w środy obowiązywały zniżkowe bilety powrotne) panna Marple postanowiła uporządkować dane.

– Wiesz, Ruth, Carrie Louise i ja korespondowałyśmy wprawdzie ze sobą, ale ograniczało się to głównie do wymiany życzeń świątecznych. Chciałabym, abyś mi powiedziała coś niecoś na temat sytuacji w Stonygates. Kto tam teraz mieszka?

– Dobrze. O małżeństwie Carrie Louise z Gulbrandsenem już wiesz. Nie doczekali się dzieci i Carrie Louise bardzo nad tym bolała. Gulbrandsen był wdowcem i miał trzech dorosłych synów. W końcu adoptowali dziecko, uroczą małą dziewczynkę, którą nazwali Pippa. Pippa miała wówczas zaledwie dwa latka.

– Z jakiego środowiska pochodziło to dziecko?

– Wiesz, Jane, nawet nie pamiętam, o ile w ogóle kiedykolwiek to wiedziałam.

Prawdopodobnie załatwili to przez Urząd do Spraw Adopcji albo też Gulbrandsen dowiedział się gdzieś o jakimś niechcianym dziecku. Ale dlaczego o to pytasz? Czy to takie ważne?

– Cóż, tak zwane środowisko może się czasami okazać bardzo ważne. Ale mów dalej.

– Niedługo potem okazało się, że Carrie Louise będzie jednak miała dziecko. Podobno to się dosyć często zdarza.

Panna Marple skinęła potakująco głową.

– Tak, to częsty przypadek.

– W każdym razie Carrie Louise była trochę wytrącona z równowagi. Nie wiem, czy dobrze rozumiesz, co mam na myśli. Gdyby to nastąpiło wcześniej, szalałaby, oczywiście, z radości, ale teraz całą swoją miłość przelała już na Pippę. W pewien sposób czuła się nawet winna wobec Pippy z powodu mających nastąpić narodzin własnego dziecka. Potem przyszła na świat Mildred. O niej nie można było powiedzieć, że jest uroczą. Wdała się w Gulbrandsenów, ludzi niewątpliwie szlachetnych i godnych szacunku, ale pospolitych i bez wdzięku. Carrie Louise bardzo się starała, aby nie czynić żadnej różnicy między dzieckiem rodzonym i adoptowanym i, moim zdaniem, przesadziła w drugą stronę. W stosunku do Pippy była bardzo czuła i troskliwa, a Mildred jakby odrobinę zaniedbywała. Czasami wydawało mi się, że Mildred bardzo nad tym boleje. Nie widywałam ich zresztą wtedy zbyt często. Pippa wyrosła na śliczną dziewczynę, Mildred natomiast pozostała nieładna. Eric Gulbrandsen zmarł, gdy Mildred miała piętnaście, a Pippa osiemnaście lat. W wieku dwudziestu lat Pippa poślubiła Włocha, markiza San Severiano. To był prawdziwy markiz, nie żaden awanturnik. Pippa stanowiła dobrą partię, inaczej San Severiano nigdy by się z nią nie ożenił. Wiesz przecież, jacy są Włosi! Gulbrandsen zostawił obu córkom – i tej rodzonej, i tej przybranej – jednakową sumę pieniędzy. W niedługi czas później Mildred wyszła za kanonika Strete. To był miły człowiek, ale miał skłonności do przeziębień. Był starszy od żony o dziesięć albo i piętnaście lat. Sądzę jednak, że stanowili szczęśliwą parę.

Kanonik zmarł w ubiegłym roku i Mildred wróciła do Stonygates, do matki. Ale wybiegam naprzód. Jak już mówiłam, Pippa poślubiła tego Włocha. Carrie Louise bardzo się ucieszyła z tego małżeństwa. Guido był bardzo przystojny, miał nieskazitelne maniery i był zapalonym sportowcem. Po roku małżeństwa Pippa urodziła córeczkę i zmarła w połogu. To była prawdziwa tragedia. Guido San Severiano był zupełnie załamany. Carrie Louise bez przerwy kursowała między Anglią a Włochami. Właśnie w tym czasie poznała w Rzymie Johnniego Restaricka i poślubiła go. Potem markiz także ożenił się ponownie i było mu nawet na rękę, że jego córka będzie się wychowywała u bogatej angielskiej babuni. Tak więc wszyscy zamieszkali w Stonygates: Carrie Louise, Johnnie Restarick, jego dwaj synowie z pierwszego małżeństwa, Alex i Stephen – ich matka była Rosjanką – i wreszcie mała Gina. W niedługim

czasie Mildred poślubiła swojego kanonika. Potem miał miejsce romans Johnniego z tą okropną Jugosłowianką i rozwód, ale Alex i Stephen ciągle spędzali wakacje w Stonygates, gdyż uwielbiali Carrie Louise. Wreszcie, bodaj w 1938 roku, Carrie Louise wyszła za Lewisa Serrocolda.

Pani van Rydock zrobiła długą pauzę dla nabrania oddechu.

– Ty nie znałaś Lewisa? – zapytała w końcu.

Panna Marple zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie, ostatni raz widziałam się z Carrie Louise chyba w 1928 roku. Była bardzo uprzejma, zaprosiła mnie do Covent Garden na przedstawienie operowe.

– Rozumiem. Lewis wydawał się odpowiednim kandydatem na męża. Upřednio pracował jako szef firmy zajmującej się doradztwem finansowym. O ile sobie przypominam, Carrie Louise poznała go właśnie przy okazji wyjaśniania jakichś kwestii finansowych związanych z Fundacją Gulbrandsena i Instytutem. Lewis był mniej więcej w tym samym wieku co Carrie Louise, był nieźle sytuowany, a jego tryb życia był doprawdy bez zarzutu. Co nie zmienia faktu, że był szaleńcem. Jego idée fixe stanowiła resocjalizacja nieletnich przestępców.

Ruth van Rydock westchnęła ciężko.

– Mówiłam ci już, Jane, że filantropia także podlega różnym modom. W czasach Gulbrandsena była to edukacja, wcześniej miejsce edukacji zajmowały kuchnie dla ubogich.

– Pamiętam te czasy. Galaretka z nówek i rosół z głowy cielęcica, które nosiło się chorem. Moja matka w tym celowała.

– Też to pamiętam. Sądzę, że wkrótce będziemy mieli do czynienia z kolejnym modnym trendem, który będzie zakładał, że dzieci do osiemnastego roku życia wcale nie należy edukować, że należy pozwolić im wzrastać w analfabetyzmie. W każdym razie Fundacja i Instytut Gulbrandsena popadły w jakieś kłopoty po tym, jak państwo przejęło ich funkcję. Wtedy pojawił się Lewis ze swoim entuzjazmem dla resocjalizacji młodocianych przestępców metodą „konstruktywnego treningu”. Jako specjalista do spraw finansowych zajął się przede wszystkim rewizją kont bankowych, z którymi pomysłowa młodzież dokonywała różnych machinacji, i doszedł do wniosku, że owi młodociani przestępcy bynajmniej nie są upośledzeni umysłowo. Przeciwnie, są bardzo inteligentni, tylko trzeba im wyznaczyć właściwy kierunek rozwoju, skierować ich na odpowiednią drogę.

– Coś w tym jest – zauważyła panna Marple – ale to niezupełnie tak. Przypominam sobie... – urwała i popatrzyła na zegarek. – Zrobiło się późno. W żadnym wypadku nie mogę przegapić tego pociągu o wpół do siódmej.

Ruth van Rydock zapytała z naciskiem:

– Ale pojedziesz do Stonygates?

Panna Marple sięgnęła po parasolkę i torbę na zakupy.

– Jeżeli Carrie Louise mnie zaprosi...

– Z pewnością to uczyni. Pojedziesz, Jane? Obiecuj mi.

I panna Marple obiecała.

III

Panna Marple wysiadła z pociągu na stacji Market Kindle. Uczynny pasażer wyniósł jej bagaże na peron. Zbierając wokół siebie cały swój dobytek – wysłużoną skórzaną walizkę, szydełkowy worek i inne drobiazgi – panna Marple rozpląwała się w podziękowaniach.

– Serdecznie panu dziękuję. Był pan niezwykle uprzejmy. Obecnie podróżowanie nie jest wcale łatwe. Jest tak niewielu bagażowych. Doprawdy ilekroć przyjdzie mi gdzieś jechać, jestem taka niespokojna...

Dalsze jej słowa zginęły w hałasie spowodowanym przez megafon, oznajmiający donośnie, acz niezbyt wyraźnie, odjazd pociągu z peronu pierwszego.

Market Kindle miało dużą, otwartą na wszystkie strony stację. Pasażerów było co prawda niewielu, jak okiem sięgnąć nie było też widać żadnego kolejarza, za to dworzec szczycił się aż sześcioma peronami. Stojący właśnie przy jednym z nich parowóz, ciągnący jeden zaledwie wagonik, posapywał niecierpliwie, gotując się do drogi. Panna Marple, ubrana skromniej niż zwykle (jak to dobrze, że nie pozbyła się tej wysłużonej sukienki), rozglądała się niezdecydowanie po nowym otoczeniu. W pewnej chwili przystąpił do niej młody człowiek.

– Panna Marple? – zapytał. Jego głos brzmiał dziwnie patetycznie, jakby owo „panna Marple” było kwestią otwierającą przedstawienie amatorskiego teatryku. – Przyjechałem po panią ze Stonygates.

Panna Marple popatrzyła na niego z prawdziwą wdzięcznością. Wygląd nowo przybyłego nie pasował do jego patetycznego głosu. Młody człowiek wyglądał nijako i bezbarwnie, miał też zwyczaj nerwowo mrugać powiekami.

– Bardzo panu dziękuję – powiedziała panna Marple. – Mam tylko jedną walizkę.

Zanotowała w pamięci, że młodzieniec nie schylił się po jej bagaż. Strzelił palcami i przywołał bagażowego z wózkiem.

– Proszę zabrać walizkę do samochodu – rzucił. I dodał napuszczonym tonem: – Samochodu ze Stonygates.

– Już się robi – odparł beztrąsko bagażowy.

Panna Marple odniosła wrażenie, że nowy znajomy czuje się mocno dotknięty tonem tragarza. Zupełnie jakby Pałac Buckingham został zredukowany do tego samego poziomu co Laburnum Road 3.

– Doprawdy koleje coraz bardziej schodzą na psy – zauważył kwaśno.

Prowadząc pannę Marple do wyjścia, młodzieniec przedstawił się:

– Nazywam się Edgar Lawson. Pani Serrocold prosiła, abym wyszedł po panią. Pomagam panu Serrocoldowi w pracy.

Powiedział to takim tonem, jakby pragnął podkreślić, że on, niemal niezastąpiony pracownik, musiał odłożyć na bok jakieś szalenie ważne czynności, aby uczynić grzeczność żonie chlebobdawcy. I znowu to, co mówił, nie brzmiało przekonująco. Znowu słyhać było ten teatralny patos.

Panna Marple zaczęła snuć różne przypuszczenia na temat jego osoby.

Edgar Lawson poprowadził starszą panią w stronę dość wysłużonego forda, zaparkowanego przed budynkiem stacji.

– Woli pani usiąść z przodu przy kierowcy czy może z tyłu? – zapytał.

W tym momencie nowy, błyszczący lakierem rolls bentley zahamował gwałtownie i zatrzymał się niemal przed maską forda. Z bentleya wysiadła śliczna, młoda dziewczyna i podeszła do nich. Miała na sobie niezbyt czyste bawełniane spodnie i prostą bluzkę, rozpiętą pod szyją.

– Ach, Edgarze, dobrze, że jeszcze tu jesteś. Bałam się, że mogę nie zdążyć. Widzę,

że odnalazłeś już naszego gościa. Właśnie przyjechałam po panią. – Dziewczyna uśmiechnęła się do panny Marple, odsłaniając rząd olśniewających zębów. – Jestem Gina, wnuczka Carrie Louise. Czy podróż była bardzo męcząca? Jaki pani ma piękny szydełkowy worek! Uwielbiam takie staroświeckie worki. Pozwoli pani, że go przytrzymam, będzie pani wygodniej wsiadać.

Twarz Edgara pokryła się purpurą. Zaczął gwałtownie protestować:

– Ależ, Gino, przecież to ja miałem odebrać pannę Marple ze stacji. Tak było umówione. Gina ponownie pokazała zęby w uśmiechu.

– Wiem, wiem. Ale pomyślałam sobie, że chętnie się przejadę. Zabieram pannę Marple swoim samochodem, a ty możesz poczekać na bagaże.

Panna Marple zajęła miejsce w samochodzie. Gina starannie zamknęła za nią drzwi, sama siadła za kierownicą. Ruszyły. Panna Marple odwróciła się jeszcze, aby popatrzeć na minę Edgara.

– Nie sędzę, moja droga, aby pan Lawson był zadowolony – odezwała się z troską w głosie.

Gina roześmiała się.

– Edgar jest kompletnym idiotą – powiedziała. – Zawsze taki napuszony. Zachowuje się tak, jakby jego osoba miała jakiegokolwiek znaczenie.

– A nie ma? – zapytała panna Marple.

– Edgar? – W śmiechu Giny zabrzmiała nutka niezamierzonego chyba okrucieństwa. – Przecież on jest stuknięty.

– Stuknięty?

– W Stonygates wszyscy są stuknięci – objaśniła Gina. – Oczywiście nie mam tu na myśli Lewisa, babuni, a także siebie samej i chłopaków. Panna Bellever też nie jest stuknięta. Ale inni to wariaci. Wydaje mi się, że jeszcze trochę i ja sama zacznę wariować w tym otoczeniu. Nawet ciotka Mildred chodzi już w kółko i mamrocze coś sama do siebie. Człowiek nigdy by się nie spodziewał takiego zachowania po wdowie po kanoniku, prawda?

Gina pewnie prowadziła samochód po prostej, pustej drodze, rzucając na swoją towarzyszkę ukradkowe spojrzenia.

– Pani była w szkole razem z babunią, prawda? To wydaje mi się takie dziwne.

Panna Marple dokładnie wiedziała, co tamta ma na myśli. Młodym ludziom zawsze wydaje się dziwne, że starzy ludzie też byli kiedyś młodzi, chodzili do szkoły, gdzie biedzili się nad literaturą angielską i ułamkami dziesiętymi.

– To musiało być bardzo, bardzo dawno temu – powiedziała Gina, prawdopodobnie zupełnie nieświadoma swojego nietaktu.

– Owszem, dawno – przyznała panna Marple. – Po mnie widać to chyba jeszcze bardziej niż po pani babci, prawda?

Gina przytaknęła.

– To ładnie, że pani tak mówi. Przy babuni człowiek odnosi wrażenie, że dla niej wiek jakby nie istniał.

– Ostatnio widziałam ją rzeczywiście dawno temu. Zastanawiałam się, czy znajdę ją bardzo zmienioną.

– Oczywiście, babunia ma już zupełnie siwe włosy – mówiła Gina z namysłem – i przy chodzeniu używa laski, gdyż cierpi na zapalenie stawów. Ostatnio znacznie jej się pogorszyło. Przypuszczam... – urwała, a potem zmieniła temat: – Czy była już pani kiedyś w Stonygates?

– Nie, nigdy. Oczywiście sporo słyszałam o tej posiadłości.

– Sam dom jest doprawdy koszmarny – mówiła Gina pogodnie. – Prawdziwie wiktoriańskie monstrum. Steve zawsze powtarza, że Stonygates wzniesiono w stylu Prawdziwie

Wiktoriańskiego Wychodka. Ale całość jest na swój sposób zabawna. Tyle że wszyscy są śmiertelnie poważni, no i gdziekolwiek się człowiek obróci, napotyka na jakiegoś psychiatrę. Niektórzy spośród naszych młodocianych są zupełnie mili. Jeden z nich pokazał mi, jak można otworzyć zamek w drzwiach kawałkiem zwykłego drutu, a inny, o twarzy cherubinka, dosyć długo wtajemniczał mnie w rozmaite sposoby oszukiwania ludzi.

Pannie Marple te rozważania dostarczyły sporo materiału do rozmyślań.

– Najlepiej to jeszcze znoszę drobnych rzezimieszków – mówiła Gina. – Natomiast psychiczni wcale mi się nie podobają. Oczywiście Lewis i doktor Maverick uważają, że oni wszyscy mają problemy z psychiką. Tłumaczą ich zachowanie tłumionymi potrzebami, ciężkim dzieciństwem – wie pani, matka uciekła z żołnierzem i tak dalej. Nie bardzo mogę się z tym pogodzić. Przecież niejedno dziecko miało naprawdę ciężkie dzieciństwo, a wyrosło później na porządnego człowieka.

– To rzeczywiście trudny problem – przyznała panna Marple.

Gina ponownie pokazała zęby w uśmiechu.

– Mnie to wszystko aż tak bardzo nie obchodzi, ale niektórzy ludzie mają głębokie wewnętrzne przekonanie, że ich zadaniem jest poprawianie tego świata. Lewis ma bzika na tym punkcie. W przyszłym tygodniu wybiera się do Aberdeen na rozprawę sądową; jego kolejny „ciekawy przypadek” ma na swoim koncie już pięć wyroków.

– A kim jest ten młody człowiek, który wyjechał po mnie na dworzec? Mówił mi, że pomaga panu Serrocoldowi w pracy. Czy to sekretarz?

– Sekretarz? Nie, na to stanowisko nie miałby dość rozumu. Edgar to kolejny „przypadek”. Jego specjalnością było pojawianie się w różnych hotelach, gdzie przedstawiał się jako bohaterski lotnik, odznaczony Victoria Cross, albo ktoś taki, pożyczal od ludzi pieniądze i ulatniał się cichcem. Po prostu oszust. Ale Lewis traktuje ich wszystkich według tego samego schematu. Zgodnie z jego teorią ci młodociani powinni mieć poczucie, że należą do rodziny. Lewis wynajduje im różne zajęcia, daje im zadania do wykonania, a wszystko po to, aby wyrobić w nich poczucie odpowiedzialności. Ja obawiam się raczej, że pewnego pięknego dnia możemy się nie obudzić, wymordowani we własnych łóżkach przez któregoś z tych obiecujących młodzieńców. – Gina zaśmiała się wesoło.

Panna Marple nie roześmiała się.

Samochód minął okazałą bramę i wjechał w aleję obsadzoną rododendronami. Droga była źle utrzymana, a ogród wyglądał na zaniedbany.

Gina, jakby w odpowiedzi na znaczące spojrzenie panny Marple, wyjaśniła:

– W czasie wojny nie było tu ogrodnika i od tego czasu nikt nie zatroszczył się o ogród. Rzeczywiście, pięknie to nie wygląda.

Aleja zataczała niewielki łuk i oto Stonygates leżało przed nimi w całej okazałości – obszerna, przestronna budowla w stylu wiktoriańskiego neogotyku, prawdziwa świątynia Plutokracji. Do tego przybytku Filantropia dobudowała najrozmaitsze ryzality i przybudówki, które do reszty pozbawiły budynek jakichkolwiek proporcji.

– Okropne, prawda? – powiedziała Gina z pełnym przekonaniem. – O, tam stoi babunia! Zatrzymamy się tutaj, będzie pani mogła do niej podejść.

Panna Marple ruszyła w stronę przyjaciółki.

Szczupła, krucha figurka stojąca na tarasie, mimo laski, na której się opierała, i powolnych ruchów, najwidoczniej spowodowanych bólem, sprawiała wrażenie niemal dziewczęce. Zupełnie jakby młoda dziewczyna usiłowała naśladować staruszkę.

– Jane! – zawołała pani Serrocold.

– Carrie Louise!

Tak, to była Carrie Louise, i to niemal zupełnie niezmieniona, choć w przeciwieństwie do swojej siostry nie sięgnęła po żaden środek kosmetyczny, aby zatuszować swój prawdziwy wiek. Włosy miała zupełnie siwe, ale włosy Carrie Louise zawsze były w kolorze srebrnoblond, tak że ich odcień niemal się nie zmienił. Karnacja przypominała płatek róży, nawet jeśli obecnie ów płatek był nieco pomarszczony. Oczy zachowały młodzieńczy blask.

– Powinam się naprawdę wstydzić – zaczęła Carrie Louise łagodnym tonem – ta długa przerwa to przecież moja wina. Kochana Jane, ileż to lat upłynęło... Wspaniale, że zdecydowałaś się nas odwiedzić.

Z drugiego końca tarasu odezwała się Gina:

– Babuniu, powinnaś już wejść do domu. Zrobiło się chłodno. Jolly z pewnością będzie wściekła.

Carrie Louise roześmiała się.

– Wszyscy mnie tu tak traktują. Ani na moment nie pozwalają mi zapomnieć o tym, że jestem już starą kobietą.

– A ty wcale nie czujesz się jak stara kobieta?

– Nie, Jane, absolutnie nie. Mimo łamania w kościach, strzykania w stawach i innych dolegliwości ciągle czuję się taka młoda, jak na przykład Gina. Nie wiem, może wszyscy reagujemy podobnie. Lustro pokazuje, jak bardzo posunęliśmy się w latach, a my ciągle nie możemy w to uwierzyć. Wydaje mi się, że od czasu naszego wspólnego pobytu we Florencji upłynął nie więcej niż miesiąc. Pamiętasz Fräulein Schweich i jej buty?

Dwie starsze damy roześmiały się na to wspomnienie sprzed prawie pół wieku.

Weszły do domu bocznymi drzwiami. Zaraz za progiem natknęły się na starszą kobietę z wydatnym, aroganckim nosem i krótko przyciętymi włosami, ubraną w dobrze skrojony, tweedowy kostium. Kobieta odezwała się gniewnie:

– Cara, jak mogłaś! Żeby tak długo zostawać na dworze! Pod tym względem jesteś całkowicie nieodpowiedzialna. Przecież ty zupełnie nie dbasz o siebie. Co powiedziałaby na to pan Serrocold?

– Nie krzycz już na mnie, Jolly – zwróciła się do niej Carrie Louise prosząco. Następnie dokonała prezentacji: – To panna Bellever: pielęgniarka, sekretarka, zarządzająca domem, prawdziwy smok i wierna przyjaciółka w jednej osobie. Jest dla mnie po prostu wszystkim.

Juliet Bellever sapnęła wzruszona, a koniuszek jej nosa poczerwieniał z emocji.

– Staram się, jak mogę – rzuciła opryskliwie – chociaż w tym domu wariatów nigdy nie można niczego z góry zaplanować.

– Dziwię się, że w ogóle próbujesz cokolwiek planować, droga Jolly. Wiesz przecież, że w naszym przypadku to nie zdaje egzaminu. Gdzie umieścimy pannę Marple?

– W błękitnym pokoju. Czy mam ją tam zaprowadzić?

– O tak, proszę. A potem zejdźcie razem na herbatę. Do biblioteki.

Błękitny pokój miał ciężkie zasłony z wypłowiałego, niebieskiego brokatu, liczące sobie – zdaniem panny Marple – co najmniej pięćdziesiąt lat. Meble były mahoniowe, ciężkie i solidne. Znaczną część pokoju zajmowało szerokie łóżko z baldachimem. Panna Bellever otworzyła drzwi przylegającej do pokoju łazienki, nieoczekiwanie nowoczesnej, z przepięknym wystrojem w barwie orchidei i błyszczącymi chromem kranami.

– Poślubiwszy Carę, John Restarick kazał wybudować dziesięć łazienek. Te instalacje to jedyna rzecz, jaka tu kiedykolwiek została zmodernizowana – powiedziała z przekąsem. – O innych zmianach nie chciał nawet słyszeć. Twierdził, że dom powinien zachować swój dawny styl. Pani знаła Johna?

– Nie, nie znałam go. Pani Serrocold i ja spotykałyśmy się niezmiernie rzadko.

Korespondowałyśmy tylko ze sobą.

– To był bardzo miły człowiek – ciągnęła panna Bellever – chociaż niewiele wart. Otwarcie mówiąc, moralne zero. Ale miło się z nim mieszkało. Był niezwykle czarujący i kobiety za nim szalały. To go właśnie zgubiło. Do Cary nie pasował w żaden sposób. – Bez najmniejszej pauzy przeszła do rzeczy praktycznych: – Pokojówka rozpakuje pani rzeczy. Pewnie chce się pani trochę odświeżyć przed herbatą. Zaczekam na klatce schodowej.

Panna Marple poszła do łazienki. Umyła ręce i trochę nerwowym ruchem wytarła je w piękny ręcznik w kolorze orchidei. Potem zdjęła kapelusz i starannie przygładziła włosy.

Panna Bellever czekała u szczytu schodów. Obie panie zeszły na dół ciemną i ponurą klatką schodową, minęły obszerny, mroczny hol, by wreszcie wejść do biblioteki, po sufit zastawionej regałami pełnymi książek. Za oknem biblioteki widoczny był staw.

Carrie Louise stała przy oknie. Panna Marple podeszła do niej, mówiąc:

– Jaki ogromny dom. Czuję się tutaj trochę zagubiona.

– Wyobrażam sobie. Ten dom wybudował jakiś potentat stalowy. Wkrótce potem zbankrutował, co mnie wcale nie dziwi.

W całym domu jest chyba ze czternaście salonów i wszystkie ogromne. Nigdy nie mogłam pojąć, po co ludziom więcej niż jeden salon. A te ogromne sypialnie to zwykle marnowanie przestrzeni. Moja jest po prostu mordercza. Przejście od łóżka do toaletki to prawdziwa wyprawa. A w oknach wiszą ciężkie ciemnopurpurowe zasłony.

– Czy twój pokój nigdy nie był modernizowany?

Carrie Louise zrobiła zdziwioną minę.

– Nie. Wszystko pozostało dokładnie tak samo, jak wtedy gdy mieszkaliśmy tu razem, ja i Eric. Oczywiście co jakiś czas pokoje maluje się na nowo, ale zawsze zachowując ten sam kolor. To w końcu nie jest wcale takie ważne. To znaczy, uważam, że byłoby nie w porządku wydawać pieniądze na głupstwa, podczas gdy jest tyle ważniejszych spraw.

– Chcesz przez to powiedzieć, że w tym domu nigdy niczego nie zmieniono?

– Ależ skąd, zmieniono bardzo wiele. W pierwotnym stanie zachowaliśmy korpus główny budynku, czyli wielki hol i wszystkie położone wokół niego pomieszczenia. To są najbardziej reprezentacyjne pokoje. Johnnie – mój drugi mąż – zawsze się nimi zachwycał i uważał, że powinny zostać niezmienione. Był prawdziwym artystą i znał się na sztuce. Natomiast skrzydła boczne zostały przebudowane. Ogromne pokoje podzielono; mieszczą się w nich teraz pomieszczenia biurowe i sypialnie dla personelu. Młodzież mieszka w budynku szkolnym. Możesz go stąd zobaczyć.

Panna Marple spojrzała we wskazanym kierunku. Za drzewami widać było kilka budynków z czerwonej cegły. Potem skierowała wzrok nieco bliżej i uśmiechnęła się, mówiąc:

– Gina jest bardzo piękna.

Twarz Carrie Louise rozjaśniła się.

– O, tak – powiedziała miękko. – To wspaniale mieć ją znowu tutaj. Na początku wojny wysłałam ją do Stanów, do Ruth. Czy wspominała ci o tym?

– Tak.

Carrie Louise westchnęła.

– Biedna Ruth! Zupełnie nie potrafiła się pogodzić z małżeństwem Giny. Ciągle jej powtarzałam, że ja nie robię Ginie z tego powodu najmniejszych wyrzutów. Ruth zdaje się ciągle jeszcze nie rozumieć, że takie pojęcia jak sfera czy klasa społeczna dawno już straciły na znaczeniu.

W czasie wojny Gina działała w Obronie Cywilnej i tam właśnie poznała Waltera. Służył

w marynarce, a jego przełożeni mieli o nim jak najlepszą opinię. Tydzień później wzięli ślub. Oczywiście to wszystko odbyło się trochę zbyt szybko, właściwie nie mieli nawet czasu, aby się bliżej poznać. Ale tak właśnie się to dzisiaj odbywa wśród młodej generacji. Możemy czasami uważać, że młodzi ludzie postępują nierozsądnie, ale musimy się pogodzić z ich decyzjami. Natomiast Ruth była oburzona.

– Uważała, że ten młody człowiek jest nieodpowiedni?

– Mówiła, że tak naprawdę, to my o nim nic nie wiemy. Cóż, Walter pochodzi ze Środkowego Zachodu, nie ma pieniędzy ani żadnego zawodu. Obecnie wszędzie spotyka się setki takich młodzieńców. Ale zdaniem Ruth nie był to odpowiedni człowiek dla Giny. Młodzi pobrali się. Bardzo się ucieszyłam, gdy Gina przyjęła moje zaproszenie i przyjechała tu razem z mężem. Tu się tyle dzieje, zawsze jest coś do zrobienia. Gdyby Walter zechciał poświęcić się medycynie albo zdobyć stopień naukowy w jakiejś innej dziedzinie, mógłby to zrobić właśnie w Anglii. No i Stony-gates jest przecież domem rodzinnym Giny. To naprawdę wspaniałe uczucie mieć przy sobie kogoś młodego i wesołego.

Panna Marple przytaknęła. Ponownie spojrzała na dwoje młodych ludzi stojących nad stawem.

– Tworzą bardzo piękną parę – zauważyła. – Wcale się nie dziwię, że Gina się w nim zakochała.

– Ale... ale to wcale nie jest Walter – w głosie Carrie Louise zabrzmiało nagle zakłopotanie. – To Stephen, młodszy syn Johnniego Restaricka. Gdy Johnnie... gdy Johnnie odszedł ode mnie, chłopcy nie mieli gdzie spędzać wakacji. Przyjeżdżali więc i zawsze traktowali ten dom jak swój. A teraz Stephen osiadł tu na stałe. Prowadzi nasze kółko dramatyczne. Mamy prawdziwy teatr. Staramy się rozwijać zdolności artystyczne naszej młodzieży. Lewis twierdzi, że przestępczość wśród młodocianych często rodzi się z chęci imponowania innym. Większość z nich pochodzi z zaniedbanych środowisk, z rozbitych rodzin. Popołniają przestępstwa, gdyż wyobrażają sobie, że są wtedy prawdziwymi bohaterami. Zachęcamy ich, aby sami pisali sztuki, grali w nich, sami projektowali i wykonywali wszystkie dekoracje i kostiumy. Stephen kieruje tym wszystkim. Jest bardzo zaangażowany i znakomicie mu to wychodzi.

– Rozumiem – powiedziała powoli panna Marple.

Miała doskonały wzrok, o czym niejednokrotnie mieli okazję przekonać się jej sąsiedzi z St Mary Mead. Teraz też mogła bez trudu obserwować przystojną, opaloną twarz Stephena Restaricka. Gina stała naprzeciw niego, zwrócona do panny Marple plecami, tak że jej twarzy nie widziała. Ale wyraz twarzy Stephena nie budził żadnych wątpliwości.

– To oczywiście nie moja sprawa... – zaczęła panna Marple – ale chyba zdajesz sobie sprawę, droga Carrie Louise, że on jest w niej zakochany.

– Och, nie! – powiedziała Carrie Louise z przestrawieniem. – Z pewnością nie.

– Jak zwykle chodzisz z głową w chmurach – głos panny Marple brzmiał stanowczo i zdecydowanie. – Tu nie ma żadnych wątpliwości.

IV

Zanim pani Serrocold zdążyła cokolwiek powiedzieć, do biblioteki wszedł jej mąż. W rękę trzymał kilka otwartych listów.

Lewis Serrocold był niskim nieco bezbarwnym mężczyzną, obdarzonym niewątpliwie silną osobowością. Ruth powiedziała kiedyś, że szwagier przypomina jej raczej dynamo niż człowieka. Miał zwyczaj całkowitego koncentrowania się na osobie czy przedmiocie, którymi się akurat zajmował, bez zwracania najmniejszej uwagi na otoczenie.

– To ciężki cios dla mnie, kochanie – powiedział. – Jackie Flint znowu popadł w konflikt z prawem. A tak wierzyłem, że pozostanie uczciwy, gdy da mu się szansę. Zresztą on też był szczerzy w chwili, gdy mi to obiecywał. Zawsze interesowały go koleje, więc myśleliśmy – Maverick i ja – że gdy dostanie pracę na kolei, dołoży wszelkich starań, aby go stamtąd nie wyrzucono. Niestety, znowu ta sama historia – drobne kradzieże w przechowalni bagażu. W dodatku nie kradł wcale rzeczy, które miałyby jakąkolwiek wartość dla niego samego albo które mógłby spieniężyć. To najlepiej dowodzi, że to wszystko ma podłoże psychologiczne. Widocznie nie dotarliśmy jeszcze do źródeł jego zaburzeń. Nie mam jednak zamiaru poddawać się.

– Pozwól, Lewisie, to jest moja przyjaciółka, panna Marple.

– Bardzo mi przyjemnie – mruknął pan Serrocold z roztargnieniem. – Oczywiście będzie oskarżony o kradzież. Szkoda, bo to miły chłopak. Może niezbyt mądry, ale miły. Niestety pochodzi z okropnego środowiska. Ja... – urwał gwałtownie, jakby przekręcił w sobie jakiś wyłącznik, i całą swoją uwagę skierował teraz na gościa. – Bardzo mi przyjemnie, panno Marple, że zdecydowała się pani odwiedzić nas. To będzie wielka radość dla Caroline mieć przy sobie przyjaciółkę z dawnych czasów. Pod wieloma względami jej życie tutaj jest dosyć ciężkie. Atmosfera w domu często bywa przygnębiająca. Historie tych biednych dzieciaków są czasami tragiczne. Mam nadzieję, że przyjechała pani do nas na dłużej.

Panna Marple pomyślała, że Lewis Serrocold ma w sobie jakiś rodzaj magnetyzmu. Mogła teraz łatwo zrozumieć, dlaczego wywarł wrażenie na jej przyjaciółce. Nie ulegało wątpliwości, że uwielbia opowiadać o swoich „przypadkach”. Inne kobiety mogłyby to drażnić, ale nie Carrie Louise.

Lewis Serrocold wyciągnął z koperty następny list.

– Na szczęście dochodzą do nas także i pomyślnie nowiny. Mam tu wiadomość z Wiltshire and Somerset Bank. Młody Morris sprawuje się wyśmienicie. Są z niego bardzo zadowoleni i chcą go zatrudnić także w przyszłym miesiącu. Zawsze wiedziałem, że to, czego mu potrzeba, to pewnej odpowiedzialności, a także zrozumienia, co właściwie oznaczają pieniądze. Rozumie pani – Lewis mówił teraz bezpośrednio do panny Marple – połowa tych chłopców nie wie, czym naprawdę są pieniądze. Oznaczają one dla nich wyłącznie kino, wyścigi czy papierosy. Ale są znakomitymi rachmistrzami i potrafią wyśmienicie żonglować liczbami. Myślę, że właściwą metodą w postępowaniu z nimi jest – że się tak wyrażę – postawić im problem pieniędzy przed samym nosem, pozwolić im kształcić się w dziedzinie księgowości. Daje im to praktykę, wyrabia poczucie odpowiedzialności i uczy ich obchodzenia się z pieniędzmi w sposób profesjonalny. Stosując tę metodę, osiągnęliśmy naprawdę znakomite efekty wychowawcze. Tylko w dwóch przypadkach na trzydzieści osiem ponieśliśmy porażkę. Jeden z naszych wychowanków został głównym kasjerem w dużej firmie farmaceutycznej. To bardzo odpowiedzialne stanowisko... – Odwrócił się do żony. – Podano herbatę, moja droga.

– Myślałam, że wypijemy w bibliotece. Mówiłam Jolly...

– Nie, nakryto już w holu. Chodźmy, wszyscy już pewnie czekają.

Carrie Louise wsparła się na ramieniu panny Marple i cała trójka udała się do holu.

Stojący tam stół, nakryty do herbaty, prezentował się nie najlepiej. Na tacy znajdowała się zbieranina najprzeróżniejszych nakryć stołowych: białe, codzienne filiżanki do herbaty sąsiadowały z resztkami cennej porcelany Rockinghama i Spode'a. Obok bochenka chleba stały dwie salaterki z marmoladą i talerz pełen niezbyt apetycznie wyglądających ciastek. Przy stole siedziała pulchna, siwowłosa kobieta w średnim wieku. Pani Serrocold zwróciła się do przyjaciółki:

– Jane, to jest moja córka Mildred. Widziałas ją, gdy była małą dziewczynką.

Ze wszystkich dotychczas napotkanych mieszkańców tego domu Mildred najlepiej pasowała do otoczenia. Sprawiała wrażenie osoby spokojnej i godnej. Miała już grubo po trzydzieście, gdy została żoną kanonika kościoła anglikańskiego. Wyglądała dokładnie tak, jak powinna wyglądać wdowa po kanoniku – pełna godności, opanowana i trochę nudna. Mildred Strete miała twarz zupełnie pozbawioną wyrazu i bezmyślne oczy. Panna Marple przypomniała sobie, że już jako dziecko Mildred wyglądała podobnie.

– A to jest Walter Hudd, mąż Giny.

Walter był wysoki, miał ponurą twarz i włosy zaczesane do tyłu. Nic nie mówiąc, uklonił się niezgrabnie i sięgnął po kolejne ciastko.

Gina i Stephen Restarick pojawili się w holu w wyśmienitych humorach.

– Gina wpadła na doskonały pomysł scenografii – powiedział Stephen. – Ona ma prawdziwie teatralny zmysł.

Gina roześmiała się. Widać było, że ten komplement sprawił jej przyjemność.

Jako ostatni pojawił się Edgar Lawson i zajął miejsce obok Lewisa Serrocolda. Gdy Gina o coś go zapytała, udał, że nie słyszy.

Panna Marple uznała, że to wszystko jest trochę deprymujące. Była szczęśliwa, gdy mogła wreszcie udać się do swojej sypialni i odpocząć.

* * *

Do kolacji zasiadło jeszcze więcej osób. Oprócz domowników przy stole pojawił się doktor Maverick, psycholog czy też psychiatra – panna Marple niezbyt dobrze rozróżniała te dwie specjalności. W rozmowie posługiwał się wyłącznie zawodowym żargonem i jego wywodów kompletnie nie rozumiała. Poza nim byli jeszcze dwaj młodzi mężczyźni w okularach, wychowawcy internatu, a także pan Baumgarten, terapeuta, i wreszcie trzech nieśmiali wychowankowie, na których tego wieczoru wypadła kolej „bycia gośćmi”. Jeden z nich, blondynek o niebieskich, niewinnych oczach, był – jak szepnęła pannie Marple Gina – specem od przeróżnych oszukańczych trików.

Jedzenie okazało się niezbyt dobre. Niewyszukane, przygotowane bez specjalnej staranności potrawy zostały równie niestarannie podane. Biesiadnicy byli ubrani dość dowolnie. Panna Bellever miała na sobie czarną, zapiętą pod szyję suknię, Mildred Strete suknię wieczorową z zarzuconym na ramiona wełnianym swetrem, pani Serrocold szary kostium, a Gina barwną sukienkę. Ani Walter Hudd, ani Stephen Restarick nie przebrali się do kolacji. Edgar Lawson miał na sobie ciemnoniebieski garnitur, a Lewis Serrocold żakiet. Lewis jadł niewiele, zdawał się w ogóle nie zwracać uwagi na to, co ma na talerzu.

Po kolacji Lewis Serrocold i doktor Maverick udali się do gabinetu na codzienną naradę. Terapeuta i obaj wychowawcy poszli do siebie, a trzy „przypadki” wróciły do internatu.

Gina i Stephen Restarick skierowali kroki do teatru, dyskutując po drodze nowy pomysł Giny. Mildred zajęła się robótką, a panna Bellever cerowała pończochy. Walter Hudd rozsiadł się wygodnie w fotelu, spoglądając bezmyślnie przed siebie. Carrie Louise i panna Marple pogrzyły się w ożywionej rozmowie o przeszłości.

Jedynie Edgar Lawson nie potrafił znaleźć sobie miejsca. Niespokojnie krążył po holu,

przysiadł na chwilę, by potem znowu zerwać się na równe nogi i podjąć wędrówkę.

– Może powinienem pójść do pana Serrocolda – odezwał się półgłosem. – Może mnie potrzebuje.

– Nie sędzę – powiedziała Carrie Louise łagodnym tonem. – Mąż chciał dzisiaj wieczorem omówić z doktorem Maverickiem pewien przypadek.

– W takim razie nie będę, oczywiście, przeszkadzał. Nie przyszłoby mi nawet do głowy iść tam, gdzie mnie nikt nie prosił. Nawiasem mówiąc, zmarnowałem dzisiaj mnóstwo czasu, jadąc na dworzec. Okazało się to zupełnie zbędne, skoro pani Hudd też się tam wybrała.

– Powinna była pana uprzedzić – przyznała Carrie Louise – ale sędzę, że po prostu zdecydowała się w ostatniej chwili.

– Chyba zdaje sobie pani sprawę z tego, że Gina potraktowała mnie jak głupca! Jak kompletnego idiotę!

– Ależ nie – powiedziała Carrie Louise z uśmiechem – naprawdę nie powinien pan tak myśleć.

– Wiem, że nikomu nie jestem tutaj potrzebny, że nikt nie życzy sobie mojej obecności... Jestem tego zupełnie świadomy! Wszystko wyglądałoby inaczej, gdybym zajmował należną mi w życiu pozycję. Wszystko! Ale to przecież nie moja wina, że nie mogę mieć tego, co mi się w życiu należy...

– Ależ, Edgarze – Carrie Louise mówiła wyrozumiale, niczym do dziecka – niechże się pan tak nie unosi z powodu byle drobiazgu. Jane uważa, że to było bardzo miłe z pana strony, że wyjechał pan po nią na dworzec. A Gina zawsze miewa takie nieoczekiwane pomysły. Z pewnością nie chciała pana obrazić.

– A właśnie, że chciała! Zrobiła to umyślnie, żeby mnie upokorzyć!

– Ależ Edgarze...

– Pani nie zdaje sobie sprawy ani z połowy wszystkich historii, jakie się tutaj dzieją, pani Serrocold. Ale dobrze, nie powiem już nic więcej. Dobranoc państwu.

Z lekkim ukłonem Edgar Lawson opuścił hol, trzaskając przy tym drzwiami.

Panna Bellever westchnęła:

– Co za maniery!

– On jest bardzo drażliwy – powiedziała Carrie Louise pojednawczo.

Mildred Strete zastukała gwałtownie drutami i wtrąciła ostro:

– To doprawdy osobliwy młody człowiek. Nie powinnaś była tolerować takiego zachowania, mammo.

– Kiedy Lewis twierdzi, że on nie jest temu winien.

– Każdy powinien odpowiadać za swoje postępowanie – odparła gwałtownie Mildred. – Oczywiście Gina także jest temu winna. Kompletny brak odpowiedzialności. Jednego dnia ośmiela tego młodego człowieka, a drugiego daje mu prztyczka w nos. I czego można potem oczekiwać?

Walter Hudd odezwał się po raz pierwszy tego wieczoru:

– Przecież ten facet to kompletny wariat. Oni wszyscy to wariaci.

* * *

Późnym wieczorem, leżąc już w łóżku, panna Marple usiłowała uporządkować nieco swoje pierwsze wrażenia z pobytu w Stonygates. To wszystko wydawało się takie pogmatwane. Wyczuwała różne prądy i przeciwprądy... Czy to jednak mogło tłumaczyć niepokój Ruth van Rydock? Panna Marple miała wrażenie, że sama Carrie Louise nie jest w żaden sposób zaniepokojona tym, co się dzieje wokół niej. Stephen był niewątpliwie zakochany w Ginie. Gina mogła – chociaż nie musiała – być zakochana w Stephenie. Walter Hudd z pewnością nie czuł się

dobrze w tym domu. Ale podobne historie mogły się przydarzyć w każdej niemal rodzinie; nie było w nich nic nadzwyczajnego. Tego typu sprawy z reguły kończyły się rozwodem, a potem każda ze stron radośnie rozpoczynała nowe życie, do momentu dopóki nie uwikłała się w coś po raz drugi. Mildred Strete nie lubiła Giny i wyraźnie była o nią zazdrosna, co – jak sądziła panna Marple – było zupełnie naturalne.

Panna Marple przypominała sobie, co jej opowiadała Ruth van Rydock. O rozczarowaniu Carrie Louise z powodu braku dziecka, o adoptowaniu małej Pippy i przyjściu na świat Mildred. Takie przypadki zdarzają się dość często, jak powiedział kiedyś pannie Marple znajomy lekarz, i prawdopodobnie są wynikiem rozładowania napięcia spowodowanego brakiem dziecka. Dodał wtedy jeszcze, że dla adoptowanego dziecka jest to z reguły ciężkie przeżycie. Ale w tym wypadku było inaczej. Zarówno Gulbrandsen, jak i jego żona dosłownie ubóstwiali małą Pippę. Zbyt mocno wrosła w ich serca, by dać się stamtąd łatwo wyrugować. Gulbrandsen miał już dorosłych synów, dla niego fakt ponownego bycia ojcem nie był już tak bardzo ważny. W przypadku Carrie Louise Pippa uśmierzyła jej tęsknotę za macierzyństwem, ciąża natomiast była bardzo męcząca, a poród długi i bolesny. Carrie Louise, która tak naprawdę nigdy przedtem nie zetknęła się z rzeczywistością, odczuwała prawdopodobnie niewiele radości przy pierwszym, prawdziwym z nią kontakcie.

Przy jej boku wzrastały potem dwie dziewczynki, jedna śliczna i wesoła, druga niezbyt ładna i nudna. W tym też nie było nic dziwnego. Do adopcji ludzie biorą najczęściej ładne dzieci. Mildred miałaby więcej szczęścia, gdyby odziedziczyła cechy Martinów, którzy wydali na świat i przystojną Ruth, i subtelną Carrie Louise. Niestety, natura chciała inaczej i uczyniła ją podobną do Gulbrandsenów – grubokościstą, nieciekawą i bezbarwną.

Co więcej, Carrie Louise postanowiła, że adoptowana córka nigdy nie powinna odczuć, że nie jest dzieckiem rodzonym. Dlatego często bywała zbyt serdeczna i pobłażliwa dla Pippy, a dla Mildred zbyt oschła.

Pippa wyszła za mąż i wyjechała do Włoch. Przez pewien czas Mildred była jedyną córką w domu. Ale później Pippa zmarła i w Stonygates pojawiła się wnuczka. Mildred po raz drugi została odstawiona na boczny tor. Potem nastąpiło ponowne małżeństwo Carrie Louise i przybycie do domu młodych Restaricków. W 1934 roku Mildred poślubiła prawie piętnaście lat starszego od siebie kanonika i wraz z nim zamieszkała w południowej Anglii. Być może wtedy zaznała szczęścia. Dzieci nie mieli. A teraz znowu zamieszkała w domu, w którym wzrastała. I znowu nie była tu szczęśliwa.

Gina, Stephen, Walter, Mildred... Panna Bellever, pragnąca zaprowadzić w gospodarstwie porządek i rutynę... Lewis Serrocold, wybraniec losu, jeden z niewielu idealistów, którzy mogli swoje idee wcielić w życie... U żadnego z domowników panna Marple nie mogła się dopatrzeć niczego niepokojącego. Carrie Louise wyglądała na zupełnie spokojną – przez całe swoje życie była taka. Cóż odczuła Ruth w atmosferze tego miejsca? I czy ona, Jane Marple, odczuwa teraz to samo?

A co z innymi, nie należącymi do ścisłego grona domowników? Z terapeutą, wychowawcami, młodym doktorem Maverickiem, nieletnimi kryminalistami o anielskich twarzyczkach, z Edgarem Lawsonem...?

Panna Marple, która już prawie zasypiała, poderwała się na łóżku. Edgar Lawson... Ten młody człowiek przypominał jej kogoś... Tak, z Edgarem stanowczo było coś nie w porządku.

Z pewnością był nieprzystosowany – zdaje się, że tak się to obecnie nazywa. Ale to przecież nie mogło mieć nic wspólnego z Carrie Louise?

Panna Marple potrząsnęła głową w zamyśleniu.

Z pewnością coś musiało się kryć za tym wszystkim. Ale co?

V

Następnego ranka, unikając spotkania z dawną przyjaciółką, panna Marple skierowała swe kroki do ogrodu. Jego wygląd sprawił ją w przygnębienie. Kiedyś było to niewątpliwie wspaniałe miejsce – z malowniczymi kępami rododendronów, rozległymi trawnikami, wypielęgnowanymi grządkami i starannie przyciętym żywopłotem otaczającym ogród różany.

Teraz wszystko zostało w okropny sposób zaniedbane: trawnik był przystrzyżony nierówno, grządki porośnięte chwastami, a ścieżki mchem. Znaczną część, gdzie kiedyś rosły kwiaty, zamieniono na kort tenisowy.

W przeciwieństwie do ogrodu, warzywnik otoczony czerwonym ceglany murem, był starannie pielęgnowany, co zawdzięczał prawdopodobnie swojej użyteczności.

Panna Marple z dezaprobatą przyjrzała się zarośniętej chwastami grządce. Potrząsnęła głową i schyliła się, aby wyrwać płożące się zielsko.

Gdy wyprostowała się, trzymając w dłoni wyrwany chwast, zauważyła w oddali Edgara Lawsons, który na jej widok zawahał się i przystanął. Panna Marple nie miała zamiaru pozwolić mu odejść. Energicznie skinęła ręką. Gdy podszedł bliżej, zapytała go, czy wie, gdzie przechowuje się narzędzia ogrodnicze.

Edgar wzruszył ramionami i stwierdził, że gdzieś w pobliżu powinien kręcić się ogrodnik, który z pewnością będzie to wiedział.

– Jaka szkoda, że grządki są takie zaniedbane – powiedziała panna Marple. – Bardzo lubię pracę w ogrodzie. – I ponieważ nie życzyła sobie, aby Edgar oddalił się w poszukiwaniu ogrodnika, dodała prędko: – Jakież może być inny pożytek ze starej, bezużytecznej kobiety? Ale pan z pewnością nie zaprzęta sobie głowy takimi drobiazgami, jak praca w ogrodzie. Domyślam się, że zajmuje się pan rzeczami o wiele poważniejszymi. Być prawą ręką pana Serrocolda to bardzo odpowiedzialne zadanie. Pańska praca musi być bardzo interesująca.

– O tak, tak – potwierdził Edgar skwapliwie.

– Pańska pomoc niewątpliwie jest dla pana Serrocolda niezmiernie cenna.

Twarz Edgara Lawsons zachmurzyła się.

– Nie wiem, doprawdy nie wiem. Zupełnie nie pojmuję, co się za tym kryje... – Urwał raptownie.

Panna Marple obserwowała go w zamyśleniu: nieco nerwowy wysoki młody człowiek w schludnym ciemnym garniturze; młodzieniec, na którego niewielu ludzi zwróciłoby baczniejszą uwagę.

W pobliżu stała ławka. Panna Marple skierowała tam swoje kroki i usiadła. Edgar Lawson stanął przy niej z ponurym wyrazem twarzy i zmarszczonym czołem.

– Jestem pewna – zaczęła z mocą – że pan Serrocold bardzo wiele zawdzięcza pańskiej pomocy.

– Nie wiem – odparł Edgar – naprawdę nie wiem. – Wyglądał na zakłopotanego. – Moje położenie tutaj jest bardzo trudne – powiedział wreszcie, siadając na ławce.

– Tak? – zachęciła go.

Młody człowiek spoglądał przed siebie.

– To wszystko jest oczywiście tajemnicą – rzucił nagle.

– To zrozumiałe.

– Gdyby przyznano należne mi prawa...

– Tak?

– Dobrze, powiem wszystko. Jestem pewien, że pani tego nikomu nie powtórzy.

– Oczywiście – potwierdziła panna Marple. Nie uszło jej uwagi, że Edgar mówił dalej, nie czekając bynajmniej na jej zapewnienie.

– Mój ojciec... mój ojciec jest wybitną osobistością.

Panna Marple przysłuchiwała się z uwagą.

– Nikt, poza panem Serrocoldem, o tym nie wie. Gdyby cała sprawa wyszła na jaw, mogłoby to zaszkodzić pozycji mojego ojca. – Edgar zwrócił ku panie Marple swoją twarz i uśmiechnął się. Był to uśmiech pełen dumy. – Trzeba pani wiedzieć, że jestem synem Winstona Churchilla.

– Och! – zawołała panna Marple. – Rozumiem.

I rzeczywiście rozumiała. Pomyślała o pewnej, bardzo smutnej historii, jaka wydarzyła się w St Mary Mead, i o tym, jak się ta historia skończyła.

Edgar Lawson kontynuował opowieść, a to, co mówił, było tylko powtórzeniem starego, dobrze znanego schematu.

– Moja matka nie była wolna. Jej mąż przebywał w zakładzie dla obłąkanych.

O rozwodzie i powtórnym małżeństwie w tych okolicznościach nie mogło być mowy. Nie winię ich za to. Naprawdę... ja... staram się... Ojciec uczynił dla mnie wszystko, co mógł. Dyskretnie. Ale później doszło do nieszczęścia. Ojciec ma wielu wrogów, którzy teraz występują także przeciwko mnie. Udało im się nas rozdzielić. Obserwują mnie, szpiegują wszędzie. Są odpowiedzialni za to, że nic mi się nie udaje.

Panna Marple potrząsnęła głową.

– Mój Boże, mój Boże.

– Studiowałem w Londynie medycynę. Dobrali się do moich testów egzaminacyjnych, pozamieniali wszystkie odpowiedzi. Chcieli, żebym oblał. Prześladowali mnie na ulicy, oczernili przed moją gospodynią. Czuję się przez nich dosłownie zaszczuty.

– Ale tego nie może pan powiedzieć z całą stanowczością – powiedziała panna Marple uspokajająco.

– Mówię pani, że wiem! Och, oni są bardzo sprytni. Nigdy ich nie widziałem, nie wiem, kim są. Ale ja ich jeszcze zdemaskuję... Pan Serrocold zabrał mnie z Londynu i przywiózł tutaj. Był dla mnie taki dobry. Bardzo dobry. Ale nawet tu nie czuję się całkowicie bezpieczny. Oni są także tutaj, działają przeciwko mnie. To oni sprawili, że nikt mnie nie lubi. Pan Serrocold mówi, że to nieprawda, ale pan Serrocold nie wie wszystkiego. Chociaż czasami myślę... – Edgar urwał i podniósł się z ławki. – Oczywiście powiedziałem to w zaufaniu. Pani to rozumie, prawda? Gdyby pani zauważyła, że ktoś mnie śledzi, proszę mi koniecznie dać znać!

Oddalił się. Starannie ubrany, lekko zdenerwowany młody człowiek, niby niczym nie różniący się od innych młodych ludzi. Panna Marple spoglądała w zamyśleniu. W Edgarze było jednak coś dziwnego.

– Wariactwo – usłyszała nagle – kompletne wariactwo.

Przed nią stał Walter Hudd z rękami głęboko schowanymi w kieszeniach spodni. Ze zmarszczonymi brwiami również przyglądał się oddalającemu się Lawsonowi.

– W tej budzie naprawdę wszyscy powariowali – stwierdził.

Panna Marple nie odezwała się.

– Co pani sądzi o tym Edgarze? Facet utrzymuje, że jego ojcem jest lord Montgomery. Akurat, stary Monty! W świetle tego, co o nim słyszałem, wydaje mi się to zupełnie nieprawdopodobne.

– Tak – powiedziała panna Marple – to jest zupełnie nieprawdopodobne.

– Za to Ginie opowiadał coś zupełnie innego. Mówił, że jest synem Wielkiego Księcia i ma prawa do tronu rosyjskiego. Czy ten facet nie wie, kto jest jego ojcem?

– Obawiam się, że nie – odparła panna Marple – i stąd właśnie biorą się jego kłopoty.

Walter Hudd opadł na ławkę obok niej, powtarzając po raz kolejny:

– W tej budzie wszyscy chyba powariowali. Kompletny dom wariatów.

– Pan nie czuje się zbyt dobrze w Stonygates?

Młody człowiek zmarszczył czoło.

– Nie mogę się w tym wszystkim połapać. Niech pani popatrzy na ten dom, na otoczenie.

Przecież ci ludzie są bogaci. Nie potrzebują martwić się o pieniądze. A jak żyją? Cenna porcelana cała w szczerbach, a obok zwykły fajans. Brak odpowiedniej służby, tylko zupełnie przypadkowo dobrana pomoc domowa. Srebra stołowe poczerniałe, bo nie ma komu tego czyścić. Tapety, zasłony, obicia mebli – wszystko z brokatu i atlasu, tyle że brudne i postrzępione. Pani Serrocold kompletnie nie zwraca uwagi na takie rzeczy. Nie zauważa ich po prostu. Widziała pani jej suknię wczoraj wieczorem? Znoszona i cerowana pod pachą. A przecież mogłaby po prostu pójść do sklepu i kupić sobie nową. Stać ją na zakupy nawet na Bond Street. Pieniądze? Przecież ma mnóstwo forsy.

Przez chwilę siedział pogrążony w myślach.

– Rozumiem, że można nie mieć pieniędzy. Być biednym to przecież nic złego. Gdy się jest zdrowym, młodym i chętnym do pracy. Nigdy nie miałem zbyt wiele pieniędzy, ale zawsze robiłem, co chciałem. Myślałem o otwarciu warsztatu samochodowego. Odłożyłem na ten cel trochę forsy. Rozmawiałem też z Giną na ten temat. Zgodziła się. Wydawało mi się, że mnie rozumie. Nie wiedziałem o niej zbyt wiele. W mundurkach dziewczęta nie różnią się jedna od drugiej. To znaczy chciałem powiedzieć, że gdy noszą mundur, nie można rozpoznać, która z nich ma pieniądze, a która nie. Trochę się bałem, że Gina będzie mnie w jakiś sposób przewyższać, na przykład wykształceniem. Ale to okazało się nie mieć dla niej znaczenia. Szaleliśmy dosłownie za sobą, więc pobraliśmy się. Podjąłem swoje oszczędności. Gina powiedziała mi, że też ma pieniądze. Chcieliśmy otworzyć ten warsztat. Byliśmy do szaleństwa zakochani w sobie, czasami zachowywaliśmy się dosłownie jak dzieci. A potem wtrąciła się w to wszystko ta arystokratyczna ciotka Giny i narobiła zamieszania. A poza tym... Gina chciała pojechać do Anglii i odwiedzić babkę. To zrozumiałe. Stonygates to przecież jej dom rodzinny. Zresztą ja też chciałem zobaczyć Anglię, o której się tyle nasłuchiwałem. Tak więc przyjechaliśmy tutaj. W odwiedziny. Tak się nam przynajmniej wydawało...

Nachmurzył się jeszcze bardziej.

– Ale wszystko okazało się inne, niż przypuszczaliśmy. Nagle znaleźliśmy się w centrum tego kołowrotka. Wszyscy nam powtarzali: „Dlaczego nie zostaniecie tutaj na stałe, dlaczego nie założycie tutaj domu?”. Rzekomo byłaby tu dla mnie praca. Praca! Nie mam zamiaru karmić tych małych gangsterów cukierkami i bawić się z nimi w dziecinne gry i zabawy. To przecież nie ma sensu. Ta posiadłość mogłaby być naprawdę wspaniała. Czy ludzie, którzy mają pieniądze, nie potrafią docenić własnego szczęścia? Czy oni nie rozumieją, że nie każdego byłoby stać na taką rezydencję? Dlaczego nie przywiązują do tego większej wagi? Naprawdę nie mam nic przeciwko pracy, ale chcę pracować w sposób, jaki sam sobie wybiorę, tak aby mi to przyniosło zadowolenie. Chcę coś w życiu osiągnąć. Tutaj odnoszę wrażenie, że wpadłem w sidła, a Gina... Nie rozumiem Giny. Nie jest to już ta sama dziewczyna, którą poślubiłem w Stanach. Tutaj nie mogę z nią nawet poważnie porozmawiać. Do diabła z tym wszystkim!

– Doskonale pana rozumiem – powiedziała miękko panna Marple.

Walter Hudd rzucił jej szybkie spojrzenie.

– Pani jest tutaj jedyną osobą, z którą mogłem porozmawiać. Normalnie jestem zamknięty w sobie niczym ostryga. Nie wiem, dlaczego akurat przed panią tak się otworzyłem. Pani jest stuprocentową Angielką, a jednak w jakiś sposób przypomina mi pani moją ciotkę Betsy, tam w domu.

– Bardzo mnie to cieszy.

– To była mądra kobieta – ciągnął w zamyśleniu. – Wyglądała niezwykle krucho i delikatnie, tak że człowiekowi mogłoby się wydawać, iż każda przeciwność losu ją załamie. W istocie jednak była twarda jak skała. – Powoli podniósł się z ławki. – Pozwoli pani, że sobie już pójdę – powiedział i uśmiechnął się. Był to zniewalający uśmiech. Ze skrzywionego ponuraka Walter Hudd przeobraził się nagle w przystojnego, sympatycznego młodego mężczyznę. – Musiałem wreszcie wyrzucić z siebie to wszystko. Ale przykro mi, że akurat panią tym zanudzałem.

– Nie potrzebuje pan robić sobie wyrzutów z tego powodu, mój drogi chłopcze – powiedziała panna Marple przyjaźnie. – Ja także mam siostrzeńca. Jest oczywiście o wiele starszy od pana.

Jej myśli powędrowały ku osobie Raymonda Westa, dojrzałego, lekko zblazowanego współczesnego pisarza. Doprawdy trudno byłoby wyobrazić sobie większe przeciwieństwo dla Waltera Hudda.

– Będzie pani miała towarzystwo – odezwał się Walter – ale ponieważ ta dama mnie nie cierpi, więc znikam. Jeszcze raz dziękuję, że pozwoliła mi pani się wygadać.

Oddalił się pośpiesznie, a panna Marple skierowała swój wzrok ku Mildred Strete, sunącej ku niej przez trawnik.

* * *

– Widzę, że trzeba było znosić towarzystwo tego okropnego człowieka – powiedziała pani Strete, siadając na ławce. – Co za tragedia...

– Tragedia?

– Małżeństwo Giny. Tak, wszystko wzięło się z tego, że wysłano ją do Stanów. Mówiłam mamie swego czasu, że postępuje nad wyraz nierozsądnie. W końcu mieszkamy tu w bardzo spokojnej okolicy; nigdy nie było tu żadnych nalotów. Nie znoszę, jak ludzie wpadają w panikę, jeśli idzie o ich rodziny i o nich samych.

– To musiało być bardzo trudne umieć właściwie ocenić sytuację – zauważyła panna Marple – zwłaszcza gdy w domu były dzieci. Trzeba się było liczyć zarówno z niebezpieczeństwem nalotów bombowych, jak i inwazji, co dla dzieci oznaczałoby przecież wzrastanie pod okupacją niemiecką.

– Nonsens. Nigdy nie miałam najmniejszych wątpliwości, że wygramy tę wojnę. Ale mama zawsze była nierozsądna, gdy chodziło o Ginę. Zawsze ją rozpieszczała. Już samo sprowadzenie Giny z Włoch było zupełnie niepotrzebne.

– Ale ojciec Giny nie miał nic przeciwko temu, prawda?

– San Severiano! Był dokładnie taki, jak wszyscy Włosi. Nie interesowało go nic poza pieniędzmi. Poślubił Pippę wyłącznie dla jej majątku.

– Mój Boże, a ja sądziłam, że bardzo ją kochał i że nie mógł przyjść do siebie po jej śmierci.

– Udawał, po prostu udawał. Mama popierała małżeństwo Pippy z cudzoziemcem. Nie mogłam tego zrozumieć. Prawdopodobnie, jak wszyscy Amerykanie, uległa czarowi jego arystokratycznego tytułu.

Panna Marple odezwała się łagodnie:

– Zawsze myślałam, że droga Carrie Louise żyje ideałami, że nie przywiązuje wagi do rzeczy przyziemnych.

– O tak, wiem. Nie mam już cierpliwości do jej postawy. Te wszystkie fanaberie i kaprysy, cały ten idealizm, są po prostu nie do zniesienia. Nie masz pojęcia, ciociu Jane, co to naprawdę oznacza. Ja mogłabym wiele powiedzieć na ten temat, znam ten problem od podszewki.

Panna Marple była lekko zdumiona, słysząc owo skierowane do niej „ciociu Jane”. A przecież nie było w tym nic nadzwyczajnego. W przeszłości, przesyłając córeczkom Carrie Louise prezenty gwiazdkowe, zawsze podpisywała paczuszki „Od cioci Jane”. Nic więc dziwnego, że dla Mildred była po prostu „ciocią Jane”.

Spojrzała zamyślona na podstarzałą kobietę, siedzącą obok niej na ławce, na jej wąskie wargi, głębokie zmarszczki biegnące od nosa ku kącikom ust, na mocno zaciśnięte dłonie.

– Musiałaś mieć trudne dzieciństwo, Mildred – powiedziała miękko.

Pani Strete popatrzyła na pannę Marple z wyrazem prawdziwej wdzięczności.

– O, tak. Cieszę się, że chociaż jedna osoba mnie rozumie. Ludzie często nie zdają sobie sprawy z tego, co dziecko musi przecierpieć. Pippa była ładniejsza ode mnie, była też starsza. Wszystko kręciło się wokół niej, zawsze była na pierwszym planie. I uwielbiała to. A ja byłam zawsze „ta druga”, ta cicha i nieśmiała. Pippa nie wiedziała, co znaczy zakłopotanie. Dzieci potrafią nieraz bardzo cierpieć, ciociu Jane.

– Wiem o tym.

– Pippa zawsze powtarzała: „Mildred jest głupia”. A ja przecież byłam młodsza od niej i trudno było oczekiwać, abym jej dotrzymała kroku w nauce. Uważam, że faworyzując starsze dziecko, wyrządza się młodszemu wielką krzywdę. „Co za urocza dziewczynka”, mówili wszyscy o Pippie. Mnie nikt nie zauważał. Tata bawił się i żartował zawsze tylko z nią. Bardzo mnie to bolało, gdy widziałam, że ludzie tylko ją darzą sympatią. Byłam wówczas zbyt młoda, aby wiedzieć, że w życiu tak naprawdę liczy się tylko charakter... – Wargi Mildred zdrzały niebezpiecznie. Ale opanowała się szybko i mówiła dalej: – To niesprawiedliwe, bardzo niesprawiedliwe. Przecież ja byłam rodzonym dzieckiem! Pippę tylko adoptowano. Ja byłam córką, ona – nikim.

– Może właśnie dlatego tak jej pobłażano – zauważyła panna Marple.

– Tak, możliwe. Była w końcu dzieckiem, którego rodzice nie chcieli, może nawet dzieckiem nieślubnym. – Milczała przez chwilę, a potem dodała: – To widać po Ginie. Ta dziewczyna ma złą krew. A krew jest zawsze decydująca. Lewis może mówić co chce na temat wpływu środowiska. Krew rozstrzyga o wszystkim. Gina jest tego przykładem.

– To przecież czarująca dziewczyna – rzekła panna Marple.

– Jej zachowania nie nazwałabym czarującym. Wszyscy, oprócz matki oczywiście, widzą, jak prowadzi się ze Stephenem Restarickiem. Obrzydliwe! Trzeba przyznać, że jej małżeństwo jest nieudane, ale w końcu małżeństwo pozostaje małżeństwem i trzeba się z tym pogodzić. Przecież wyszła za tego okropnego człowieka z własnej i nieprzymuszonej woli.

– Czy on naprawdę jest taki okropny?

– Och, ciociu Jane, przecież on wygląda jak prawdziwy gangster. A jaki jest nieuprzejmy. Czasami zachowuje się wręcz grubiańsko. Ledwo raczy otworzyć usta. I często jest taki zaniedbany.

– Mnie on się wydaje raczej nieszczęśliwy.

– Nie rozumiem, doprawdy, dlaczego miałby być nieszczęśliwy, pomijając oczywiście zachowanie Giny. Uczyniono dla niego wszystko. Lewis zaproponował mu pracę. Mógłby pracować, mógłby zrobić coś pożytecznego. Ale skoro on woli włóczyć się z kąta w kąt... – Mildred była bliska wybuchu. – To wszystko jest po prostu nie do zniesienia! Lewis myśli wyłącznie o swoich kryminalistach, a matka wyłącznie o Lewisie. Wszystko, co robi Lewis, jest najważniejsze. Popatrz na ten ogród, ciociu Jane. Jak on wygląda? Te chwasty, to zaniedbanie. A dom? Nic w nim nie jest zrobione porządnie. Wiem, że w dzisiejszych czasach trudno o odpowiednią służbę, ale przecież można by się postarać o lepszych służących. W końcu pieniędzy nie brakuje. Ale to nikogo nie obchodzi! Gdyby to był mój dom... – urwała

gwałtownie.

– Obawiam się, że wszyscy musimy się pogodzić z nieuniknionymi zmianami – zaczęła panna Marple. – Te ogromne rezydencje stanowią w obecnych czasach prawdziwy problem. Musiało cię bardzo zboleć, gdy po powrocie do Stonygates zastałaś to w takim stanie. Czy rzeczywiście wolisz mieszkać tutaj, a nie we własnym domu?

Mildred poczerwieniała niczym piwonia.

– Przecież Stonygates też jest moim domem. Domem mojego ojca, więc mam prawo mieszkać tutaj, jeśli chcę. Gdyby tylko mama nie była taka niemożliwa! Nie mogę jej zmusić do tego, żeby kupiła sobie nową suknię. Jolly też się o to złości.

– Właśnie chciałam cię zapytać o pannę Bellever.

– To naprawdę szczęście, że mamy ją tutaj. Jolly uwielbia mamę. Mieszka z nami już od dawna. Pojawiła się w czasach Johnniego Restaricka. Była wielką podporą dla mamy w czasie tego skandalu. Pewnie słyszałaś, ciociu Jane, że Johnnie uciekł z tą kreaturą, z tą Jugosłowianką. Mama zachowała się wówczas z prawdziwą godnością. Po prostu wyraziła zgodę na rozwód. Posunęła się nawet do tego, że zaczęła zapraszać młodych Restaricków na wakacje. Oczywiście zupełnie niepotrzebnie; sprawę tych chłopców naprawdę mogli rozwiązać inaczej. Ale z drugiej strony nie wolno było dopuścić do tego, aby zostali z ojcem i tą okropną kobietą. W każdym razie przyjechali tutaj. Panna Bellever stała twardo przy mamie w czasie tego całego zamieszania. Czasami wydaje mi się, że Jolly przesadza w ułatwianiu mamie życia. Mama nie byłaby może ani w połowie tak niepraktyczna, gdyby Jolly nie załatwiała za nią pewnych spraw. Ale doprawdy nie wiem, co by mama bez niej zrobiła.

Mildred umilkła. Po chwili powiedziała ze zdumieniem w głosie:

– Lewis idzie tutaj. To dziwne, on bardzo rzadko pojawia się w ogrodzie.

Pan Serrocold wyraźnie zmierzał w stronę ławki, na której siedziały. Zdawał się przy tym zupełnie nie zauważać Mildred. Całą uwagę skupił na pannie Marple.

– Tak mi przykro – odezwał się. – Miałem w planie oprowadzić panią po naszym Instytucie i wszystko pokazać. Caroline mnie o to prosiła. Niestety, muszę jechać do Liverpoolu w sprawie tego chłopca przyłapanego na kradzieży w przechowalni bagażu. Doktor Maverick zajmie się panią. Powinien tu nadejść lada moment. Ja wracam najwcześniej pojutrze. Być może uda mi się załatwić, aby nie musiał odpowiadać przed sądem.

Mildred Strete bez słowa podniosła się z ławki i poszła w stronę domu. Lewis Serrocold zdawał się tego nawet nie zauważyć. Jego oczy za grubymi szklami wpatrywały się badawczo w pannę Marple.

– Władze – mówił – mają prawie zawsze niewłaściwy punkt widzenia na przestępstwa popełniane przez nieletnich. Czasami ferowane wyroki są zbyt łagodne, innym razem znowu zbyt surowe. Gdy taki chłopak dostaje kilka miesięcy więzienia, właściwie nie jest to dla niego żadna kara, raczej przygoda. Ma z tego frajdę, jest wręcz dumny, że siedział. Może tym imponować dziewczynom. Czasami surowy wyrok działa otrzeźwiająco. Młody delikwent pojmuję, że przestępstwo nie popłaca. Ale z wychowawczego punktu widzenia jest najlepiej, gdy wcale nie musi iść do więzienia. Odpowiednia terapia, konstruktywny trening...

– Proszę pana – wpadła mu w słowa panna Marple – czy pan rzeczywiście jest zadowolony z młodego Lawsona? Czy on jest całkiem normalny?

Lewis Serrocold zrobił zaniepokojoną minę.

– Mam nadzieję, że nie doszło u niego do nawrotu. Co on pani powiedział?

– Że jest synem Winstona Churchilla.

– No tak, no tak, stara śpiewka. Biedny chłopak. Jak pani z pewnością odgadła, Edgar jest nieślubnym dzieckiem i pochodzi z bardzo nieciekawego środowiska. Jego przypadek polecono

mi w Londynie. Napadł na ulicy na przechodnia, twierdząc, że tamten go szpieguje. Typowe. Doktor Maverick opowie pani wszystkie szczegóły. Zająłem się tym przypadkiem. Matka Edgara pochodziła ze zubożałej, acz porządnej rodziny z Plymouth. Ojciec był marynarzem, ale nikt – nawet matka – nie znał jego nazwiska. Dziecko wzrastało w bardzo trudnych warunkach materialnych. Wtedy nabrał zwyczaju wymyślania różnych historyjek na temat swojego pochodzenia. Z czasem sam zaczął w nie wierzyć. Naprawdę typowy przypadek. Ale Maverick patrzy na to optymistycznie. Naszym naczelnym zadaniem jest sprawić, by Edgar uwierzył w siebie. Powierzyłem mu odpowiedzialne stanowisko, robię wszystko, aby mu udowodnić, że to nie urodzenie decyduje o wartości człowieka, że powinien uwierzyć we własne możliwości. Poprawa była bardzo wyraźna. Bardzo się z tego cieszyłem. I teraz mówi pani... – Zasepił się.

– Czy on może być niebezpieczny?

– Niebezpieczny? Nie sądzę, aby przejawiał skłonności samobójcze.

– Nie to miałam na myśli. Lawson mówił mi o wrogach i prześladowaniach. Czy... czy to nie jest niebezpieczny symptom?

– Nie wydaje mi się, żeby było aż tak źle. Ale pomówię na ten temat z Maverickiem. –

Popatrzył na zegarek. – Niestety, muszę już iść. Ale oto nadchodzi nasza droga Jolly. Ona się panią zajmie.

– Samochód już zajechał, panie Serrocold – powiedziała zbliżając się panna Bellever. –

A doktor Maverick telefonował z Instytutu. Obiecałam mu, że przyprowadzę pannę Marple. Doktor oczekuje nas przy wejściu.

– Dziękuję pani. Rzeczywiście muszę już jechać. Gdzie moja teczka?

– W samochodzie.

Panna Bellever popatrzyła za oddalającym się pośpiesznie Lewisem Serrocoldem i stwierdziła:

– Ten ciągły pośpiech go kiedyś wykończy. Ani chwili wytchnienia, ani chwili odpoczynku. To przecież jest wbrew naturze. Ten człowiek sypia zaledwie cztery godziny na dobę.

– Tak bardzo jest pochłonięty pracą?

Panna Bellever skrzywiła się.

– Nie myśli o niczym innym. Nigdy nie przyjdzie mu do głowy zatroszczyć się, na przykład, o żonę. Cara jest naprawdę wspaniała i zasługuje na miłość i odrobinę starania. Ale w tym domu wszyscy zajmują się wyłącznie tą bandą wyrostków, którzy zamiast wziąć się do uczciwej pracy, myślą tylko o tym, jak by się tu wygodnie urządzić. A co z przyzwoitymi młodymi ludźmi z przyzwoitych rodzin? Doprawdy, dla takich maniaków jak Lewis Serrocold, doktor Maverick i dla całej reszty tych zwariowanych idealistów porządni ludzie nie są w najmniejszym nawet stopniu godni uwagi. Mój brat i ja byliśmy chowani naprawdę surowo i nikt nie pozwalał nam na skargi i na rozczulanie się nad sobą. Żadnych czasów doczekaliśmy!

Obie damy, rozmawiając, przeszły przez ogród, minęły bramę ogrodzenia i zatrzymały się przed wejściem do Instytutu – obszernego, brzydkiego budynku z czerwonej cegły.

Doktor Maverick już czekał. Wystąpił teraz naprzód w poczuciu własnej ważności.

– Dziękuję pani, panno Bellever – zaczął swoją przemowę. – Niech pani wejdzie, panno... eee, panno Marple. Z pewnością zainteresuje panią nasza praca, nasze podejście do tego, jakże skomplikowanego zagadnienia. Pan Serrocold jest naprawdę człowiekiem o szerokim spojrzeniu. Prawdziwym wizjonerem. Naszą działalność popiera także sir John Stillwell, mój dawny pracodawca. Sir John był pracownikiem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i użył swoich wpływów, tak że dostaliśmy pozwolenie na prowadzenie tej placówki. Naszym największym problemem było przekonać władze, że zagadnienie przestępczości należy rozpatrywać

z medycznego punktu widzenia. Psychiatria wiele zyskała na znaczeniu w czasie ostatniej wojny. Tak, wojna miała tu zdecydowanie pozytywny skutek. Przede wszystkim chciałbym, żeby pani dobrze zrozumiała sens naszych działań. Niech pani spojrzy w górę!

Panna Marple posłusznie wykonała polecenie i przeczytała napis umieszczony nad wejściem:

NABIERZCIE NADZIEI, KTÓRZY TU WCHODZICIE!

– Czyż to nie wyjaśnia wszystkiego? Czy to nie jest właściwy sposób podejścia? Nie chcemy karać tych młodych ludzi. Oni sami zdają się czasami wręcz tęsknić za karą. My natomiast chcemy im uświadomić, że są w gruncie rzeczy naprawdę wspaniałymi ludźmi.

– Na przykład Edgar Lawson?

– To interesujący przypadek. Pani z nim rozmawiała?

– To raczej on rozmawiał ze mną – powiedziała panna Marple. I dodała tonem pełnym usprawiedliwienia: – Zastanawiam się, czy on nie jest przypadkiem trochę nienormalny.

Doktor Maverick uśmiechnął się.

– Wszyscy jesteśmy trochę nienormalni, droga pani – oświadczył, otwierając przed panną Marple drzwi wejściowe. – W tym właśnie tkwi tajemnica egzystencji. Wszyscy jesteśmy nienormalni.

VI

To był naprawdę wyczerpujący dzień.

„Tak wielka dawka entuzjazmu potrafi wymęczyć człowieka” – pomyślała panna Marple. Nie była zadowolona z siebie ani ze swoich reakcji. Wydarzenia w Stonygates z pewnością układały się w jakiś schemat – może nawet kilka schematów – jednak ona sama nie była w stanie stwierdzić, na czym miałyby to polegać. Czuła, że wszystko ma jakiś związek z patetyczną, a zarazem tak niepozorną osobą Edgara Lawsons. Gdyby tylko potrafiła przypomnieć sobie stosowne porównanie...

Po dokładnym rozważeniu odrzuciła jako nieprzydatną historię niecodziennych perypetii samochodu dostawczego pana Selkirka, sprawę roztargnionego listonosza i historię ogrodnika, który wybrał się do pracy w drugi dzień Zielonych Świątek.

Tak, z Edgarem Lawsonem było coś nie w porządku. Coś, czego nie potrafiła dokładnie sprecyzować, co zdawało się przeczyć dość oczywistym faktom i wymykało spod obserwacji. Ale w jaki sposób to „coś” mogłoby dotyczyć Carrie Louise? Myśli, troski, życzenia mieszkańców Stonygates często wykluczały się wzajemnie, ale żadne z nich nie dotyczyło chyba samej Carrie Louise.

Carrie Louise... W tym momencie panna Marple uświadomiła sobie, że tylko ona jedna, pomijając nieobecną Ruth, nazywa przyjaciółkę tym właśnie imieniem. Lewis Serrocold preferował imię Caroline, panna Bellever mówiła do niej Cara, Stephen Restarick używał najczęściej określenia Madonna, Walter Hudd mówił oficjalnie pani Serrocold, a dla Giny Carrie Louise była po prostu babunią. Czy tak wiele imion, jakimi obdarzono jedną osobę, nie kryło w sobie pewnej symboliki? Czyżby dla mieszkańców Stonygates Carrie Louise była raczej symbolem niż osobą z krwi i kości?

* * *

Gdy następnego ranka pani Serrocold, lekko utykając, zeszła do ogrodu, zastała swoją przyjaciółkę siedzącą na ławce. Zapytana, o czym myśli, panna Marple odparła natychmiast:

- O tobie, moja droga.
- O mnie?
- Powiedz mi, ale zupełnie szczerze, czy coś cię niepokoi?
- Niepokoi? – Carrie Louise podniosła na przyjaciółkę zdumione oczy. – Ależ Jane, dlaczego miałoby mnie coś niepokoić?
- Cóż, każdy z nas ma jakieś problemy – mówiła panna Marple z powagą, choć w jej oczach migotały figlarne błyski. – Mnie na przykład do pasji doprowadzają ślimaki na grządkach. Irytuje mnie, że nigdy nie można się doprosić, aby bielizna wracała z pralni zacerowana jak należy, że nigdy nie mam pewności, czy uda mi się kupić właściwy gatunek cukru na nalewkę, i cała masa innych drobiazgów. To chyba niemożliwe, aby w twoim życiu nie było niczego, co by cię niepokoiło, drażniło, irytowało.
- Och, znalazłoby się to czy tamto – powiedziała Carrie Louise powoli. – Lewis pracuje zbyt ciężko, Stephen jest tak pochłonięty teatrem, że zapomina o posiłkach, Gina bywa rozdrażniona. Ale przecież nie jestem w stanie zmienić ludzi. Nie wiem, jak można by to zrobić, dlatego martwienie się tym wydaje mi się bezcelowe.
- Nie wymieniłaś Mildred. Ona chyba nie jest zbyt szczęśliwa.
- Tak – zgodziła się Carrie Louise – Mildred nigdy nie bywa szczęśliwa. Już jako dziecko była taka. Była pełnym przeciwieństwem Pippy, która zawsze tryskała humorem.
- Może nie ma zbyt wielu powodów, aby czuć się szczęśliwą? – podsunęła panna Marple.
- Czy to z powodu zazdrości? – zapytała Carrie Louise spokojnie. – No, może. Mnie się jednak wydaje, że ludzie często nie mają żadnych podstaw, aby żywić takie uczucia, jakie żywią.

Po prostu są tak stworzeni. Nie wydaje ci się, Jane?

Panna Marple pomyślała przelotnie o pannie Moncrieff, prawdziwej niewolnicy swojej chorej, despotycznej matki. Jedynym marzeniem panny Moncrieff były podróże. Całe St Mary Mead cieszyło się w duchu, gdy pani Moncrieff spoczęła wreszcie na parafialnym cmentarzu, a jej córka uzyskała wolność i trochę gotówki na dodatek. Niestety, podróż panny Moncrieff nie była zbyt daleka; biedaczka zdążyła zajechać zaledwie do Hyères, gdzie postanowiła złożyć krótką wizytę „dawnej przyjaciółce mamy”. Stan zdrowia tej nieznośnej, hipochondrycznej starej panny tak bardzo ją przejął, że natychmiast odwołała wszystkie rezerwacje i przeniosła się do willi starszej damy, gdzie ponownie dała się tyranizować. I oczywiście znowu zaczęła marzyć o podróżach.

– Myślę, że masz dużo racji, Carrie Louise – przyznała panna Marple.

– Oczywiście to, że mogę żyć bez kłopotów, zawdzięczam w dużym stopniu Jolly. Ona jest doprawdy kochana. Zjawiła się niedługo po tym, jak poślubiłam Johnniego i od samego początku stała się niezastąpiona. Opiekuje się mną niczym małym bezradnym dzieckiem. Zrobiłaby dla mnie dosłownie wszystko. Czasami mnie to wręcz zawstydza. Myślę, że dla mnie potrafiłaby się posunąć nawet do morderstwa. Czy to nie okropne, że tak mówię?

– Rzeczywiście, jest ci bardzo oddana.

Pani Serrocold roześmiała się dźwięcznie.

– Czasami Jolly bardzo się na mnie złości. Chciałaby, żebym sprawiła sobie kosztowne toalety i zaczęła otaczać się luksusem. Uważa, że powinno się posadzić mnie na tronie i oddawać mi hołdy. Jolly jest jedyną osobą, na której pasja Lewisa nie robi najmniejszego wrażenia. Uważa naszych podopiecznych za bandę kryminalistów, którymi nie należy zaprzętać sobie głowy. Mówi też, że dom jest pełen wilgoci, co źle wpływa na mój reumatyzm. Powinnam, jej zdaniem, wyjechać do Egiptu, gdzie jest ciepło i sucho.

– Dokucza ci reumatyzm?

– Tak. Ostatnio mocno mi się pogorszyło. Chodzenie zaczyna mi sprawiać kłopot.

Odczuwam silne kurcze w nogach. Cóż, starość. – Carrie Louise znowu się roześmiała.

Panna Bellever wyszła przez oszklone drzwi i zbliżyła się do ławki, na której siedziały obie przyjaciółki.

– Cara, właśnie przyszedł telegram. „Przyjeżdżam dzisiaj po południu. Christian Gulbrandsen”.

– Christian? – Carrie Louise wyglądała na mocno zdumioną. – Nie miałam pojęcia, że wybiera się do Anglii.

– Pokój z dębową boazerią, jak sądzę?

– Tak, oszczędzi mu to wchodzenia po schodach.

Panna Bellever skinęła głową i pośpieszyła do domu.

– Christian Gulbrandsen to mój pasierb – wyjaśniła Carrie Louise. – To najstarszy syn Erica. Jest dwa lata starszy ode mnie. Pełni funkcję kuratora Instytutu. Jaka szkoda, że Lewis musiał właśnie wyjechać. Christian z reguły nie zatrzymuje się u nas dłużej niż na jedną noc. Jest bardzo zajęty. Z pewnością chce coś omówić z Lewisem.

* * *

Christian Gulbrandsen przyjechał po południu, tuż przed herbatą. Był to wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna. Mówiąc, dobierał słowa powoli i z namysłem. Z Carrie Louise przywitał się z wielką serdecznością.

– Nasza mała Carrie Louise, jakże się cieszę. Jak się miewasz? Ty się chyba wcale nie starzejesz! – Opiekuńczym gestem położył ręce na jej ramionach i przyglądał się z sympatią. Czyjaś dłoń pociągnęła go za rękaw.

– Christian!

Gulbrandsen obejrzał się.

– A, to ty, Mildred. Jak się czujesz?

– Nie najlepiej ostatnio.

– To niedobrze, to bardzo niedobrze.

Pomiędzy Christianem Gulbrandsenem a jego przyrodnią siostrą istniało wyraźne podobieństwo. Różnica wieku między nimi wynosiła prawie trzydzieści lat i pani Strete mogłaby śmiało uchodzić za jego córkę. Mildred wydawała się szczególnie cieszyć z przyjazdu brata. Jej policzki zaróżowiły się z emocji, stała się bardziej rozmowna. Bez przerwy można było słyszeć, jak powtarza z dumą: „mój brat”, „mój brat Christian”, „mój brat, pan Gulbrandsen”.

– A co porabia nasza mała Gina? – zapytał Gulbrandsen, zwracając się do młodej kobiety.

– Ciągle jeszcze jesteście tutaj, ty i twój mąż?

– Tak, prawie już osiedliśmy tutaj, prawda, Wally?

– Na to wygląda – mruknął Walter Hudd.

Mądre, przenikliwe oczy Gulbrandsena spoczęły teraz na Walterze, który zachowywał się jak zwykle gburowato i nieprzyjaźnie.

– A więc znowu jestem wśród swoich – powiedział Christian Gulbrandsen. Na pozór wydawał się odprężony i w pogodnym nastroju.

„A jednak coś go gnębi” – pomyślała panna Marple. „Usta ma mocno zaciśnięte, a cała jego postać zdradza napięcie”.

Gdy go jej przedstawiono, przez długą chwilę przyglądał się badawczo, jakby pragnąc wyrobić sobie dokładną opinię o gościu.

– Nie wiedzieliśmy, że przyjechałeś do Anglii – powiedziała Carrie Louise.

– Zdecydowałem się zupełnie nagle.

– Szkoda, że Lewis jest nieobecny. Jak długo możesz zostać?

– Miałem zamiar zostać do jutra. A kiedy wraca Lewis?

– Jutro po południu albo wieczorem.

– W takim razie zostanę jeszcze jeden dzień.

– Gdybyś dał nam wcześniej znać...

– Droga Carrie Louise, naprawdę nie miałem czasu.

– Ale zaczekasz do powrotu Lewisa?

– Tak, koniecznie muszę z nim pomówić.

– Pan Gulbrandsen i pan Serrocold są kuratorami Instytutu – wyjaśniła pannie Marple Jolly. – Pozostali kuratorzy to biskup Cromer i pan Gilfoy.

A więc Christian Gulbrandsen przyjechał przedyskutować z Serrocoldem sprawy Instytutu. Pannie Bellever i wszystkim domownikom wydawało się to zupełnie naturalne. Panna Marple dziwiła się jednak. Nie uszło jej uwagi, że Gulbrandsen kilkakrotnie skierował swój wzrok ku Carrie Louise. Przyglądał się jej badawczo, ważąc coś w myślach. Tym samym przenikliwym spojrzeniem obrzucił po kolei wszystkich zgromadzonych w pokoju. Panna Marple uznała ten fakt za bardzo znamienity.

* * *

Po herbacie panna Marple wycofała się taktownie do biblioteki i zajęła się robótką. Ku jej niemałemu zdumieniu Christian Gulbrandsen podążył za nią.

– A więc jest pani dawną przyjaciółką Carrie Louise – rozpoczął rozmowę.

– Poznałyśmy się we Włoszech. Chodziłyśmy do tej samej szkoły. Ale to było dawno, dawno temu.

– Rozumiem. Czy lubi ją pani?

– Bardzo – odpowiedziała ciepło panna Marple.
– Wydaje mi się, że wszyscy muszą ją lubić. To naprawdę czarująca osoba. Moi bracia i ja zawsze ją kochaliśmy. Jak siostrę. Była też wspaniałą towarzyszką życia mojego ojca. Zawsze pełna zrozumienia dla jego ideałów. Nie myślała nigdy o sobie, lecz o innych.

– Tak, zawsze była idealistką – przyznała panna Marple.

– Idealistką? No tak, to prawda. Być może właśnie dlatego nie potrafi dostrzec zła, pleniącego się na tym świecie.

Panna Marple popatrzyła zdumiona na swojego rozmówcę. Twarz Christiana Gulbrandsena była pełna powagi.

– Niech mi pani powie, jaki jest stan jej zdrowia.

Zdumienie panny Marple rosło.

– Wydaje mi się, że jest zupełnie zdrowa, pomijając oczywiście reumatyzm i zmiany artretyczne.

– Reumatyzm, powiada pani? A serce? Czy Carrie Louise ma zdrowe serce?

– Tak, o ile dobrze wiem. Ale wczoraj spotkałam ją po raz pierwszy po wieloletniej przerwie. Jeśli chce pan dowiedzieć się czegoś bliższego o stanie jej zdrowia, proszę zapytać kogoś z domowników. Na przykład pannę Bellever.

– Tak, pannę Bellever. Albo Mildred?

– Albo, jak pan mówi, Mildred.

Panna Marple czuła rosnące zakłopotanie. Christian Gulbrandsen mierzył ją przenikliwym spojrzeniem.

– Między matką a córką nie ma zbyt wielkiej sympatii, nie sądzi pani?

– Mnie też się tak wydaje.

– Szkoda. Mildred jest jej jedynym dzieckiem. Ale czasami tak to się w życiu układa. A ta panna Bellever? Czy sądzi pani, że ona rzeczywiście jest oddana Carrie Louise?

– Bez wątplenia.

– I Carrie Louise ma do niej zaufanie?

– Tak sądzę.

Christian Gulbrandsen zmarszczył czoło. Zdawał się mówić raczej do siebie niż do panny Marple.

– Jeszcze Gina... Ale ona jest taka młoda... Czasami człowiekowi jest naprawdę trudno zdecydować, jak powinien postąpić, która droga będzie najwłaściwsza. Bardzo mi leży na sercu ta sprawa. Za nic na świecie nie chciałbym przysporzyć Carrie Louise zmartwień. Tak, to naprawdę niełatwy wybór... Niełatwy...

W otwartych drzwiach biblioteki pojawiła się Mildred Strete.

– A więc tu się schowałeś, Christianie. Właśnie zastanawialiśmy się, gdzie też mogłeś się podziać. Doktor Maverick pyta, czy chcesz z nim porozmawiać.

– To ten nowy młody lekarz? Raczej zaczekam na powrót Lewisa.

– Maverick czeka w jego gabinecie. Czy mam mu powiedzieć...

– Nie, sam zamienię z nim kilka słów – zdecydował Gulbrandsen, kierując się ku drzwiom.

Mildred Strete popatrzyła na pannę Marple.

– Czy coś się stało? Christian zachowywał się zupełnie inaczej niż zwykle. Czy on coś powiedział?

– Pytał mnie o zdrowie twojej mamy.

– Ale dlaczego? – zapytała Mildred ostrym tonem. Policzki miała zaczerwienione ze zdenerwowania.

- Doprawdy nie wiem.
- Mama czuje się wyśmienicie. To wręcz zdumiewające.
- W jej wieku! Jest o wiele zdrowsza niż ja, jeśli idzie o ścisłość... – Zawahała się przez chwilę. – Mam nadzieję, że mu to powiedziałaś, ciociu Jane.
- Przecież ja sama niewiele wiem na ten temat. Pytał mnie o jej serce.
- O serce? Ależ mama nigdy w życiu nie chorowała na serce.
- Cieszę się, że to słyszę, kochanie.
- O cóż, na Boga, mogło mu naprawdę chodzić?
- Nie mam pojęcia – powiedziała panna Marple. – Nie mam pojęcia.

VII

Następny dzień zapowiadał się na pozór zupełnie spokojnie. Pannie Marple wydawało się jednak, że w atmosferze domu wyczuwa jakieś wewnętrzne napięcie.

Christian Gulbrandsen spędził cały poranek w Instytucie, dyskutując z doktorem Maverickiem o polityce zakładu. Wczesnym popołudniem wybrał się z Giną na przejażdżkę po okolicy, a po powrocie poprosił pannę Bellever – co panna Marple starannie zanotowała w pamięci – o pokazanie mu czegoś w ogrodzie. Panna Marple była przekonana, że był to tylko pretekst, że w rzeczywistości pan Gulbrandsen pragnął pomówić z zaufaną Carrie Louise w cztery oczy. Gdyby powodem jego nieoczekiwanej wizyty w Stonygates miały być sprawy Instytutu, prawdopodobnie nie pragnąłby tête-à-tête z panną Bellever, która przecież zajmowała się wyłącznie domem.

W końcu jednak panna Marple doszła do wniosku, że pewnie ponosi ją wyobraźnia.

Jedyny dziwny incydent wydarzył się po południu, koło czwartej. Panna Marple odłożyła robótkę i wyszła do ogrodu odetchnąć świeżym powietrzem. Kiedy mijała rozłożysty rododendron, omal nie wpadła na Edgara Lawsons, który niespokojnym krokiem przemierzał alejkę, mamrocząc coś do siebie. Edgar wypowiedział kilka słów przeprosin i już miał odejść, ale panna Marple zatrzymała go, zdumiona dziwnym wyrazem jego oczu.

– Czy pan nie czuje się dobrze?

– Dobrze!? Jakże mam czuć się dobrze, skoro właśnie przeżyłem szok.

Młody człowiek obejrzał się gwałtownie za siebie, potem popatrzył na boki. Panna Marple poczuła się nieco dziwnie.

– Jaki szok? – zapytała.

– Ach, czyż mogę to pani wyznać? Nie wiem, sam nie wiem. Tyle już razy mnie oszukano...

Panna Marple podjęła decyzję. Energicznym ruchem ujęła go pod ramię.

– Pójdziemy tą ścieżką. Nie ma tu żadnych drzew ani krzewów, więc nikt nas nie podsłucha.

– Ma pani rację. – Edgar wziął głęboki wdech, potem opuścił głowę i zniżył głos do szeptu: – Odkryłem coś. To straszne odkrycie.

– Jakie odkrycie?

Edgar Lawson drżał na całym ciele. Był bliski łez.

– Miałem kogoś, komu ufałem. Wierzyłem mu... A to były kłamstwa. Ten człowiek okłamywał mnie. Ukrywał przede mną całą prawdę. Nie mogę tego znieść. Trzeba pani wiedzieć, że to jedyny człowiek, któremu naprawdę wierzyłem. A teraz odkryłem, że stał na czele tego spisku, że jest moim głównym wrogiem. To właśnie on kazał mnie śledzić! Ale nie mam zamiaru tego dłużej tolerować. Wygarnę mu wszystko.

– Kto to jest ten „on”? – zapytała szybko panna Marple.

Edgar Lawson wyprostował się. Prawdopodobnie zamierzał przybrać postawę patetyczną i wzniosłą. Wyglądał jednak śmiesznie.

– Mówię o moim ojcu.

– O lordzie Montgomerym czy o Winstonie Churchillu?

– Pozwolili mi w to wierzyć, bo nie chcieli, abym poznał prawdę. Ale ja mam przyjaciela, prawdziwego przyjaciela, który mi wszystko powiedział. Otworzył mi oczy na wszystkie oszustwa. Mój ojciec będzie musiał się ze mną liczyć. Rzucę mu w twarz wszystkie jego kłamstwa. Zobaczymy, co wtedy powie.

Odwrócił się na pięcie i pobiegł w głąb parku.

Panna Marple wróciła do domu mocno zatroskana.

„Wszyscy jesteśmy trochę nienormalni” – powiedział doktor Maverick. Jednak Edgar Lawson zdawał się nienormalny znacznie bardziej niż trochę.

* * *

Lewis Serrocold wrócił do domu przed siódmą. Zostawił samochód przy bramie i szedł dalej parkiem. Wyglądająca właśnie przez okno panna Marple zobaczyła, że Christian Gulbrandsen wyszedł mu naprzeciw. Po przywitaniu się obaj zaczęli spacerować po tarasie.

Panna Marple, jak zwykle przezorna, miała ze sobą lornetkę, której zawsze używała, obserwując ptaki. Teraz też sięgnęła po nią. Czy tam w oddali, w kępie drzew, nie krył się przypadkiem czyżak? Opuściła lornetkę na chwilę, a potem znowu skierowała ją do góry. Obaj panowie wyglądali na mocno zaniepokojonych. Panna Marple wychyliła się mocniej. Gdyby któremuś z mężczyzn nagle przyszło do głowy spojrzeć w górę, z pewnością doszedłby do wniosku, że zapalona miłośniczka ptaków bez reszty jest pochłonięta obserwowaniem swoich ulubieńców.

– ...jak tego oszczędzić Carrie Louise... – usłyszała głos Gulbrandsena.

Gdy obaj mężczyźni ponownie przechodzili pod oknem panny Marple, mówił właśnie Lewis Serrocold:

– ...jeśli można utrzymać to przed nią w tajemnicy. Ja też uważam, że należy ją chronić...

Zdołała usłyszeć jeszcze urwane zdania:

– ...najzupełniej poważnie... niczym nie usprawiedliwione... przejąc zbyt wielką odpowiedzialność... może powinniśmy zasięgnąć opinii kogoś z zewnątrz...

Wreszcie dobiegły ją słowa Christiana Gulbrandsena:

– Zrobiło się chłodno, wracajmy lepiej do domu.

Panna Marple wycofała się w głąb pokoju. Na jej twarzy malowała się troska. To, co usłyszała, stanowiło zbyt drobny fragment, by można było ułożyć z tego jakąś sensowną całość, jednak w jakiś sposób potwierdzało jej wcześniejsze obawy, a także niezłomne przekonanie Ruth van Rydock. W Stonygates rzeczywiście działo się coś niedobrego i miało to ścisły związek z Carrie Louise.

* * *

Podczas kolacji panował przygnębiający nastrój.

I Gulbrandsen, i Lewis Serrocold milczeli, każdy pogrążony we własnych myślach. Walter Hudd siedział przy stole z miną jeszcze bardziej ponurą niż zwykle. Nawet Gina i Stephen zdawali się nie mieć sobie nic do powiedzenia. Jedynie doktor Maverick wdał się w dłuższą dysputę z panem Baumgartenem, jednym z terapeutów.

Po kolacji towarzystwo przeniosło się do holu. Christian Gulbrandsen nie zamierzał pozostawać dłużej, usprawiedliwiając się, że ma do napisania kilka listów.

– Pozwolisz, Carrie Louise, że pójdę do swojego pokoju? – zapytał.

– Czy masz wszystko, czego ci potrzeba?

– O tak. Panna Bellever była bardzo uprzejma i przyniosła mi maszynę do pisania, o którą prosiłem.

Gulbrandsen opuścił hol drzwiami po lewej, minął klatkę schodową i poszedł korytarzem do końca, do swojego apartamentu, składającego się z sypialni i niewielkiej łazienki.

Gdy wyszedł, Carrie Louise zwróciła się do Giny:

– Nie idziesz dzisiaj do teatru?

Gina potrząsnęła przecząco głową. Zbliżyła się do okna i usiadła, spoglądając na podjazd. Stephen Restarick popatrzył na nią, potem podszedł do fortepianu i zaczął grać spokojną, smutną melodię. Obaj terapeuci, pan Baumgarten i pan Lacy, oraz doktor Maverick pożegnali całe towarzystwo i udali się do siebie. Walter Hudd włączył stojącą lampę. W tym momencie

nastąpiło krótkie spięcie w instalacji elektrycznej. Większość świateł zgasła i hol pogrążył się w półmroku. Walter zaklął głośno.

– To te przekłete instalacje. Trzeba wymienić bezpieczniki. – Wyciągnął wtyczkę uszkodzonej lampy z kontaktu i wyszedł z holu.

– Co za szczęście, że Wally tak świetnie zna się na elektryczności – powiedziała Carrie Louise. – Pamiętacie, jak zreperował opiekacz do grzanek?

– To jedyna pożyteczna rzecz, jaką do tej pory zrobił – zauważyła kwaśno Mildred. – Mamo, czy zażyłaś już swoją miksturę na wzmocnienie?

– Zupełnie o tym zapomniałam! – Panna Bellever zerwała się z miejsca. Pobiegnęła do jadalni, by po chwili wrócić stamtąd z buteleczką wypełnioną jasnorubinowym płynem.

Carrie Louise posłusznie wyciągnęła rękę, krzywiąc się przy tym zabawnie.

– Dlaczego ktoś zawsze musi mi przypomnieć o tym paskudztwie?

– Sądzę, że nie powinnaś tego zażywać – odezwał się zdecydowanym tonem Lewis Serrocold. – Wcale nie jestem pewien, czy ci to tak dobrze robi. – Wyjął buteleczkę z rąk panny Bellever i odstawił na komódkę.

Panna Bellever zaprotestowała gorąco:

– Ależ proszę pana! Stan pani Serrocold naprawdę znacznie się poprawił, odkąd... – urwała i odwróciła się gwałtownie, gdyż frontowe drzwi otwarły się z trzaskiem.

Do pogrążonego w półmroku holu wkroczył Edgar Lawson. Zatrzymał się pośrodku, niczym kiepski aktor odgrywający swoje wielkie wejście. Wyglądał niemal groteskowo – jednak nie do końca. Z patosem zwrócił się do Lewisa Serrocolda:

– Wreszcie cię odnalazłem, o mój wrogu!

Lewis spoglądał zdumiony.

– Edgarze, co się stało? – zapytał z niepokojem.

– Ośmielasz się pytać? Ty doskonale wiesz, o co chodzi. Oszukiwałeś mnie, kazałeś mnie śledzić, spiskowałeś z innymi przeciwko mnie!

Lewis wyciągnął rękę.

– Uspokój się, mój chłopcze, i nie denerwuj się. Chodź, opowiedz mi wszystko, ale spokojnie. Przejdźmy do mojego gabinetu.

Poprowadził Edgara przez hol w stronę drzwi po prawej. Obaj weszli do gabinetu i do uszu zebranych doszedł odgłos przekręcanego w zamku klucza. Panna Bellever popatrzyła na pannę Marple. Obie pomyślały to samo: „To nie pan Serrocold zamknął te drzwi na klucz”.

– Moim zdaniem ten młody człowiek po prostu zwariował – powiedziała ostro panna Bellever. – On jest niebezpieczny dla otoczenia.

– Jest zupełnie niezrównoważony – wtrąciła Mildred. – Nie przejawia nawet elementarnej wdzięczności za wszystko, co dla niego uczyniono. Powinnaś tam wkroczyć, mamo.

Carrie Louise cicho westchnęła.

– On wcale nie jest niebezpieczny – stwierdziła. – I bardzo ceni Lewisa.

Panna Marple spojrzała badawczo na przyjaciółkę. Przecież przed chwilą nie było widać ani śladu sympatii Edgara do pana Serrocolda. Wręcz przeciwnie. Znowu zastanawiała się, czy Carrie Louise przypadkiem nie zamyka oczu na rzeczywistość zupełnie świadomie.

– On miał coś w kieszeni – zawołała wzburzona Gina. – To znaczy, Edgar. Bawił się tym. Stephen oderwał na chwilę ręce od klawiatury i mruknął:

– Na filmie byłby to z pewnością rewolwer.

Panna Marple zakasłała dyskretnie.

– Przypuszczam, że pan doskonale wie, że to był rewolwer – powiedziała niemal przeprasającym tonem.

Zza zamkniętych drzwi gabinetu pana Serrocolda dobiegały odgłosy gwałtownej wymiany zdań. Podczas gdy Lewis Serrocold niemal nie podnosił głosu, Edgar Lawson wręcz krzyczał.

– Kłamstwa, kłamstwa, to są wszystko kłamstwa! To ty jesteś moim ojcem! Jestem twoim synem, a ty pozbawiłeś mnie należnych mi praw! Nienawidzisz mnie! Zawsze pragnąłeś się mnie pozbyć!

Padły jakieś niewyraźne słowa, na co Edgar odpowiedział wiązką niewybrednych przekleństw. Lewis powtarzał co chwila:

– Uspokój się. Uspokój się, chłopcze, i bądź rozsądny. Wiesz przecież, że to nieprawda. Jednak jego słowa wprawiały młodego człowieka w jeszcze większe rozdrażnienie. Zebrani w holu przysłuchiwali się ich rozmowie zupełnie otwarcie.

– Musisz mnie wysłuchać! – krzyczał Edgar. – Zerwę ci z twarzy tę maskę dobroczynności i szlachetności! Zemszczę się za wszystkie krzywdy, które mi wyrządziłeś. Za wszystkie moje cierpienia!

Nagle Lewis odezwał się ostrym, niezwykle u niego tonem:

– Odłóż ten rewolwer!

– Edgar go zabije! – krzyknęła przestraszona Gina. – On jest nienormalny! Zróbmy coś! Zadzwońmy na policję!

Carrie Louise, która nie okazywała najmniejszego wzburzenia, odezwała się cicho:

– Nie ma powodu do obaw, Gino. Edgar lubi Lewisa. Udaje tylko i to wszystko.

Zza drzwi dobiegł śmiech Edgara. Dla panny Marple zabrzmiał on okropnie. Był to śmiech szaleńca.

– Nie, nie odłożę rewolweru! – wykrzykiwał Edgar. – I wiesz, że jest on naładowany. Nie, teraz nic nie mów. Nie ruszaj się! Musisz wysłuchać mnie do końca. To ty uknułeś spisek przeciwko mnie. Tylko ty, nikt inny! Zapłacisz mi teraz za to.

Dokładnie w tym momencie dał się słyszeć dość wyraźny huk. Wszyscy aż podskoczyli. Jedynie Carrie Louise pozostała nieporuszona.

– To pewnie gdzieś na zewnątrz, może w parku – powiedziała z całkowitym spokojem. – Nie mam pojęcia, co to mogło być.

Zza zamkniętych drzwi ciągle dobiegał głos Edgara:

– Czemu tak na mnie patrzysz? Nie udawaj, że nie odczuwasz lęku. Dlaczego nie błągasz na kolanach o litość? Zastrzelę cię, możesz być tego pewny. Zabiję cię! Jestem twoim synem, a ty nie chciałeś mnie uznać. Chciałeś mnie ukryć przed całym światem. Tak, pragnąłeś się mnie pozbyć. Otoczyłeś mnie szpiegami, którzy mieli mnie zaprowadzić na szubienicę. Ty, mój rodzony ojciec! Dla ciebie jestem tylko bękartem. Okłamywałeś mnie. Udawałeś, że jestem twoim przyjacielem, że jestem ci bliski, podczas gdy w rzeczywistości... Nie zasłużyłeś na to, żeby żyć...

I znowu z ust Edgara popłynął strumień przekleństw. Panna Marple zauważyła kątem oka, że panna Bellever opuszcza hol, mówiąc przy tym do siebie:

– Przecież musimy coś z tym zrobić.

Przez moment Edgar nie odzywał się. Potem znowu zaczął krzyzczeć:

– Zginiesz! Zaraz zginiesz! Ty diable, ty wcielony diable!

Ponownie do uszu zebranych dobiegły dwa ostre, wyraźne dźwięki. Tym razem nie mogło być żadnych wątpliwości. To były strzały i nie dochodziły z parku, ale z całą pewnością zza zamkniętych drzwi.

Ktoś, chyba Mildred, zawołał:

– Mój Boże! I co teraz?!

Wreszcie zza zamkniętych drzwi dał się słyszeć głuchy odgłos upadku czegoś ciężkiego. Stephen Restarick zaczął walić pięściami w drzwi.

– Otwieraj! Otwieraj natychmiast! – wołał.

Do holu wróciła panna Bellever. W ręku trzymała potężny pęk kluczy.

– Niech pan spróbuje którymś z tych – powiedziała zdyszana.

W tej samej chwili rozbłysły wszystkie światła.

Stephen Restarick próbował po kolei wszystkich kluczy. Wszyscy usłyszeli, że klucz tkwiący z tamtej strony w zamku upadł na podłogę. Zza drzwi dobiegały rozpaczliwe szlochy. Walter Hudd, który właśnie wrócił do holu, zatrzymał się w progu i zapytał zdumiony:

– A cóż się tutaj wyprawia?

– Ten szaleniec zastrzelił pana Serrocolda – powiedziała Mildred z płaczem.

Carrie Louise wstała i łagodnym ruchem odsunęła Stephena Restaricka od drzwi.

– Proszę – powiedziała. – Porozmawiam z nim. – Zbliżyła twarz do drzwi i zawołała: – Edgarze... proszę, niech pan otworzy. Chciałabym wejść.

Rozległ się dźwięk klucza wkładanego do zamka i drzwi powoli się otworzyły. Ale to nie Edgar stał za nimi, tylko Lewis Serrocold. Oddychał gwałtownie, jak po ciężkim wysiłku, ale nie wyglądał na rannego.

– Wszystko w porządku, kochanie – powiedział. – Możesz się nie denerwować.

– Myśleliśmy, że on pana zastrzelił – wyjąkała zdumiona panna Bellever.

Lewis Serrocold zmarszczył brwi w wyrazie niezadowolenia.

– Oczywiście, że mnie nie zastrzelił – powiedział szorstko.

Wszyscy mogli teraz zajrzeć do gabinetu.

Edgar Lawson siedział zgarbiony przy biurku. Zdawał się być zupełnie załamany. Oddychał z trudem i szlochał. Rewolwer, który najwidoczniej wypadł mu z ręki, leżał na podłodze.

– Ale przecież słyszeliśmy strzały – upierała się Mildred.

– O, tak. Strzelił dwa razy.

– I spudłował?

– Oczywiście, że spudłował.

Dla panny Marple wcale nie było to takie oczywiste. Przecież strzały musiały paść z bardzo bliskiej odległości.

Lewis Serrocold wycedził z irytacją:

– Gdzie jest Maverick? Jest tutaj potrzebny.

– Pójdę po niego – zaoferowała się panna Bellever. – Czy mam też zadzwonić na policję?

– Na policję? Oczywiście, że nie.

– Ależ oczywiście, że tak – sprzeciwiła się Mildred. – Przecież on jest niebezpieczny.

– Nonsens – uciął zdecydowanie Lewis Serrocold. – Po prostu biedny chłopak. Czy on wygląda na niebezpiecznego?

W tym momencie Edgar rzeczywiście nie sprawiał wrażenia kogoś niebezpiecznego. Wyglądał bardzo młodo i bardzo bezradnie.

– Nie chciałem tego – szepnął. – Nie wiem, co mnie napadło. Jak mogłem wygadywać te wszystkie głupstwa? Musiałem być szalony...

Mildred przyglądała mu się podejrzliwie.

– ...musiałem być szalony. Ja przecież naprawdę nie chciałem. Proszę...

Lewis Serrocold opiekuńczym ruchem położył mu rękę na ramieniu.

– Już dobrze, mój chłopcze! Nic się nie stało.

– Przecież mogłem pana zabić.

Walter Hudd z uwagą oglądał ścianę nad biurkiem.

– Kule trafiły tutaj – powiedział, wskazując ślady. Spojrzał na biurko i stojące obok krzesło. – To mogło się źle skończyć – dodał.

– Straciłem głowę. Zupełnie nie zdawałem sobie sprawy z tego, co robię.

Panna Marple zadała pytanie, które nurtowało ją już od dłuższego czasu:

– Kto panu powiedział, że Lewis Serrocold jest pańskim ojcem?

Przez twarz Edgara przemknął chytry uśmieszek. Trwało to jednak tak krótko, że nikt oprócz panny Marple nie zdołał tego zauważyć.

– Nikt – odparł. – Sam nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy.

Walter Hudd przyglądał się rewolwerowi, leżącemu ciągle na podłodze.

– A skąd pan miał rewolwer? – zapytał w końcu.

– Rewolwer? – powtórzył Edgar bezradnie.

– Coś mi się zdaje, że to mój. – Walter schylił się i podniósł broń z podłogi. – No tak, to jest mój rewolwer! Ukradłeś go z mojego pokoju, ty wszarzu, ty...

Lewis Serrocold szybko stanął między załknionym Edgarem a rozsierdzonym nie na żarty Amerykaninem.

– To wszystko możemy wyjaśnić później – oznajmił zdecydowanie. – O, jest doktor Maverick.

Maverick zbliżył się do Edgara z profesjonalnym opanowaniem.

– No, Edgarze, co się stało? Musimy wziąć się w garść.

– Przeklęty wariat! – zawołała histerycznie Mildred. – Omal nie zamordował mojego ojczyma.

Edgar krzyknął rozpaczliwie, a doktor Maverick odezwał się z wyrzutem:

– Ależ pani Strete...

– Mam tego dosyć. Niechże pan posłucha, doktorze, przecież ten człowiek jest chory psychicznie.

Edgar wyrwał się trzymającemu go doktorowi i rzucił się do stóp Serrocolda.

– Niech mnie pan ratuje. Niech pan nie pozwoli, aby mnie zamknęli w szpitalu dla obłąkanych!

„Co za okropna scena” – pomyślała panna Marple.

– Mówię panu, że on jest... – powtórzyła z gniewem Mildred.

Jej matka próbowała ją uspokoić.

– Proszę, Mildred, nie teraz. Przecież on cierpi.

– Cierpienia obłąkanego – wtrącił ironicznie Walter. – W tym domu wszyscy są obłąkani.

– Zajmę się nim – powiedział doktor Maverick. – Edgarze, idziemy. Czeka nas łóżko i środek uspokajający. Jutro porozmawiamy o tym incydencie.

Edgar Lawson spoglądał na młodego doktora z obawą. Potem wskazał Mildred Strete.

– Ona powiedziała, że jestem chory psychicznie.

– Nie mówiła tego poważnie. – Doktor Maverick starał się zbagatelizować oskarżenie. – Z pewnością nie jesteś chory.

Nie skończył jeszcze mówić, gdy do holu weszła panna Bellever. Miała zaciśnięte usta i mocno zaczerwienione policzki.

– Zawiadomiłam policję – oznajmiła. – Zaraz tu będą.

– Ależ, Jolly! – zawołała Carrie Louise z wyrzutem w głosie.

Edgar zaczął dygotać na całym ciele. Lewis Serrocold powiedział z niezadowoleniem:

– Mówiłem już pani, że nie życzę sobie, aby policja się o tym dowiedziała. Nie mają tu

czego szukać. To jest przypadek czysto medyczny.

– Być może – odparła panna Bellever. – Ja mam na ten temat własne zdanie. Musiałam zawiadomić policję. Christian Gulbrandsen nie żyje. Został zastrzelony.

VIII

Minęła dłuższa chwila, zanim znaczenie słów panny Bellever dotarło do zebranych.

– Christian zastrzelony? Christian nie żyje? Ależ to niemożliwe – odezwała się Carrie Louise.

– Jeśli mi nie wierzysz, możesz pójść i sama się przekonać – odparła panna Bellever, zaciskając usta. Zwracała się raczej do wszystkich, niż do samej Carrie Louise. W jej głosie słyhać było wyraźne napięcie.

Carrie Louise powoli skierowała się ku wyjściu, ale Lewis Serrocold położył jej rękę na ramieniu.

– Nie, kochanie. Pozwól, że ja pójdę.

Wyszedł na korytarz. Doktor Maverick zawahał się przez chwilę, spoglądając przy tym na Edgara Lawsona, potem pośpieszył za Lewisem. Panna Bellever szybko dołączyła do obu mężczyzn, a panna Marple podprowadziła Carrie Louise do najbliższego fotela i łagodnie skłoniła do zajęcia miejsca. Carrie Louise usiadła posłusznie – bardzo zakłopotana i bezradna.

– Christian zastrzelony? – powtórzyła tonem przestraszonego dziecka.

Walter Hudd nie oddalał się ani na krok od Edgara Lawsona. Przyglądał mu się posępnie. W rękę ciągle trzymał podniesiony z podłogi rewolwer.

Carrie Louise nadal się dziwiła:

– Ale któż mógłby chcieć zastrzelić właśnie Christiana?

Nikt nie potrafił udzielić odpowiedzi.

Walter Hudd powtarzał półgłosem:

– Dom wariatów, po prostu dom wariatów.

Stephen w opiekuńczym odruchu przysunął się do Giny, która wyglądała na najbardziej przestraszoną osobę w całym pomieszczeniu.

Nagle drzwi wiodące na zewnątrz otworzyły się i do holu wtargnął powiew zimnego powietrza. W drzwiach stanął mężczyzna ubrany w obszerny, ciężki płaszcz.

– Cześć, jak się macie? Okropna mgła na dworze. Musiałem jechać bardzo powoli.

To bez troskie powitanie było dla wszystkich prawdziwym szokiem.

Pannie Marple wydawało się przez chwilę, że zaczęła widzieć podwójnie. Ale nie. Mężczyzna stojący obok Giny z pewnością nie mógł być tym samym, który właśnie wszedł do holu. Przyjrawszy się mu uważniej, stwierdziła, że obaj są po prostu podobni do siebie i że to podobieństwo nie jest nawet zbyt duże. Bez wątplenia byli to bracia.

Różnili się sylwetkami. Stephen Restarick był bardzo szczupły, a nowo przybyły – masywny i dobrze zbudowany. Miał na sobie obszerny płaszcz z astrachańskim kołnierzem. Z całej jego postaci biło poczucie pewności siebie, atmosfera dostatku i zadowolenia.

Panna Marple dostrzegła jeszcze jedno: gdy tylko wszedł, jego wzrok natychmiast powędrował ku Ginie.

– Przecież wiedzieliście, że przyjadę. Dostaliście chyba mój telegram – powiedział nieco stropiony, zwracając się teraz bezpośrednio do Carrie Louise. Zbliżył się do niej, a gdy wyciągnęła do niego dłoń, ujął ją delikatnie i pocałował. Był to gest pełen szacunku.

– Alex, mój drogi chłopcze... – zaczęła Carrie Louise. – Tak, oczywiście, dostaliśmy twój telegram... Tylko że... widzisz... tymczasem coś się wydarzyło...

– Wydarzyło?

Mildred pośpieszyła z wyjaśnieniami. W jej głosie pobrzmiwała pewnego rodzaju ponura satysfakcja, co pannie Marple wydało się mocno niewłaściwe.

– Mój brat Christian Gulbrandsen nie żyje. Jolly znalazła go zastrzelonego.

– Mój Boże! Odebrał sobie życie?

– Nie. – Carrie Louise poruszyła się niespokojnie. – To nie mogło być samobójstwo. Nie Christian!

– Wujek Christian nigdy nie popełniłby samobójstwa – dodała Gina.

Alex Restarick wodził wzrokiem dookoła. Jego brat Stephen skinął głową na znak potwierdzenia. Walter Hudd odpowiedział mu spojrzeniem pełnym niechęci. Wreszcie oczy Alexa zatrzymały się na pannie Marple. Przyjrzał się jej z wyrazem dezaprobaty, niczym zbędnemu rekwizytowi teatralnemu. Wyglądał, jakby oczekiwał jakichś wyjaśnień. Nikt mu jednak nie powiedział, kim jest ta starsza dama, sprawiająca wrażenie zakłopotanej i bezradnej.

– Kiedy to się stało? – zapytał w końcu.

– Tuż przed twoim przyjściem – wyjaśniła Gina. – Trzy, może cztery minuty temu. Słyszeliśmy strzał, ale nie zwróciliśmy na to uwagi.

– Jak to nie zwróciliście uwagi? Dlaczego?

– Bo... bo byliśmy zajęci czymś innym...

– O, tak – dorzucił Walter z ironią.

Panna Bellever pojawiła się w drzwiach prowadzących z holu do biblioteki.

– Pan Serrocold proponuje, abyśmy zaczekali na policję w bibliotece. Ciebie to oczywiście nie dotyczy, Cara – zwróciła się do Carrie Louise. – Odprowadzę cię do sypialni. Przyniosę ci butelkę z gorącą wodą, abyś...

Carrie Louise potrząsnęła głową i podniosła się z fotela.

– Najpierw muszę zobaczyć Christiana – powiedziała.

– Ależ Cara, nie powinnaś...

Carrie Louise odsunęła ją łagodnie na bok.

– Ty tego nie zrozumiesz, Jolly. – Rozejrzała się. – Jane?

Panna Marple pośpieszyła ku niej.

– Chodź ze mną, Jane.

Podeszły do drzwi wiodących na korytarz. Doktor Maverick, który wchodził właśnie do holu, omal się z nimi nie zderzył.

– Doktorze, niech ją pan powstrzyma – zawołała panna Bellever.

Carrie Louise spokojnie popatrzyła na młodego lekarza, a nawet uśmiechnęła się lekko.

– Pani chce go zobaczyć? – zapytał doktor.

– Muszę.

– Rozumiem. – Maverick odstąpił od drzwi. – Ale potem proszę się położyć. Panna Bellever pomoże pani. W tej chwili nie odczuwa pani skutków szoku. Ale to nastąpi, proszę mi wierzyć.

– Tak, ma pan rację, panie doktorze. Będę rozsądna. Chodźmy, Jane.

Szły powoli długim korytarzem. Minęły główne schody, położoną po prawej stronie jadalnię, drzwi wiodące do pomieszczeń kuchennych po lewej, wreszcie usytuowane niemal naprzeciw nich boczne drzwi prowadzące na taras. Na końcu korytarza znajdował się pokój Christiana Gulbrandsena. Umeblowany był raczej jako salonik niż jako sypialnia. Łóżko stało w niewielkiej alkowie, boczne drzwi prowadziły do garderoby i łazienki.

Carrie Louise zatrzymała się w progu. Christian Gulbrandsen siedział przy wielkim mahoniowym biurku, na którym stała przenośna maszyna do pisania. Był lekko pochylony do przodu. Wysokie poręczce fotela chroniły ciało przed upadkiem na podłogę.

Przy oknie stał Lewis Serrocold. Odsunął zasłony i wpatrywał się w ciemność. Teraz odwrócił się i zmarszczył brwi.

– Nie powinnaś była tu przychodzić, Caroline.

Podszedł do żony i ujął ją za rękę. Panna Marple cofnęła się o krok.

– Musiałam tu przyjść, Lewisie. Musiałam go zobaczyć.

Powoli zbliżyła się do biurka.

Lewis Serrocold powiedział ostrzegawczo.

– Nie wolno niczego dotykać przed przybyciem policji.

– Oczywiście. A więc został z premedytacją zamordowany?

– Tak. – Lewis Serrocold wyglądał na zdziwionego tym pytaniem. – Myślałem, że wiesz.

– Wiedziałam. Christian nie był człowiekiem, który odebrałby sobie życie. Jakąkolwiek nieostrożność z jego strony też możemy śmiało wykluczyć. Pozostało więc tylko jedno – morderstwo.

Carrie Louise pochyliła się nad biurkiem i spojrzała na zmarłego. W jej spojrzeniu malowała się miłość i smutek.

– Kochany Christian – powiedziała – zawsze był dla mnie taki dobry. – Lekko dotknęła głowy zmarłego czubkami palców. – Żegnaj, Christianie. Niech cię Bóg błogosławi.

– Boże! – rzekł Lewis Serrocold. – Gdybym tylko mógł ci tego oszczędzić, Caroline. – W jego zwykle spokojnym głosie brzmiało teraz napięcie, jakiego panna Marple nie słyszała u niego nigdy przedtem.

Carrie Louise potrząsnęła głową.

– Nigdy nie można nikomu niczego oszczędzić – powiedziała stanowczo. – Zawsze prędzej czy później człowiek będzie musiał stanąć twarzą w twarz z rzeczywistością. Im prędzej, tym lepiej. Pójdę się teraz położyć. Zostaniesz tu do przybycia policji, Lewisie?

– Tak.

Carrie Louise odwróciła się w stronę drzwi. Panna Marple objęła ją ramieniem.

IX

Inspektor Curry i ekipa policyjna zastali pannę Bellever czekającą w holu.

– Jestem Juliet Bellever, dama do towarzystwa i sekretarka pani Serrocold – przedstawiła się.

– To pani znalazła zwłoki i zadzwoniła do nas?

– Tak. Większość domowników jest w bibliotece. To tutaj, za tymi drzwiami. Pan Serrocold został w pokoju pana Gulbrandsena, pilnując, aby nikt niczego nie ruszał. Doktor Maverick, który badał zwłoki, będzie tu za chwilę. Teraz jest w innym skrzydle budynku, zajęty jednym ze swoich pacjentów. Czy mam wskazać panom drogę do pokoju pana Gulbrandsena?

– Jeśli pani łaskawa.

„Energiczna i kompetentna osoba” – pomyślał inspektor. „Zatroszczyła się o wszystko”.

Panna Bellever zaprowadziła ekipę do pokoju zmarłego. Przez następne dwadzieścia minut aparat policyjny pracował pełną parą. Fotograf sfotografował dokładnie miejsce zbrodni, lekarz policyjny, do którego dołączył potem doktor Maverick, zbadał zwłoki. W pół godziny później ambulans zabrał doczesne szczątki Christiana Gulbrandsena i inspektor Curry mógł rozpocząć wstępne przesłuchanie.

Lewis Serrocold zaprowadził go do biblioteki. Inspektor przyjrzał się uważnie zebranym, starając się uporządkować pierwsze wrażenia. Starsza dama o białych włosach, druga w średnim wieku, ładna młoda dziewczyna, którą inspektor widywał już wcześniej jeżdżącą samochodem po okolicy, jej mąż, posępny młody Amerykanin, dwaj młodzi mężczyźni i wreszcie panna Bellever, która go tu wprowadziła.

Już wcześniej przygotował sobie krótką przemowę, teraz odchrząknął i zaczął mówić:

– Obawiam się, że wszyscy państwo jesteście nieco wytrąceni z równowagi tym, co się wydarzyło, postaram się więc nie męczyć państwa zbyt długo dzisiaj wieczorem. Dokładne śledztwo rozpoczniemy jutro. Panna Bellever znalazła zwłoki. Prosiłbym więc, aby mi pani w skrócie opowiedziała, jak do tego doszło. Unikniemy w ten sposób zbędnych powtórzeń. Panie Serrocold, jeśli pragnie pan pójść na górę do żony, może pan to uczynić. Po przesłuchaniu panny Bellever będę chciał zamienić z panem kilka słów. I gdyby mógł pan oddać nam do dyspozycji jakieś pomieszczenie...

– Sądzę, że najlepszy będzie mój gabinet. Jak pani uważa, Jolly?

Panna Bellever skinęła głową.

– Właśnie chciałam zaproponować to samo.

Poprowadziła inspektora Curry i towarzyszącego mu sierżanta do gabinetu. Wskazała im miejsca, sama także usiadła. Z energicznego, pewnego siebie zachowania postronny świadek mógłby wyciągnąć wniosek, że właśnie ona, panna Bellever, jest osobą prowadzącą śledztwo.

Jednak to inspektor przejął inicjatywę.

Miał łagodny, bardzo miły głos i nienaganne maniery. Sprawiał wrażenie cichego, spokojnego, nawet trochę nieśmiałego. Wiele osób popełniało błąd, nie doceniając go. W rzeczywistości był znakomitym policjantem, fachowcem w swojej branży, tak jak panna Bellever była fachowcem w swojej. Inspektor nie lubił jednak odkrywać swoich kart zaraz na początku.

Odchrząknął i rozpoczął przesłuchanie.

– Pan Serrocold przedstawił mi główne fakty. Zmarły był najstarszym synem Erica Gulbrandsena, założyciela fundacji „Gulbrandsen Trust and Fellowship”, i jednym z kuratorów tej fundacji. Przyjechał do Stonygates wczoraj po południu zupełnie niespodziewanie, czy tak?

– Tak.

Inspektorowi podobała się ta zwięzłość i precyzja odpowiedzi.

– Zaś pan Serrocold przebywał w tym czasie w Liverpoolu i wrócił dzisiaj wieczorem pociągiem o osiemnastej trzydzieści.

– Tak.

– Po kolacji pan Gulbrandsen oznajmił, że idzie do swojego pokoju, gdyż ma do napisania kilka listów, i opuścił towarzystwo zaraz po tym, jak podano kawę. Czy to się zgadza?

– Tak.

– A teraz chciałbym, aby mi pani opowiedziała własnymi słowami, jak doszło do znalezienia przez panią zwłok.

– Dziś wieczorem miała miejsce wysoce nieprzyjemna scena. Młody człowiek, trochę psychopata, stracił panowanie nad sobą i groził panu Serrocoldowi rewolwerem. Kłótnia wybuchła w tym pokoju, a drzwi były zamknięte na klucz. Ten młodzieniec wystrzelił nawet dwa razy, na szczęście spudłował. O, tu na ścianie widać ślady po kulach. Po ataku szafu chłopak kompletnie się załamał, więc pan Serrocold posłał mnie po doktora Mavericka. Zadzwoiłam z wewnętrznego telefonu, ale go nie zastałam. Wreszcie odnalazł się w pokoju kolegi, więc przekazałam mu zlecenie. Wracając, zapukałam do pana Gulbrandsena. Chciałam zapytać, czy będzie jeszcze czegoś potrzebował przed pójściem spać, na przykład gorącego mleka albo whisky. Ponieważ nie usłyszałam odpowiedzi na pukanie, otworzyłam drzwi i wtedy zobaczyłam, że pan Gulbrandsen nie żyje. Wobec tego zadzwoniłam na policję.

– Proszę mi jeszcze powiedzieć, czy wszystkie drzwi do tego budynku są zamykane na klucz, czy też istnieje możliwość, aby ktoś z zewnątrz mógł się dostać do środka, nie zauważony przez domowników?

– Każdy mógłby wejść bocznym wejściem z tarasu. Te drzwi zamyka się dopiero wtedy, gdy idziemy spać. Bocznego wyjścia używają wszyscy udający się bądź wracający z Instytutu.

– A w Instytucie mieszka ponad dwustu młodocianych przestępców?

– Tak, ale budynki Instytutu są przez cały czas strzeżone. Wydaje mi się wysoce nieprawdopodobne, aby ktoś mógł niepostrzeżenie opuścić Instytut.

– Sprawdzimy to, oczywiście. Czy pan Gulbrandsen mógł być nie lubiany w Instytucie? Może wydał jakieś niepopularne zarządzenie...?

Panna Bellever potrząsnęła głową.

– Z codzienną pracą Instytutu pan Gulbrandsen nie miał nic wspólnego.

– Jaki był cel jego wizyty tutaj?

– Nie mam pojęcia.

– Ale był rozczarowany, kiedy dowiedział się, że pan Serrocold jest nieobecny?

– Tak.

– I postanowił zaczekać na jego powrót?

– Tak.

– A więc bez wątpienia przyjechał, aby porozmawiać z panem Serrocoldem.

– Tak... ale to z pewnością musiało dotyczyć Instytutu. Zawsze tak było.

– Rozumiem. Czy pan Gulbrandsen rozmawiał z panem Serrocoldem?

– Nie, nie było na to czasu. Pan Serrocold wrócił do domu tuż przed kolacją.

– A po kolacji pan Gulbrandsen oświadczył, że ma do napisania kilka listów i poszedł do siebie. Czy wyraził przedtem życzenie porozmawiania z panem Serrocoldem?

Panna Bellever zastanawiała się dłuższą chwilę. W końcu powiedziała zdecydowanie:

– Nie, niczego takiego nie mówił.

– To trochę dziwne, zważywszy, że przyjechał właśnie w tym celu.

– Tak, to rzeczywiście trochę dziwne... – panna Bellever pierwszy raz wydała się

zdumiona.

– Czy pan Serrocold odprowadził zmarłego do jego pokoju?

– Nie, został w holu.

– Pani nie wie, o której Gulbrandsen mógł zostać zamordowany?

– Możliwe, że wszyscy słyszeliśmy strzał. Gdyby istotnie tak było, to pan Gulbrandsen zostałby zastrzelony mniej więcej dwadzieścia po dziewiątej.

– Jak to, słyszeliście państwo strzał? I nikogo to nie zaniepokoiło?

– Okoliczności były dość niecodzienne. Mówiłam panu o tym incydencie między Lewisem Serrocoldem a Edgarem Lawsonem.

– Czy nikomu nie przyszło do głowy, że strzał mógł być oddany wewnątrz domu?

– Nie. Jestem pewna, że nikt o tym nie pomyślał. Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą, że strzał nie padł w gabinecie – odpowiedziała panna Bellever. – Nikomu nie przyszło na myśl, że w ciągu jednego wieczoru w jednym domu może się przytrafić próba morderstwa i morderstwo – dodała z naciskiem.

Inspektor Curry musiał uznać wagę tego argumentu.

– Sądzę – dorzuciła nieoczekiwanie panna Bellever – że to fakt, iż usłyszeliśmy jakiś huk, spowodował, że poszłam do pokoju pana Gulbrandsena. Sama sobie tłumaczyłam, że chcę sprawdzić, czy niczego mu nie brakuje. Podświadomie jednak chciałam się chyba upewnić, czy wszystko jest w porządku.

Inspektor Curry popatrzył uważnie na swoją rozmówczynię.

– A co panią skłoniło do przypuszczenia, że coś mogłoby być nie w porządku?

– Nie wiem. Jak już mówiłam, słyszeliśmy ten huk, który dobiegł z ogrodu. Początkowo w ogóle nie zwróciłam na to uwagi. Potem jednak zaczęłam się zastanawiać i doszłam do wniosku, że to pewnie był jakiś hałas spowodowany przez samochód pana Restaricka.

– Samochód pana Restaricka?

– Tak. Tego wieczoru przyjechał pan Alex Restarick. Pojawił się dosłownie w chwilę po tych wydarzeniach.

– Rozumiem. Czy po wejściu do pokoju zmarłego coś pani ruszała?

– Oczywiście że nie – zapewniła panna Bellever, lekko dotknięta tym przypuszczeniem. – Wiem, że w takich wypadkach nie należy niczego dotykać. Pan Gulbrandsen otrzymał postrzał w głowę, nigdzie nie dostrzegłam broni i stąd wiedziałam, że to morderstwo.

– Czy gdy zaprowadziła nas pani do pokoju zmarłego, było tam tak jak przedtem, gdy znalazła pani zwłoki?

Panna Bellever zamyśliła się. Przez chwilę siedziała nieruchomo z przymkniętymi oczami.

– Prawdopodobnie ma fotograficzną pamięć – mruknął inspektor do siebie.

– Coś się jednak zmieniło... – odezwała się w końcu. – W maszynie nie było papieru!

– Czy chce pani przez to powiedzieć, że gdy po raz pierwszy weszła pani do pokoju, w maszynie do pisania tkwił list, który Christian Gulbrandsen pisał, i że ten list został później zabrany? – upewnił się inspektor.

– Tak. Jestem zupełnie pewna, że widziałam arkusz papieru tkwiący w maszynie.

– Kto poza panią wchodził do tego pokoju, zanim przyjechaliśmy?

– Pan Serrocold. Był tam aż do chwili przyjazdu panów. Poza tym pani Serrocold i panna Marple. Pani Serrocold bardzo nalegała.

– Pani Serrocold i panna Marple – powtórzył inspektor. – Która to jest panna Marple?

– Ta starszuszka z białymi włosami. To szkolna przyjaciółka pani Serrocold. Przyjechała z wizytą kilka dni temu.

– Dziękuję pani, panno Bellever. Pani relacja była bardzo jasna i klarowna. Porozmawiam teraz z panem Serrocoldem. Chociaż... tak, panna Marple to starsza osoba. Porozmawiam najpierw z nią, aby mogła się później położyć. Z pewnością był to dla niej szok.

– Czy mam ją tutaj poprosić?

– Jeśli pani łaskawa.

Panna Bellever wyszła.

– Gulbrandsen... – powiedział inspektor w zamyśleniu, gdy za panną Bellever zamknęły się drzwi. – Dlaczego akurat Gulbrandsen? W Instytucie przebywa ponad dwustu młodocianych przestępców. Prawdopodobnie sprawcą jest któryś z nich; nie ma doprawdy powodu, aby sądzić inaczej. Ale dlaczego akurat Gulbrandsen? Ktoś w gruncie rzeczy z zewnątrz.

– Oczywiście nie wiemy jeszcze wszystkiego – zauważył sierżant Lake.

– Dokładniej mówiąc, niczego jeszcze nie wiemy – sprostował inspektor.

Podniósł się uprzejmie z miejsca, gdy panna Marple weszła do pokoju. Starsza pani wydała się trochę podekscytowana, pośpieszył więc ją uspokoić.

– Proszę, niechże się pani nie denerwuje – powiedział. W duchu jednak pomyślał sobie: „Ach, te stare panny. Dla nich policjant to człowiek niższej kategorii, zobowiązany do okazywania wielkiego szacunku ludziom lepszym od siebie”. – Wiem, że to bardzo przykra historia, ale policja musi ustalić pewne fakty...

– O, tak – przytaknęła panna Marple. – To bardzo trudne, prawda? To jest, chciałam powiedzieć, że bardzo trudno jest ustalić fakty. Gdy się patrzy na jedno, nie można jednocześnie patrzeć na coś innego. Często spoglądamy nie na to, co trzeba. A potem jest tak trudno ustalić, czy to był przypadek, że skupiliśmy naszą uwagę na rzeczach nieistotnych, czy też ktoś celowo sprawił, że patrzyliśmy na rzeczy niewłaściwe. Iluzjoniści nazywają to fałszywym obrazem. Mądrzy ludzie, prawda? Nigdy nie mogłam zrozumieć, jak oni to robią z tym akwariem ze złotymi rybkami. Przecież tak naprawdę to nie mogą go poskładać...

Inspektor Curry zamrugał gwałtownie oczami.

– No tak, istotnie – powiedział. – A więc, łaskawa pani... Panna Bellever opowiedziała mi o wydarzeniach dzisiejszego wieczoru. Jestem pewien, że było to dla państwa silnym wstrząsem.

– O tak, to było takie dramatyczne.

– Najpierw ten incydent między panem Serrocoldem a... – inspektor zajrzał do swoich notatek – a Edgarem Lawsonem.

– Bardzo osobliwy młody człowiek – stwierdziła panna Marple. – Ciągle mam wrażenie, że coś jest z nim nie w porządku.

– Jestem pewien, że ma pani rację – przyznał inspektor. – A później, gdy pierwsze wzburzenie minęło, nastąpiły dalsze wydarzenia. Pan Gulbrandsen został znaleziony martwy. Jak słyszałam, pani towarzyszyła pani Serrocold, która chciała zobaczyć... hm... zwłoki.

– Tak, prosiła mnie o to. Jesteśmy starymi przyjaciółkami.

– Rozumiem. A więc poszły panie do pokoju zajmowanego przez pana Gulbrandsena.

Czy któraś z pań coś tam ruszała?

– O nie. Pan Serrocold ostrzegł nas, abyśmy tego nie robiły.

– Może zauważyła pani przypadkiem, czy w maszynie do pisania był wkręcony papier?

– W maszynie nie było żadnego papieru – powiedziała panna Marple zdecydowanie. –

Od razu zwróciłam na to uwagę, gdyż wydało mi się to dziwne. Pan Gulbrandsen siedział przy biurku, przed nim stała maszyna do pisania. Powinien był więc coś pisać. Tak, to wydało mi się dziwne.

Inspektor Curry popatrzył na nią z uwagą.

– Czy dużo pani rozmawiała z panem Gulbrandsenem podczas jego wizyty tutaj?

- Niewiele.
- A czy przypomina sobie pani coś szczególnego, coś, co mogłoby mieć jakieś znaczenie? Panna Marple zastanowiła się przez moment.
- Pytał mnie o zdrowie pani Serrocold, a konkretnie o jej serce.
- O serce? Czy pani Serrocold cierpi na jakieś dolegliwości sercowe?
- O ile dobrze wiem, to nie.

Inspektor Curry milczał przez chwilę, a potem zapytał:

– Podczas tego incydentu między Edgarem Lawsonem a panem Serrocoldem słyszeliście państwo strzał, czy tak?

– Osobiście nie słyszałam. Ja trochę słabo słyszę, panie inspektorze. Ale pani Serrocold powiedziała, że to pewnie był jakiś hałas z ogrodu.

– Pan Gulbrandsen opuścił towarzystwo zaraz po kolacji, prawda.

– Tak, powiedział, że ma do napisania kilka listów.

– Nie wyraził życzenia rozmowy z panem Serrocoldem?

– Nie – odpowiedziała panna Marple. I dodała: – Oni rozmawiali ze sobą już wcześniej.

– Jak to? – zapytał inspektor zdumiony. – Kiedy? Powiedziano mi, że pan Serrocold wrócił do domu bezpośrednio przed kolacją.

– To prawda. Ale wracał pieszo przez park i pan Gulbrandsen wyszedł mu naprzeciw.

Potem jakiś czas spacerowali po tarasie.

– Czy oprócz pani ktoś o tym wie?

– Nie sądzę, raczej nie. Chyba że pan Serrocold powiedział o tym żonie. Ja wyglądałam akurat przez okno, zupełnie przypadkowo. Przyglądałam się ptakom.

– Ptakom?

– Tak, ptakom – powiedziała panna Marple z przepraszającym uśmiechem. – To chyba były czyżyki.

Inspektor Curry nie wyraził żadnego zainteresowania czyżykami.

– Czy nie zdarzyło się, że... że przypadkiem usłyszała pani jakiś fragment tej rozmowy? – zapytał taktownie.

Panna Marple obdarzyła go spojrzeniem swoich niewinnych, porcelanowych oczu.

– Obawiam się, że usłyszałam zaledwie drobne fragmenty – powiedziała łagodnie.

– Tak?

Milczała przez chwilę. Potem rzekła:

– Tematu rozmowy oczywiście nie znam. Obaj chcieli utrzymać coś w tajemnicy przed panią Serrocold. Chcieli jej czegoś oszczędzić, jak się wyraził pan Gulbrandsen. A pan Serrocold dodał: „Zgadzam się, że należy ją chronić”. Mówili jeszcze o zbyt wielkiej odpowiedzialności i o konieczności zasięgnięcia rady kogoś z zewnątrz. – Po krótkiej pauzie panna Marple dorzuciła jeszcze: – Myślę, że byłoby najlepiej zapytać o to samego pana Serrocolda.

– Z pewnością to uczynimy, łaskawa pani. Czy coś jeszcze wydało się pani dziwne tego wieczoru?

– Cały wieczór był bardzo niezwykły, jeśli pan rozumie, co chcę przez to powiedzieć.

– Tak, oczywiście, oczywiście.

Nagle panna Marple coś sobie przypomniała.

– Aha, jeszcze jedno. Pan Serrocold nie pozwolił swojej żonie zażyć lekarstwa. Pannę Bellever to bardzo zdenerwowało. – Uśmiechnęła się przepraszająco. – Ale to pewnie drobiazg bez znaczenia.

– Tak. Dziękuję pani, panno Marple.

Gdy opuściła pokój, sierżant Lake zauważył:

– Stara, ale bystra.

X

Z wejściem Lewisa Serrocolda w gabinecie od razu zapanowała inna, bardziej prywatna atmosfera. Lewis starannie zamknął za sobą drzwi. Nie usiadł na krześle zajmowanym przedtem przez pannę Marple, lecz za swym biurkiem. Uprzednio panna Bellever wskazała inspektorowi krzesło stojące z boku, jakby podświadomie rezerwując tamto miejsce dla Serrocolda.

Lewis Serrocold w zamyśleniu popatrzył na obu policjantów. Twarz miał zmęczoną jak człowiek, który dźwiga ciężkie brzemię. Inspektor był tym nieco zdziwiony. Nawet jeśli śmierć Christiana Gulbrandsena była dla Serrocolda szokiem, nie była to przecież śmierć krewnego czy bliskiego przyjaciela.

Nastąpiło jakby odwrócenie ról. Lewis Serrocold nie zachowywał się jak ktoś, kto przyszedł poddać się przesłuchaniu policyjnemu. Sprawiał raczej wrażenie osoby przewodniczącej rozprawie sądowej. Inspektora trochę to zdenerwowało. Zaczął więc zdecydowanym tonem:

– A więc, panie Serrocold...

Ale ten nie zwrócił uwagi na jego słowa. Siedział całkowicie pogrążony we własnych myślach. W końcu odezwał się z westchnieniem:

– Jak ciężko jest czasami zdecydować, czy coś jest słuszne czy nie.

– Myślę, że o tym my będziemy decydować, panie Serrocold – odparł inspektor. – Więc jak to było z tym Gulbrandsenem? O ile dobrze zrozumiałem, przyjechał tu nieoczekiwanie.

– Zupełnie nieoczekiwanie.

– Pan nie wiedział, że on przyjedzie?

– Nie miałem najmniejszego pojęcia.

– I nie miał pan także pojęcia, dlaczego przyjechał?

Lewis Serrocold odparł z całkowitym spokojem:

– Dlaczego przyjechał, wiedziałem. Powiedział mi.

– Kiedy?

– Zaraz po moim powrocie z dworca. Christian widział mnie idącego przez park i wyszedł mi naprzeciw. Przy tej sposobności opowiedział mi, co go tutaj przywiodło.

– Z pewnością jakaś sprawa dotycząca Instytutu...?

– Nie, z Instytutem to nie miało nic wspólnego.

– Panna Bellever wydawała się być odmiennego zdania.

– To zrozumiałe. Można było przypuszczać, że przybył tu w sprawach Instytutu.

Gulbrandsen nie uczynił nic, aby sprostować to błędne mniemanie. Ja także nie.

– Dlaczego?

– Ponieważ obaj uznaliśmy, że prawdziwy powód jego wizyty powinien pozostać tajemnicą.

– A jaki był ten powód?

Lewis Serrocold milczał dłuższą chwilę. Potem westchnął ciężko.

– Gulbrandsen przyjeżdża zwykle dwa razy do roku, aby wziąć udział w posiedzeniu Kuratorium. Ostatnie posiedzenie odbyło się miesiąc temu, tak więc ponownie powinien pojawić się w Stonygates dopiero za pięć miesięcy. Każdy mógł więc przypuszczać, że sprowadziła go tutaj jakaś bardzo pilna sprawa. To zupełnie naturalne, że wszyscy sądzili, iż przyjechał w związku z Instytutem. Gulbrandsen nie wyprowadzał nikogo z błędu. To znaczy, starał się. Tak, powiedzenie, że starał się nie wyprowadzać nikogo z błędu, będzie bliższe prawdy.

– Obawiam się, że nie bardzo nadążam za tokiem pańskiego rozumowania.

Lewis Serrocold wahał się przez chwilę.

– Jestem zupełnie świadomy tego, że w związku z zamordowaniem Christiana – a bez

wątpienia mamy tu do czynienia z morderstwem – muszę podać panu, panie inspektorze, wszystkie znane mi fakty. Ale szczerze mówiąc, bardzo mi zależy na szczęściu i spokoju mojej żony. Nie jestem oczywiście upoważniony do tego, aby pana pouczać, byłbym natomiast niezmiernie zobowiązany, gdyby pokierował pan tą sprawą tak, by moja żona nie dowiedziała się o pewnych rzeczach. Christian przyjechał tu, gdyż chciał mi powiedzieć, że ma podstawy, aby przypuszczać, że moja żona jest od dłuższego czasu podtruwana. Truta powoli i z rozmysłem.

– Co pan mówi? – Inspektor Curry pochylił się do przodu.

Lewis Serrocold skinął głową.

– Dokładnie tak. Może pan sobie wyobrazić, panie inspektorze, jakim szokiem było dla mnie to stwierdzenie. Mnie samemu nigdy nie przyszłoby to do głowy. Ale gdy tylko Gulbrandsen podzielił się ze mną swoim spostrzeżeniem, musiałem przyznać, że niektóre objawy, na które żona uskarżała się ostatnio, zdają się potwierdzać jego podejrzenia. Wszystko, co Caroline brała za reumatyzm, a więc kurcze w nogach, bóle i nudności, to wszystko zgadza się doskonale z objawami zatrucia arsenikiem.

– Panna Marple powiedziała nam, że Gulbrandsen pytał ją o stan serca pańskiej żony.

– Pytał o serce? To interesujące. Może przypuszczał, że ktoś posłużył się trucizną powodującą atak serca i później nagły zgon. Osobiście uważam, że arsenik jest bardziej prawdopodobny.

– Jest więc pan przekonany, że podejrzenia Gulbrandsena były uzasadnione?

– Sądzę, że tak. Christian nigdy nie zwróciłby się do mnie, gdyby nie miał całkowitej pewności. Postępował zawsze bardzo ostrożnie, nie ulegał nigdy niczym wpływom, był też bardzo przenikliwy.

– Na czym opierał swoje podejrzenia?

– Nie rozmawialiśmy o szczegółach. Nasza rozmowa była bardzo krótka. Przedstawił mi tylko cel swojej wizyty. Postanowiliśmy, że nie powiemy mojej żonie o tych podejrzeniach, dopóki nie uzyskamy całkowitej pewności.

– A kogo konkretnie Gulbrandsen podejrzewał?

– Nie wiem. Nie mówił i nie sądzą, aby wiedział, kto to może być. Natomiast mógł żywić pewne podejrzenia. Teraz wydaje mi się, że musiał wiedzieć więcej, niż mi zdradził. Inaczej dlaczego zostałby zamordowany?

– A więc nie wymienił żadnego nazwiska?

– Nie. Obaj byliśmy zdania, że w tej sprawie trzeba działać bardzo ostrożnie. Christian zaproponował, abyśmy porozumieli się z biskupem Cromer doktorem Galbraithem, który był jego wielkim przyjacielem i jednym z kuratorów Instytutu. To bardzo mądry i doświadczony człowiek. Gdyby zaszła konieczność poinformowania o wszystkim mojej żony, z pewnością byłby jej bardzo pomocny. Chcieliśmy też poradzić się go, czy mamy w tej sprawie zwrócić się do policji czy nie.

– Zdumiewające – stwierdził inspektor Curry.

– Christian opuścił towarzystwo zaraz po kolacji, gdyż chciał napisać list do Galbraitha. Został zastrzelony w trakcie pisania.

– Skąd pan wie?

– Wiem, gdyż sam wyciągnąłem list z maszyny – odparł spokojnie Lewis Serrocold. – Mam go przy sobie. – Sięgnął do kieszeni, wyjął złożony arkusz papieru i wręczył go inspektorowi.

Ten powiedział ostro:

– Nie powinien był pan tego robić!

– Poza listem niczego nie ruszałem. Wiem, pan myśli teraz, że to była niewybaczalna

głupota z mojej strony. Ale, proszę mi wierzyć, miałem ku temu powody. Wiedziałem, że nie da się powstrzymać mojej żony przed przyjściem do pokoju zmarłego i obawiałem się, że może wtedy przeczytać list. Przyznaję, zabrałem list bezprawnie, ale gdybym jeszcze raz znalazł się w podobnym położeniu, uczyniłbym to samo. Zrobiłbym wszystko, tak, zrobiłbym naprawdę wszystko, aby oszczędzić Caroline cierpienia.

Inspektor Curry nic nie odpowiedział. Czytał napisany na maszynie list:

Drogi doktorze Galbraith, chciałbym, aby otrzymawszy ten list, przyjechał pan jak najszybciej do Stonygates. Nie wiem, doprawdy, jak mam się zachować w obliczu kryzysu, jaki tu nastąpił. Znam pańskie głębokie przywiązanie do naszej drogiej Carrie Louise i wiem, że jej sprawy, jej problemy są panu bliskie. Nie wiem, ile mogę jej powiedzieć, a ile powinienem zachować w tajemnicy. To są pytania, na które nie potrafię znaleźć odpowiedzi.

Mówiąc krótko: mam podstawy, aby sądzić, że nasza kochana, niewinna Carrie Louise jest powoli podtruwana. Po raz pierwszy zaczęłam to podejrzewać, gdy...

Na tym list się urywał.

– I gdy Christian Gulbrandsen doszedł do tego miejsca, został zastrzelony? – zapytał Curry.

– Tak.

– Ale dlaczego morderca zostawił list w maszynie?

– Mogę sobie wyobrazić dwa powody. Albo morderca nie miał pojęcia, do kogo list jest adresowany i o czym traktuje, albo też nie miał czasu go usunąć. Może usłyszał, że ktoś nadchodzi i chciał jak najszybciej umknąć?

– Czy Christian Gulbrandsen naprawdę nie dał panu żadnej wskazówki, kogo podejrzewa?

Lewis Serrocold jakby zawahał się przez chwilę, nim odparł:

– Nie, nic nie mówił.

– Jak pan sądzi, w jaki sposób arszenik, czy inna trucizna, mógł być podawany pańskiej żonie?

– Myślałem o tym, przebijając się do kolacji. Najprawdopodobniej sprawca posłużył się lekarstwem, preparatem na wzmocnienie, który moja żona codziennie zażywa. Posiłki raczej nie wchodzi w rachubę. Wszyscy jemy to samo, potrawy są podawane na wspólnych półmiskach. Nie ma takich dań, które jadłaby wyłącznie żona. Natomiast każdy mógłby dosypać trucizny do butelki z lekarstwem.

– Będziemy musieli oddać je do analizy.

– Wziąłem próbkę dziś przed kolacją – powiedział spokojnie Lewis.

Sięgnął do szuflady biurka i wyciągnął stamtąd niewielką buteleczkę napełnioną rubinowym płynem.

– Pan pomyślał rzeczywiście o wszystkim, panie Serrocold – zauważył inspektor, obrzucając Lewisa zaciekawionym spojrzeniem.

– Jestem człowiekiem czynu. Działam szybko i zdecydowanie. Nie pozwoliłem też żonie zażyć dzisiejszej dawki. Szklaneczka z lekarstwem wciąż stoi na małym stoliku w holu. Butelkę natomiast przechowuje się w jadalni.

Inspektor Curry pochylił się w stronę Lewisa. Lekko ściszył głos i odezwał się nieco poufale, bez swego urzędowego tonu:

– Proszę mi wybaczyć, ale dlaczego tak bardzo zależy panu na tym, aby żona o niczym się nie dowiedziała? Boi się pan, że mogłaby wpaść w panikę? Przecież należałoby ją ostrzec dla jej własnego dobra.

– Tak, być może. Ale pan nie rozumie wszystkiego. To zresztą nie takie proste, jeśli się

nie zna mojej żony. Caroline jest idealistką, panie inspektorze. Jest niezmiernie ufna i w ogóle nie dostrzega zła. Nie potrafiłaby nawet tego pojąć, gdybym jej nagle oznajmił, że ktoś usiłuje ją zabić. Ale musimy pójść jeszcze dalej. Sprawcą nie może być „ktokolwiek”. Sprawcą z pewnością musi być ktoś, kto jest jej bliski i drogi. Sam pan zresztą zobaczy, panie inspektorze.

– Tak pan sądzi?

– Tak. Musimy odważnie stawić czoło faktom. W pobliżu znajduje się ponad dwustu młodych ludzi, którzy w swoim życiu niejednokrotnie udowodnili, że są zdolni do bezmyślnego okrucieństwa. Ale żaden z nich nie może wchodzić w grę jako sprawca. Stopniowo dodawać trucizny do butelki z lekarstwem może tylko ktoś żyjący w ściśle rodzinnym kręgu. A teraz niech pan pomyśli o ludziach mieszkających w tym domu. Mąż, córka, wnuczka, mąż wnuczki, pasierb, którego Caroline traktuje jak rodzzonego syna, i panna Bellever, oddana przyjaciółka od wielu lat. Wszyscy oni są jej bliscy i drodzy. I teraz pojawia się pytanie: które to z nich?

– Są jeszcze obcy... – powiedział powoli inspektor Curry.

– Tak, w pewnym sensie. Doktor Maverick, wychowawcy Instytutu, wreszcie służba. Ale jaki oni mogliby mieć motyw?

– Jest jeszcze ów młody człowiek, zaraz... jak on się nazywa? Ach, Edgar Lawson.

– Tak, ale on mieszka z nami od niedawna i też nie ma żadnego motywu. Poza tym Edgar jest bardzo oddany Caroline. Jak wszyscy zresztą.

– Ale jest niezrównoważony. Jak to było z tym atakiem na pana dziś wieczorem?

Serrocold machnął ze zniecierpliwieniem ręką.

– Zwykła dziecinada. Nie miał zamiaru zrobić mi krzywdy.

– A te dziury po kulach? Przecież strzelał do pana.

– Ale nie celował. Po prostu odgrywał komedię, nic więcej.

– Bardzo niebezpieczny sposób odgrywania komedii, panie Serrocold.

– Pan nie rozumie. Proszę porozmawiać z naszym psychiatrą, doktorem Maverickiem.

Edgar to nieślubne dziecko. Wmawiając sobie i innym, że jest synem sławnego człowieka, usiłuje dodać sobie znaczenia, ukryć fakt, że nie wie, kto jest jego ojcem. To bardzo charakterystyczny objaw, panie inspektorze. Edgar był już na najlepszej drodze do całkowitej poprawy, ale potem – z niewiadomego powodu – nastąpiło pogorszenie. Wyobraził sobie, że to ja jestem jego ojcem. Stąd ta melodramatyczna scena. Wyciągnął rewolwer i udawał, że mi grozi.

W końcu oddał dwa strzały i w tym samym momencie zupełnie się załamał. Doktor Maverick odprowadził go do pokoju i dał mu środek uspokajający. Jutro rano będzie się prawdopodobnie zachowywał zupełnie normalnie.

– Czy ma pan zamiar wnieść przeciwko niemu oskarżenie?

– To byłoby najgorsze, co mógłbym uczynić. Dla niego, oczywiście.

– Mówiąc całkiem otwarcie, panie Serrocold, uważam, że Lawson powinien zostać odosobniony. Nie można pozwolić na to, aby ludzie, którzy chcą dodać sobie znaczenia, po prostu naciskają spust, chodzili wolno. Trzeba mieć na uwadze bezpieczeństwo publiczne.

– Niech pan porozmawia na ten temat z Maverickiem – zaproponował Lewis – a usłyszysz pan opinię fachowca. W każdym razie Edgar nie mógł zastrzelić Gulbrandsena. Cały czas przebywał ze mną, grożąc, że zastrzeli właśnie mnie.

– Zaraz do tego dojdziemy. Z zewnątrz sprawcą mógł być dosłownie każdy. Skoro drzwi na taras nie były zamknięte na klucz, każdy mógł dostać się do domu i zastrzelić Gulbrandsena. Ale w świetle tego, co pan powiedział uprzednio, musimy chyba zawęzić pole naszych poszukiwań do ściśle ograniczonego kręgu domowników. Jest bardzo prawdopodobne, że poza panną... ee... aha, panną Marple, która akurat wyglądała przypadkiem przez okno swojej sypialni – nikt z domowników nie wiedział, że pan i Gulbrandsen odbyliście już rozmowę. Morderca

pragnął uciszyć Gulbrandsena, zanim ten skontaktuje się z panem. Oczywiście nie musiał to być jedyny motyw. Czy zmarły był człowiekiem bogatym?

– Był bardzo dobrze sytuowany. Miał synów, córki, wnuki. Prawdopodobnie wszyscy oni zyskają na jego śmierci. Nie sądzę jednak, aby ktoś z rodziny przebywał w tej chwili w Anglii, poza tym oni sami są dosyć zamożni. O ile się orientuję, nie ma między nimi żadnej czarnej owcy.

– Czy zmarły miał wrogów?

– To raczej mało prawdopodobne. Chyba nie. To nie był ten typ człowieka.

– A więc wygląda na to, że w grę wchodzi ktoś z domowników jako sprawca. Kto, pana zdaniem, mógł zamordować Christiana Gulbrandsena?

Lewis Serrocold zastanawiał się przez chwilę.

– Trudno powiedzieć – stwierdził. – W grę wchodzi służba, członkowie rodziny i goście.

Sądzę, że dla pana wszyscy są podejrzani. O ile wiem, poza służącymi wszyscy przebywali w holu, gdy Christian udał się do swojego pokoju. Jak długo ja sam byłem w holu, nikt nie opuszczał tego pomieszczenia.

– Czy rzeczywiście nikt?

– Sądzę, że nie. – Lewis Serrocold zmarszczył czoło w wyrazie głębokiego namysłu. –

Ach, tak. Przypominam sobie, że w pewnej chwili nastąpiło krótkie spięcie w instalacji elektrycznej i Walter Hudd wyszedł naprawić bezpieczniki.

– Walter Hudd to ten młody Amerykanin?

– Tak. Oczywiście nie wiem, co działo się potem, gdy byłem z Edgarem tu w gabinecie.

– Czy naprawdę nie może mi pan powiedzieć nic więcej?

Lewis Serrocold pokręcił głową.

– Nie, nie potrafię. To wszystko wydaje mi się wprost niewiarygodne.

Inspektor westchnął.

– Denat został zastrzelony z małego pistoletu automatycznego. Czy ktoś z domowników posiada taką broń?

– Nie mam pojęcia, ale wydaje mi się to w najwyższym stopniu nieprawdopodobne.

Inspektor Curry westchnął ponownie.

– Niech pan powie pozostałym, że mogą się udać na spoczynek. Porozmawiam z nimi jutro.

Gdy Lewis Serrocold opuścił pokój, inspektor zwrócił się do sierżanta Lake'a:

– A co pan o tym sądzi, sierżancie?

– Myślę, że on wie, albo przynajmniej jest przekonany, że wie, kto to zrobił.

– Zgadzam się z panem.

XI

Gdy następnego ranka panna Marple zeszła na śniadanie, przywitała ją wzburzona Gina.

– Policja znowu jest tutaj – oznajmiła. – W bibliotece. Wally twierdzi, że są wspaniali – zachowują się tak grzecznie i dyskretnie. Podejrzewam, że ta historia po prostu go fascynuje. Ja uważam, że jest okropna. Jak pani myśli, dlaczego jestem taka wzburzona? Czy to może dlatego, że jestem półkrwi Włoszką?

– Bardzo możliwe. To przynajmniej tłumaczy, dlaczego nie wstydzisz się okazywania swoich uczuć. – Wypowiadając te słowa, panna Marple lekko się uśmiechnęła.

– Jolly jest wściekła – ciągnęła Gina, biorąc pannę Marple pod ramię i kierując się w stronę jadalni. – Myślę, że najbardziej złości ją fakt, że policjanci robią, co chcą i nie daje się nimi komenderować, tak jak rodziną. A Alex i Stephen wydają się zupełnie nieporuszeni tym, co się wydarzyło – dodała, wchodząc już do jadalni.

Obaj bracia Restarickowie kończyli właśnie śniadanie.

– Ależ, Gino – odezwał się Alex – jak możesz twierdzić coś takiego? Dzień dobry, panno Marple. Wcale nie jestem nieporuszony. Co prawda słabo znałem wuja Christiana, za to jestem głównym podejrzanym. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę.

– Jak to?

– Po prostu pojawiłem się w odpowiednim momencie. Panowie z policji sprawdzili wszystko i doszli do wniosku, że przejście od stróżówki przy bramie aż do domu trwało podejrzanie długo. Są zdania, że miałem wystarczająco dużo czasu, aby zostawić samochód, przebiec wokół domu, wśliznąć się bocznym wejściem, zastrzelić wuja Christiana, wybiec i wrócić do samochodu.

– A co naprawdę robiłeś przez ten czas?

– Myślałem, że grzeczne dziewczynki wiedzą, iż nie należy zadawać takich kłopotliwych pytań. Ale skoro koniecznie chcesz wiedzieć... Przez parę dobrych minut stałem jak ten idiota, obserwując efekty, jakie daje oświetlenie mgły światłem reflektorów samochodowych. Chciałem to wykorzystać na scenie, przy wystawianiu nowego baletu.

– Przecież możesz to spokojnie powiedzieć policji.

– O tak, pewnie że mogę. Ale chyba wiesz, jacy są policjanci. Powiedzą ci uprzejmie: „Bardzo dziękujemy za te informacje”, i wszystko sobie dokładnie zanotują. Człowiek nie ma pojęcia, co sobie przy tym właściwie myśli, widzi tylko, że miny mają mocno sceptyczne.

– Przyznaję, że widok ciebie w kłopotach sprawiłby mi dużą przyjemność. – Stephen uśmiechnął się złośliwie. – Co do mnie, jestem w porządku. Nie opuściłem wczoraj holu ani na chwilę.

– Ależ chyba policja nie podejrzewa, że to był ktoś z nas? – zawołała Gina. Z jej ciemnych oczu wyzierało przerażenie.

– Tylko nie mów, kochanie, że zrobił to na pewno jakiś włóczęga – powiedział Alex, przysuwając sobie marmoladę. – To takie szablonowe.

Do jadalni zajrzała panna Bellever.

– Czy mogłaby pani przyjść po śniadaniu do biblioteki, panno Marple?

– Znowu pani? – zdziwiła się Gina. – Nikt z nas, tylko pani. – Zdawała się być lekko urażona.

– A to co?! – zawołał nagle Alex.

– Ja niczego nie słyszałem – powiedział Stephen.

– Brzmiało to jak wystrzał.

– Policja robi jakieś próby z pistoletem w tym pokoju, w którym został zamordowany wuj Christian – wyjaśniła Gina. – Pojęcia nie mam, po co im to. Na dworze też strzelali.

Drzwi otworzyły się ponownie i do jadalni wkroczyła Mildred Strete. Miała na sobie czarną suknię, ozdobioną skromną, onyksową broszką.

Nie patrząc na nikogo, wyszeptała „dzień dobry” i usiadła.

– Poproszę trochę herbaty, Gino. I jedną grzankę, nic więcej – odezwała się zbolalym tonem.

Przyłożyła do oczu trzymaną w rękę chusteczkę, następnie obrzuciła braci Restaricków spojrzeniem pełnym wyrzutu. Alex i Stephen poczuli się mocno niepewnie pod jej karcącym wzrokiem. Poszeptali przez chwilę między sobą i opuścili jadalnię.

– Nawet czarnych krawatów nie założyli – powiedziała Mildred, nie wiadomo, czy do panny Marple, czy tak sobie, w przestrzeń.

– Nie sądzę, aby wcześniej wiedzieli, że w tym domu ktoś zostanie zamordowany – stwierdziła panna Marple usprawiedliwiająco.

Gina z trudem stłumiła uśmiech. Mildred popatrzyła na nią oskarżycielsko.

– A gdzie się podziewa Walter? – zapytała.

Gina zaczerwieniła się.

– Nie wiem, nie widziałam go dziś rano.

Wyglądała przy tym jak dziecko, które coś przeszkrobało.

Panna Marple podniosła się z miejsca.

– Idę do biblioteki – oznajmiła.

* * *

Lewis Serrocold stał przy oknie.

Poza nim w bibliotece nie było nikogo.

Gdy panna Marple zamknęła za sobą drzwi, Lewis podszedł do niej i ujął ją za rękę.

– Mam nadzieję, że nie odczuwa pani zbyt wielu skutków wczorajszego szoku – powiedział.

– Tak bliski kontakt z morderstwem musi być ciężką próbą dla kogoś, kto nigdy nie miał z tym do czynienia.

Skromność nie pozwoliła pannie Marple powiedzieć, że morderstwa nie były dla niej niczym niezwykłym. Ograniczyła się tylko do stwierdzenia, że życie w St Mary Mead nie jest aż tak spokojne, jak mogłoby się wydawać komuś z zewnątrz.

– Mogę pana zapewnić, że w małych miejscowościach także zdarzają się naprawdę okropne historie. Człowiek ma możliwość zobaczyć z bliska wiele spraw, których nigdy nie dostrzegłby w wielkim mieście.

Lewis Serrocold słuchał jej z wyraźnym roztargnieniem.

– Potrzebuję pani pomocy – powiedział niespodziewanie.

– Oczywiście, panie Serrocold.

– Chodzi o moją żonę. Przypuszczam, że Caroline jest pani droga.

– Tak jak wszystkim.

– Tak. Ja także w to wierzyłem. Ale okazuje się, że byłem w błędzie. Za zgodą inspektora Curry’ego powiem pani coś, co dla pozostałych powinno zostać tajemnicą.

W krótkich słowach przedstawił pannie Marple historię opowiedzianą poprzedniego dnia inspektorowi.

Panna Marple była wstrząśnięta.

– Ależ to niemożliwe. Po prostu nie mogę w to uwierzyć.

– Gdy Christian Gulbrandsen mówił mi o tym wczoraj, także nie mogłem w to uwierzyć.

– Zawsze sądziłam, że nasza droga Carrie Louise nie ma ani jednego wroga.

– Tak, to wydaje się zupełnie nieprawdopodobne. Zdaje sobie pani chyba sprawę z wniosków, jakie się nasuwają. Stopniowo podawać truciznę może tylko ktoś, kto stale znajduje

się w pobliżu ofiary. A więc ktoś z domowników.

– O ile to wszystko jest prawdą. Czy jest pan pewien, że pan Gulbrandsen się nie mylił?

– Christian nie mógł się mylić. Był człowiekiem zbyt rozważnym, by rzucać takie oskarżenia, nie mając pewności. Poza tym policja zbadała lekarstwo Caroline. Pobrano próbki zarówno z butelki, jak i ze szklanki. I tu, i tu znajdował się arsenik, który bynajmniej nie był częścią składową leku. Oczywiście dokładna analiza zajmie więcej czasu, ale obecność arsenu w lekarstwie jest faktem bezspornym.

– A więc jej reumatyzm, trudności w chodzeniu...

– Kurcze w nogach są typowe, jak słyszałem. Ponadto zanim pani przyjechała, Caroline cierpiała na silne zaburzenia żołądkowe. Ale gdyby nie Christian, nigdy bym nie pomyślał...

Panna Marple powiedziała łagodnym tonem:

– A więc Ruth miała rację.

– Ruth? – powtórzył Lewis Serrocold zaskoczony.

Panna Marple zaczerwieniła się.

– Przyznaję, że coś przed panem przemilczałam. Znalazłam się w Stonygates nie bez powodu. Jeśli pozwoli mi pan wytłumaczyć... Obawiam się, że nie potrafię wyrazić tego dostatecznie jasno... Proszę, niech pan okaże trochę cierpliwości.

Lewis Serrocold wysłuchał uważnie opowiadania o tym, jak to Ruth czuła się zaniepokojona i jak prosiła pannę Marple o złożenie wizyty w Stonygates.

– Zdumiewające – stwierdził. – Zdumiewające. Nie miałem o tym pojęcia.

– To wszystko było takie niesprecyzowane – tłumaczyła panna Marple. – Ruth sama nie potrafiła określić, co ją właściwie niepokoi. Ale jakiś powód musiał być. Doświadczenie uczy, że zawsze jest jakiś powód. Ruth czuła, że w Stonygates coś jest „nie w porządku”.

Lewis Serrocold skrzywił się lekko.

– I okazuje się, że miała rację. A teraz, panno Marple, chciałbym usłyszeć pani opinię. Czy mam powiedzieć o wszystkim Caroline, czy też nie?

– Ależ absolutnie nie – odpowiedziała szybko panna Marple. Jej głos brzmiał lękliwie. Pytając popatrzyła na Lewisa Serrocolda.

Przytaknął skinieniem głowy.

– Zgadza się z panią. Zresztą Christian twierdził to samo. Ale czy gdyby chodziło o kogoś innego, nie o Caroline, czy byłaby pani tego samego zdania?

– Carrie Louise jest niezwykłą kobietą. Jej dobroć, jej wiara w naturę ludzką... Och, nie potrafię tego właściwie wyrazić! Mam jednak wrażenie, że jak długo nie wiemy, kto...

– Właśnie. Ale widzi pani, panno Marple, z tym wiąże się pewne ryzyko...

– A więc życzy pan sobie, żebym – jeśli mogę się tak wyrazić – sprawowała nad nią opiekę?

– Niech mnie pani dobrze zrozumie. Jest pani jedyną osobą w tym domu, której mogę zaufać. Wydaje się, że wszyscy pozostali również bardzo kochają Caroline. Ale czy tak jest naprawdę? Wy obie przyjaźnicie się od tak dawna.

– A poza tym ja przyjechałam zaledwie kilka dni temu – zauważyła trzeźwo panna Marple.

Lewis Serrocold uśmiechnął się.

– Racja.

– Chciałabym zadać panu pewne pytanie natury, że się tak wyrażę, finansowej – powiedziała panna Marple przepraszającym tonem. – Kto odniósłby korzyści materialne po śmierci naszej drogiej Carrie Louise?

– Pieniądze... – odezwał się Lewis tonem pełnym goryczy. – Wszystko sprowadza się

zawsze do pieniędzy.

– Istotnie. Carrie Louise jest taka dobra, taka kochana, że byłoby doprawdy trudno wyobrazić sobie, aby ktoś jej nie lubił, aby miała wrogów. A więc pozostaje tylko motyw finansowy. Nie muszę panu chyba tłumaczyć, że niektórzy ludzie dla pieniędzy potrafiliby uczynić dosłownie wszystko.

– Tak, to prawda – przytaknął Lewis Serrocold. – Inspektor Curry także zwrócił uwagę na ten problem. Jeszcze dzisiaj ma przyjechać z Londynu pan Gilfoy, który będzie mógł udzielić policji dokładniejszych informacji na ten temat. „Gilfoy, Gilfoy, Jaimes i Gilfoy” to znana kancelaria prawnicza. Ojciec obecnego pana Gilfoya był jednym z kuratorów Fundacji. Kancelaria jest wykonawcą testamentu Caroline, tak jak była wykonawcą testamentu Erica. Postaram się wyjaśnić pani te zawiłości finansowe w możliwie przystępny sposób.

– Będę panu niezmiernie zobowiązana. Wszystkie kwestie prawne są takie skomplikowane – powiedziała panna Marple z wdzięcznością.

– Po utworzeniu Instytutu i kilku innych fundacji o charakterze dobroczynnym Eric Gulbrandsen zostawił jednakowe sumy pieniędzy dla swojej córki Mildred i dla córki adoptowanej Pippy – matki Giny. Natomiast z pozostałej części swojego ogromnego majątku utworzył fundusz powierniczy. Zyski, które on przynosi, Caroline będzie otrzymywała do końca życia.

– A po jej śmierci?

– Po jej śmierci pieniądze te miały przypaść w równych częściach Mildred i Pippie lub – gdyby Caroline przeżyła je obie – miały zostać podzielone między ich dzieci.

– A więc ostatecznie chodziłoby o Mildred Strete i Ginę.

– Tak. Oprócz tego Caroline ma własny majątek, całkiem znaczny, chociaż nie można go porównać z fortuną Gulbrandsena. Z tego połowę dziedziczy ja, dziesięć tysięcy funtów Juliet Bellever, a resztę – w równych częściach – Alex i Stephen Restarickowie.

– Ojej! – jęknęła panna Marple. – To niedobrze, to bardzo niedobrze.

– Co pani przez to rozumie?

– To oznacza przecież, że każdy w tym domu miał motyw.

– Tak. Ale ja naprawdę nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę... Mildred? Rodzona córka Caroline? Jest zresztą stosunkowo zamożna. Gina? Bardzo kocha babkę. Jest co prawda młoda i nieco ekstrawagancka, ale nie jest chciwa. Jolly Bellever? Oddana przyjaciółka, do Caroline bardzo przywiązana. Restarickowie? Traktują ją jak matkę. Nie mają co prawda własnych pieniędzy, ale Caroline przeznaczyła dla nich pewną część swoich dochodów i finansuje z tego ich przedsięwzięcia. Głównie Alexa. Nie mogę uwierzyć, by któryś z nich mógł planować otrucie Caroline w nadziei, że otrzyma jej pieniądze. Nie, panno Marple, to po prostu niemożliwe.

– Pozostaje jeszcze mąż Giny, prawda?

– Tak, pozostaje jeszcze mąż Giny – powtórzył Lewis Serrocold.

– Niewiele o nim wiem, ale przecież nietrudno zauważyć, że nie jest tutaj zbyt szczęśliwy.

Lewis westchnął.

– Tak, Walter jakoś do nas nie pasuje. Nie interesuje go to, co tutaj robimy. Nie ma zrozumienia dla naszych idei. Zresztą dlaczego miałby mieć? Jest jeszcze młody, w dodatku pochodzi z kraju, w którym człowieka ocenia się głównie na podstawie jego życiowych sukcesów.

– Podczas gdy my obdarzamy sympatią raczej tych, którym się w życiu nie powiodło – uzupełniła panna Marple.

Lewis Serrocold popatrzył na nią podejrzliwie.

Panna Marple zaczerwieniła się z zakłopotania i zaczęła się tłumaczyć:

– Po prostu... czasami myślę, że można przesadzić w drugą stronę... Mam tutaj na myśli... Młodzi ludzie... z dobrych domów, starannie wykształceni, dobrze wychowani... mądrzy i rozsądni... potrafiący w życiu coś osiągnąć... Myślę, że właśnie takich ten kraj potrzebuje.

Lewis Serrocold zmarszczył czoło. Panna Marple czuła coraz większe zakłopotanie. Tłumaczyła zawiłe:

– Nie, żebym nie ceniła pańskiej pracy. Bardzo ją cenię. Rzeczywiście szlachetne, godne najwyższego szacunku zadanie... prawdziwe współczucie... przecież należy okazywać współczucie... w końcu najważniejsze, jacy ludzie są naprawdę... jedni mają w życiu szczęście, inni pecha... od tych, którym dano w życiu więcej, należy też – zupełnie słusznie – więcej wymagać. Ale czasami wydaje mi się, że zatraciliśmy pewne poczucie proporcji. O, nie mam tutaj na myśli akurat pana. Naprawdę nie wiem, jak mam to wyrazić, ale my Anglicy jesteśmy w pewnym sensie osobliwym narodem. Nawet w czasie wojny byliśmy bardziej dumni z naszych porażek i odwrotów niż z naszych zwycięstw. Cudzoziemcy nie potrafią zrozumieć, dlaczego z taką dumą mówimy o Dunkierce. Oni woleliby o tym nie wspominać. My natomiast popadamy w zakłopotanie, gdy mowa jest o naszych zwycięstwach. Zupełnie jakby to były rzeczy niegodne wzmianki. To dziwna cecha charakteru, jeśli się nad tym bliżej zastanowić... – Panna Marple gwałtownie wciągnęła powietrze. – Chcę przez to powiedzieć, że młodemu Walterowi Huddowi musi się wydawać bardzo dziwne wszystko to, co się tutaj dzieje.

– Tak – powiedział Lewis Serrocold – rozumiem pani punkt widzenia. Walter ma piękną kartę wojenną. Jego odwaga...

– Nie, nie. Wojna to jedna sprawa, a codzienne życie w czasie pokoju to druga. Rzeczywiście trzeba odwagi, aby popełnić morderstwo. Chociaż nie... raczej próżności. O tak, próżności.

– Jednakże jaki motyw mógłby mieć Walter? Ja osobiście nie potrafię dostrzec żadnego.

– Czy naprawdę? Walter nienawidzi myśli, że mógłby tu zostać na stałe. Chciałby stąd wyjechać i zabrać ze sobą Ginę.

A jeżeli zależy mu na pieniądzu, mógłby pragnąć, aby Gina otrzymała należny jej spadek, zanim... zanim zwiąże się z kimś innym.

– Zanim zwiąże się z kimś innym? – powtórzył Lewis Serrocold bezradnie.

Panna Marple była zdumiona ślepotą tego wielkiego filantropa i reformatora.

– Przecież obaj bracia Restarickowie są w niej zakochani.

– Nie wierzę. To niemożliwe! Stephen jest dla nas po prostu nieoceniony. To zdumiewające, jak swoim zapałem potrafi zarazić naszych wychowanków. W ubiegłym miesiącu wystawili sztukę. Była znakomita, po prostu rewelacyjna. Wszystko, dekoracje, kostiumy... To dowód na to, co zawsze powtarzam Maverickowi: „Tym, co popycha tych chłopców na drogę przestępstwa, jest brak dramatycznych okoliczności w ich życiu”. Udratyzować rzeczywistość – to przecież naturalny instynkt dziecka. A Maverick powiada... Ach, prawda, Maverick...

Serrocold raptem przerwał, jakby nagle coś sobie uświadomił. Po chwili powiedział:

– Chciałbym, aby Maverick porozmawiał z inspektorem o Edgarze. Ta historia jest po prostu śmieszna.

– A co pan właściwie wie o Edgarze Lawsonie?

– Wszystko – odparł Lewis z naciskiem. – Wszystko, co powinienem wiedzieć. Znam środowisko, z jakiego pochodzi, znam przyczyny jego kompleksów i zahamowań...

Panna Marple wpadła mu w słowo:

– A czy Edgar Lawson nie może być tym trucicielem?

– Wątpliwe. Jest tutaj zaledwie od kilku tygodni, a zresztą to śmieszne. Dlaczego Edgar

mógłby pragnąć śmierci mojej żony? Co mógłby przez to osiągnąć?

– Nic w sensie materialnym, to oczywiste. Ale mógłby mieć jakiś osobliwy powód. On sam jest dosyć osobliwy.

– Ma pani na myśli, niezrównoważony?

– Tak. To znaczy, niezupełnie. Uważam, że z nim jest coś nie tak. Wszystko jest takie poprzekęcane.

Nie było to dokładne wytłumaczenie tego, co czuła, ale Lewis Serrocold potraktował jej wypowiedź dosłownie.

– Tak – potwierdził z westchnieniem – u niego jest wszystko poprzekęcane. Biedny chłopiec, była już taka poprawa. Doprawdy nie mogę pojąć, skąd to nagłe pogorszenie.

– Właśnie – podchwyciła żywo panna Marple. – Też się nad tym zastanawiałam. Jeśli...
W drzwiach biblioteki stanął inspektor Curry.

XII

Po wyjściu Lewisa Serrocolda inspektor Curry usiadł i popatrzył z uśmiechem na pannę Marple.

– Tak więc na prośbę pana Serrocolda zgodziła się pani odegrać rolę psa-stróża?

– Owszem – odparła żywo. – Ufam, że nie ma pan nic przeciwko temu.

– Ależ skądże. Uważam, że to znakomity pomysł. Czy pan Serrocold wie, jak bardzo nadaje się pani do tej roli?

– Nie rozumiem, panie inspektorze.

– Czyżby? On jest przekonany, że pani to miła, starsza dama, która chodziła do szkoły razem z jego żoną, ja natomiast wiem o pani nieco więcej. Czy nie mam racji? Pan Serrocold zna tylko jeden aspekt przestępstwa – obiecujących debutantów. Przyznaję, że jego zapatrywania mocno mnie irytują. Widzi pani, jestem może staromodny i nie mam racji... ale przecież na świecie jest tylu porządnych i uczciwych ludzi, którzy potrzebują pomocy, wchodząc w życie. Tymczasem jedyną ich nagrodą musi pozostać uczciwość. Nie znalazł się jeszcze żaden milioner gotów do założenia fundacji dla wspomnienia tych, którzy rzeczywiście są warci pomocy... Niech pani lepiej nie zwraca uwagi na moje gadanie. Jestem doprawdy staroświecki w poglądach. Znałem wielu młodych ludzi, o których naprawdę można było powiedzieć, że los jakby sprzyścił się przeciwko nim. Pochodzili z zaniedbanych środowisk, z ubogich rodzin, a przecież doszli w życiu do czegoś. Gdybym kiedykolwiek dorobił się majątku, zostawiłbym go właśnie komuś takiemu. Oczywiście nigdy nie dojdę do dużych pieniędzy. Moja przyszłość to emerytura i domek z ogródkiem.

Pokiwał głową.

– Superintendent Blacker sporo mi o pani opowiedział wczoraj wieczorem. Twierdzi, że pani doskonale zna ciemne strony natury ludzkiej. Niech mi więc pani powie, kto – pani zdaniem – jest naszą czarną owcą. Ten młody Amerykanin?

– To byłoby dla wszystkich bardzo wygodne – przyznała panna Marple.

Inspektor Curry uśmiechnął się lekko.

– Właśnie. W dodatku swoim zachowaniem pogarsza jeszcze całą sprawę. Ale wracając do tematu, jak pani sądzi, kto mógłby – skrycie i systematycznie – podawać pani Serrocold truciznę?

– Cóż... – zaczęła panna Marple z poważną miną. – Zwykle w takich wypadkach myśli się przede wszystkim o współmałżonku. Taka jest natura ludzka. Czy zgodzi się pan ze mną, panie inspektorze.

– Całkowicie się z panią zgadzam.

– Jednakże w naszym przypadku... – Panna Marple potrząsnęła głową. – Nie, nie potrafiłabym podejrzewać pana Serrocolda. Widzi pan, panie inspektorze, Lewis Serrocold naprawdę kocha swoją żonę. Oczywiście można zakładać, że odgrywa tylko rolę troskliwego małżonka, podczas gdy w rzeczywistości jest winny. Ale on nie gra – jego uczucie jest szczere. Kocha żonę i nie wyobrażam sobie, że mógłby usiłować ją otruć.

– W dodatku brak mu motywu. Ma wszelkie pełnomocnictwa na rozporządzenie majątkiem żony.

– Oczywiście – ciągnęła panna Marple – istnieją jeszcze inne powody, dla których dżentelmeni czasami pragną pozbyć się swoich żon. Zainteresowanie młodą kobietą, na przykład. Ale w tym wypadku nie dostrzegam żadnych charakterystycznych objawów. Lewis Serrocold nie przejawia romantycznych porywów. Obawiam się więc, że będziemy musieli skreślić go z listy podejrzanych – zakończyła z żalem w głosie.

– To godne ubolewania, nieprawdaż? – zauważył inspektor. – Poza tym Serrocold nie

mógł zabić Gulbrandsena. Moim zdaniem obie te sprawy łączą się ze sobą. Ten, kto próbował otruć panią Serrocold, zabił Gulbrandsena, aby go uciszyć. Musimy więc rozpocząć śledztwo od zbadania, kto miał sposobność zastrzelenia Gulbrandsena. Podejrzany numer jeden jest bez wątpienia Walter Hudd. To on włączył lampę, powodując krótkie spięcie, co dało mu pretekst do wyjścia z holu. Aby dostać się do szafki z bezpiecznikami, musiał przejść przez korytarz, na którego końcu znajduje się pokój gościnny. Strzał słyszano w czasie jego nieobecności. Tak, Walter Hudd bez wątpienia miał sposobność, żeby to zrobić.

– A kto jest podejrzanym numer dwa? – zapytała panna Marple.

– Alex Restarick, który w krytycznym momencie był sam i któremu przejście przez park do domu zajęło dziwnie dużo czasu.

– Czy jeszcze ktoś? – Panna Marple z zainteresowaniem pochyliła się w stronę inspektora. Nie omieszkała jednak dodać szybko: – To bardzo uprzejme z pana strony, że pan mi to wszystko mówi.

– To nie uprzejmość mną kieruje – odparł inspektor. – Potrzebuję pomocy. Słuszne pytanie, czy jeszcze ktoś. W tej kwestii muszę polegać właśnie na pani. Była pani wczoraj wieczorem w holu i tylko pani może mi powiedzieć, kto wychodził...

– Tak, rzeczywiście powinnam to zrobić, ale czy potrafię? Widzi pan, w tych okolicznościach...

– Twierdzi pani, że cała pani uwaga była zaprzątnięta tym, co rozgrywało się za zamkniętymi drzwiami gabinetu Serrocolda?

– Tak. Wszyscy byliśmy wystraszeni. Lawson sprawiał wrażenie szaleńca. Jedyne pan Serrocold wydawał się nieporuszony. My wszyscy obawialiśmy się, że Lawson może wyrządzić mu jakąś krzywdę. Wykrzykiwał różne groźby pod jego adresem. Słyszeliśmy to bardzo dokładnie. W dodatku większość świateł zgasła. Naprawdę nie zwróciłam większej uwagi na to, co działo się wokół.

– A więc wydarzenia w gabinecie tak pochłonęły wszystkich, że ktoś mógł wymknąć się niepostrzeżenie, zastrzelić Gulbrandsena i wrócić do holu?

– Sądzę, że byłoby to zupełnie możliwe.

– A czy może pani stwierdzić z całą pewnością, kto nie opuszczał holu ani na chwilę?

Panna Marple zastanowiła się przez moment.

– Pani Serrocold. Przyglądałam się jej przez cały czas. Siedziała w pobliżu drzwi i ani na chwilę nie ruszyła się z miejsca. Obserwowałam ją, dziwiąc się, że potrafi zachować taki spokój.

– A inni?

– Panna Bellever wychodziła. Ale jestem prawie pewna, że wyszła dopiero po tym, jak usłyszeliśmy strzał. Gina siedziała przy oknie. Wydaje mi się, że nie opuszczała holu, ale pewna być nie mogę. Mildred Strete? Nie wiem. Siedziała za mną. Stephen Restarick grał na fortepianie. Gdy awantura za drzwiami stawała się coraz głośniejsza, przestał.

– Nie możemy przykładać zbyt wielkiej wagi do czasu, w którym usłyszano strzał – powiedział inspektor. – To mógł być tylko trik, mający na celu błędne określenie czasu przestępstwa. Jeśli panna Bellever maczała w tym palce (co jest raczej mało prawdopodobne, ale niewykluczone), to mogła wyjść z holu zupełnie się z tym nie kryjąc już po tym, jak usłyszano strzał. Nie, nie wolno się tym kierować. Interesujący nas przedział czasu to okres od chwili gdy Gulbrandsen opuścił hol do momentu znalezienia zwłok przez pannę Bellever.

Z naszej listy możemy skreślić tylko tych, którzy mają alibi na cały ten czas. A więc Lewis Serrocold i młody Edgar Lawson w gabinecie i pani Serrocold w holu. Niestety, tak się pechowo złożyło, że Gulbrandsen został zastrzelony tego samego wieczoru, kiedy miała miejsce

klótnia między Serrooldem a Lawsonem.

- Czy naprawdę pechowo?
- Co pani ma na myśli?
- Zastanawiam się, czy to nie było celowe.
- Tak pani sądzi?

– Cóż, wszystkim wydało się dziwne, że Lawsonowi tak nagle się pogorszyło. On cierpi na ten – jak by to powiedzieć – kompleks, kompleks nieznanego ojca. Raz jego ojcem miał być Winston Churchill, innym razem lord Montgomery czy jeszcze ktoś powszechnie znany. Załóżmy, że ktoś wmówił mu, że tym ojcem jest nikt inny, tylko Lewis Serroold; że to właśnie Serroold prześladował go przez cały czas; wreszcie, że to on – Edgar powinien być dziedzicem Stonygates. Nietrudno było zgadnąć, że jego chory umysł zaakceptuje taką możliwość. Można też było śmiało przewidzieć, że Lawson będzie tym bardzo wzburzony i że prędzej czy później musi dojść do wybuchu. To wspaniała okazja. Uwaga wszystkich skupiłaby się na tej niebezpiecznej sytuacji, zwłaszcza jeśli ktoś przezornie zaopatrzyłby młodego człowieka w rewolwer.

– Tak, w rewolwer Waltera Hudda.

– O tym też pomyślałam – ciągnęła panna Marple. – Bo, widzi pan, panie inspektorze, Walter Hudd jest ponury i gburowaty, ale bynajmniej nie jest głupi.

– A więc pani nie wierzy, by sprawcą mógł być właśnie on?

– Sądzę, że wszyscy byliby zadowoleni, gdyby to był Walter. Wiem, że to brzmi okropnie, ale to zrozumiałe. Walter Hudd jest jedyną osobą pochodzącą z zewnątrz.

– A co z jego żoną? – zapytał inspektor. – Czy ona także byłaby zadowolona?

Panna Marple nie odpowiedziała. Myślała o Ginie i o Stephenie Restaricku, a także o tym, co zauważyła w dniu swojego przyjazdu. Potem przypomniała sobie, że Alex Restarick, gdy tylko wszedł wieczorem do holu, natychmiast skierował swój wzrok ku Ginie.

* * *

W dwie godziny później inspektor Curry przeciągnął się na krześle i westchnął.

– Kawał roboty już za nami.

Sierżant Lake przytaknął.

– Służących możemy wykluczyć – powiedział. – W krytycznym momencie wszyscy przebywali razem. To znaczy ci, którzy mieszkają tutaj. Pozostali poszli do domów znacznie wcześniej.

Inspektor Curry pokiwał głową. Czuł się zmęczony. Przesłuchał już terapeutów, nauczycieli i tych spośród wychowanków Instytutu, którzy krytycznego dnia jedli kolację razem z członkami rodziny. Starannie sprawdził i porównał wszystkie zeznania. Teraz mógłby nawet odtworzyć je z pamięci. Zajęcia w Instytucie przebiegały zgodnie z codzienną rutyną, więc wszyscy mieli alibi. Doktora Mavericka, który – jak inspektor zdążył się już zorientować – był kierownikiem Instytutu, zostawił sobie na koniec.

– Weźmy go teraz, sierżancie.

Młody doktor, schludny i wymuskany, pojawił się w gabinecie. Spoglądał obojętnie przez pincenez.

Maverick potwierdził zeznania personelu. W dyscyplinie Instytutu nie było żadnych zaniedbań, żadnych wyjątków. Śmierć Gulbrandsena nie mogła zostać zaliczona na konto żadnego z „młodych pacjentów”, jak ich omal nie nazwał inspektor Curry, zahipnotyzowany medyczną atmosferą, jaką roztoczył wokół siebie młody lekarz.

– To przecież są pacjenci – powiedział doktor Maverick z uśmiechem.

Był to uśmiech pełen wyższości i inspektor nie byłby człowiekiem, gdyby nie poczuł się

lekko dotknięty. Zapytał więc oschłym, urzędowym tonem:

– A pan, panie doktorze? Czy mógłby mi pan powiedzieć, co pan robił w tym czasie?

– Oczywiście. Zanotowałem sobie wszystko, na wypadek gdyby pan tego potrzebował.

Doktor Maverick opuścił hol piętnaście po dziewiątej wraz z panem Lacym i doktorem Baumgartenem. Wszyscy trzej udali się do pokoju Baumgartena, gdzie dyskutowali różne metody terapii, i pozostawiali tam do chwili, gdy przyszła po Mavericka bardzo zdenerwowana panna Bellever. Było wtedy mniej więcej wpół do dziesiątej. Maverick poszedł do holu, gdzie zastał młodego Edgara Lawsons w stanie psychicznego załamania.

– Chwileczkę, doktorze – przerwał mu inspektor – czy ten młody człowiek jest umyślowo chory?

Doktor Maverick ponownie obdarzył inspektora uśmiechem pełnym wyższości.

– Wszyscy jesteśmy po trosze chorzy umyślowo, drogi inspektorze.

„Do diabła z tym!” – pomyślał inspektor. Wiedział doskonale, że on sam nie jest chory.

Maverick mógł sobie być, skoro tak twierdził.

– A czy on jest w pełni odpowiedzialny za swoje czyny? Czy zdaje sobie sprawę z tego, co robi?

– Najzupełniej.

– Tak więc strzelanie do pana Serrocolda było próbą morderstwa?

– Ależ skądże znowu!

– Niech pan posłucha, doktorze. Widziałem ślady po pociskach. Przecież te kule musiały przejść niebezpiecznie blisko głowy Serrocolda.

– Możliwe, jednak Lawson nie miał zamiaru go zabić ani nawet zranić. Edgar jest bardzo przywiązany do pana Serrocolda.

– To bardzo osobliwy sposób okazywania swojego przywiązania, nie sądzi pan?

Doktor Maverick uśmiechnął się raz jeszcze. Inspektor pomyślał, że ten uśmiech działa mu na nerwy.

– Wszystko, co czynimy, czynimy w sposób celowy, panie inspektorze. Ilekroć zdarzy się panu zapomnieć czyjeś imię lub czyjąś twarz, dzieje się tak dlatego, że – zupełnie podświadomie – chce pan zapomnieć.

Inspektor Curry wzruszył ramionami.

– Ilekroć się pan przejęczy, pańskie przejęczenie też ma swoją wymowę. Edgar Lawson był oddalony od pana Serrocolda zaledwie o kilka kroków. Mógł go bez trudu zabić. A jednak spudłował. Dlaczego? Otóż dlatego, że on chciał spudłować. To proste. Pan Serrocold wcale nie był w niebezpieczeństwie i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Ocenił zachowanie Lawsons jako bunt przeciw całemu światu. Światu, który odmówił mu tego, czego potrzebuje każde dziecko – miłości i poczucia bezpieczeństwa.

– Chciałbym porozmawiać z tym młodym człowiekiem.

– Oczywiście, jeśli pan sobie tego życzy. Jego załamanie wczoraj wieczorem miało zbawienny skutek. Stwierdziłem dzisiaj znaczną poprawę. Pan Serrocold ucieszy się, gdy to usłyszy.

Inspektor Curry przyglądał się bacznie doktorowi, ten jednak był jak zwykle zupełnie poważny.

Inspektor westchnął.

– Czy ma pan arszenik? – zapytał.

– Arszenik? – Doktor Maverick był najwyraźniej nieprzygotowany na takie pytanie. –

Co za pomysł? Dlaczego arszenik?

– Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

- Nie, nie mam arszeniku.
 - Ale ma pan różne lekarstwa?
 - Tak. Głównie środki uspokajające i nasenne, morfinę i barbiturany.
 - Czy leczy pan panią Serrocold?
 - Nie. Domowym lekarzem jest doktor Gunter z Market Kindle. Mam oczywiście dyplom z medycyny ogólnej, jednak zajmuję się wyłącznie psychiatrią.
 - Rozumiem. Dziękuję, doktorze.
- Gdy doktor Maverick opuścił pokój, inspektor mruknął do sierżanta, że psychiatrzy potrafią doprowadzić człowieka do szału.
- A więc wracamy do rodziny. Na początek weźmy tego młodego Amerykanina.

Walter Hudd zachowywał się z pewną rezerwą. Przyglądał się uważnie inspektorowi, bez oporów jednak odpowiadał na wszystkie pytania.

Powiedział, że instalacja elektryczna w Stonygates jest już przestarzała. W Stanach nie mogłoby być mowy o czymś podobnym.

- O ile wiem, została założona jeszcze przez starego Gulbrandsena, w czasach gdy elektryczność była nowością – zauważył inspektor z uśmiechem.

- Zgadza się. I nigdy nie była modernizowana.

Nastąpiło krótkie spięcie, tak że zgasła część świateł w holu. Walter wyszedł więc, by wkręcić nowe bezpieczniki. Zrobił to i wrócił.

- Jak długo był pan nieobecny?

- Nie potrafię dokładnie tego określić. Szafka z bezpiecznikami znajduje się w dość odległym miejscu, poza tym musiałem przynieść drabinę i świecę. Nie wiem, ile to mogło trwać, może dziesięć minut, może kwadrans.

- Czy słyszał pan strzały?

- Nie. Część kuchenna, gdzie znajdują się bezpieczniki, jest odgradzona od reszty domu podwójnymi drzwiami, z czego jedne są dodatkowo wzmocnione.

- Rozumiem. A co pan zobaczył po powrocie do holu?

- Wszyscy cisnęli się pod drzwiami gabinetu. Pani Strete powiedziała, że Lewis Serrocold został zastrzelony. Ale później okazało się, że to nieprawda. Ten dureń spudłował.

- Rozpoznał pan rewolwer?

- Oczywiście. To był mój rewolwer.

- Kiedy widział go pan po raz ostatni?

- Dwa albo trzy dni temu.

- Gdzie go pan przechowywał?

- W szufladzie w moim pokoju.

- Kto mógł wiedzieć, że posiada pan broń?

- Pojęcia nie mam, kto w tym domu cokolwiek wie.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Że to całe towarzystwo jest trochę nienormalne.

- Czy wszyscy byli w holu, gdy pan wrócił?

- Co pan rozumie przez „wszyscy”?

- Wszyscy, którzy byli tam, gdy pan wychodził wkręcić nowe bezpieczniki.

- Gina była... ta starsza siwa dama także... panna Bellever też... Nie zwróciłem na to szczególnej uwagi, ale wydaje mi się, że byli wszyscy.

- Pan Gulbrandsen przyjechał wczoraj zupełnie nieoczekiwanie, czy tak?

- Sądzę, że tak. Słyszałem, że nie była to jedna z tych jego rutynowych wizyt.

– Czy odniósł pan wrażenie, że ktoś był zdenerwowany jego przybyciem?

Walter Hudd zastanawiał się przez chwilę.

– Nie, chyba nie.

– Czy znał pan cel jego przyjazdu?

– Byłem pewien, że przyjechał w sprawach swojego ukochanego Instytutu. Całe to przedsięwzięcie jest zupełnie idiotyczne.

– Podobne „przedsięwzięcia” – jak je pan nazywa – macie także w Stanach.

– Tak, ale czym innym jest sama idea, a czym innym sposób jej realizacji. W czasie służby wojskowej miałem dosyć psychiatrów. Tu też jest ich wszędzie pełno. Uczyc młodych rzeźmieszków wyplatania koszyków z wikliny i majsterkowania w drewnie! Dziecinne zabawy, śmiechu warte!

Inspektor Curry nic nie odpowiedział na tę krytykę. Być może podzielał zdanie swojego rozmówcy. Przez chwilę przyglądał się bacznie Amerykaninowi.

– A więc nie wie pan, kto mógł zamordować Gulbrandsena? – zapytał w końcu.

– Moim zdaniem jeden z kochanych wychowanków.

– Nie, panie Hudd, to możemy wykluczyć. Co prawda wszyscy starają się stworzyć tu atmosferę swobody i wolności, ale jednak Instytut pozostaje zamkniętym zakładem wychowawczym i wychowankowie są pod kontrolą. Po zmroku żaden z nich nie ma możliwości wyjścia.

– Nie bardzo chce mi się w to wierzyć. Skoro jednak chce pan sprawcy ze ściśle rodzinnego kręgu, myślę, że najlepszym kandydatem byłby Alex Restarick.

– Dlaczego?

– W krytycznym momencie był sam.

– A motyw?

Walter Hudd wzruszył ramionami.

– Jestem tu obcy. Nie znam stosunków rodzinnych. Być może Gulbrandsen dowiedział się o nim czegoś kompromitującego i przyjechał opowiedzieć o tym Serrocoldowi.

– Ale jakie znaczenie mogłoby to mieć dla Alexa?

– Obcięcie funduszy. O, ten potrafi wydawać pieniądze. Sporo łąduje w różne takie...

– Ma pan na myśli: w różne przedsięwzięcia teatralne?

– On to tak nazywa.

– Czy sugeruje pan, że pod tą nazwą kryje się coś innego?

Walter Hudd ponownie wzruszył ramionami.

– Nie wiem, nie potrafię tego ocenić.

XIII

Alex był bardzo podekscytowany. Gestykulował z przejęciem.

– Wiem, wiem. Jestem idealnym podejrzanym. Przyjechałem tutaj zupełnie sam, a po drodze ogarnęło mnie twórcze natchnienie. Doprawdy nie mogę oczekiwać, aby pan to zrozumiał. Bo i jak?

– Mógłbym spróbować – wtrącił inspektor sucho, lecz Alex nie zwrócił uwagi na jego słowa.

– Takie natchnienie przychodzi zupełnie niespodziewanie. Jakiś nieoczekiwany efekt, jakiś nagły pomysł i wszystko inne przestaje być wtedy ważne. W najbliższym czasie mam zamiar wystawić *Noce w Limehouse*. Wczoraj wieczorem, zupełnie nagle, zobaczyłem wspaniały obraz. Znakomite oświetlenie! Ta mgła, te światła reflektorów, które rozpraszały mgłę i odsłaniały niewyraźne zarysy budynków. Wszystko doskonale współgrało. Strzały... szybkie kroki kogoś biegnącego... warkot motoru – to mogła być barka na Tamizie. Pomyślałem sobie, że o taki obraz mi właśnie chodziło i zacząłem głowić się, jakich środków należałoby użyć, by uzyskać ten sam efekt na scenie. No i...

– Słyszał pan strzały? – przerwał mu inspektor. – Skąd dobiegały?

– Słyszałem je gdzieś we mgle. – Starannie wypielęgnowana dłoń Alexa zatoczyła szeroki łuk. – Po prostu gdzieś we mgle. To było wspaniałe.

– A nie przyszło panu do głowy, że coś mogło się stać?

– Coś mogło się stać? Dlaczego miałoby mi to przyjść do głowy?

– Czy dla pana strzały są czymś codziennym?

– Wiedziałem, że pan mnie nie zrozumie. Strzały pasowały do sceny, którą właśnie tworzyłem. Potrzebowałem tych strzałów! Należały do całości. Niebezpieczeństwo, opium, podejrzone interesy. Nie zastanawiałem się, co to mogły być za odgłosy. Może coś strzeliło w rurze wydechowej ciężarówki na szosie. Może był to kłusownik polujący na króliki?

– Na króliki zastawia się sidła.

– Może jakieś dziecko bawiło się petardami – ciągnął Alex nie zbity z tropu. – Nie wiem. Ja chyba nawet nie myślałem o tych odgłosach jako o rzeczywistych strzałach. Byłem w Limehouse – czy raczej spoglądałem w stronę Limehouse.

– Ile było tych strzałów?

– Nie wiem – powiedział Alex z naciskiem. – Dwa albo trzy. Pamiętam tylko, że dwa nastąpiły bezpośrednio po sobie.

Inspektor Curry skinął głową.

– A co z tym odgłosem kogoś biegnącego? Gdzie pan słyszał te kroki?

– Też gdzieś we mgle, prawdopodobnie w pobliżu domu.

– Czy chce pan przez to zasugerować, że morderca przyszedł z zewnątrz?

– Oczywiście. Dlaczego nie? Nie chce pan chyba powiedzieć, że ukrywał się gdzieś w domu.

– Bierzemy pod uwagę wszystkie możliwości – odparł uprzejmie inspektor.

– Sądzę – powiedział Alex Restarick wyrozumiale – że ma pan okropny zawód, inspektorze. Te wszystkie drobiazgi, czas, miejsce, niezgodności w zeznaniach. I co z tego w efekcie wynika? Przecież temu biednemu Gulbrandsenowi i tak nie przywróci to życia.

– Pozostaje satysfakcja z ujęcia przestępcy, panie Restarick.

– Niczym na filmach o Dzikim Zachodzie!

– Czy dobrze znał pan zmarłego?

– Nie na tyle, żeby go zamordować. Widywałem go od czasu do czasu. Mieszkałem tu jako chłopak, a on przyjeżdżał w odwiedziny. To jeden z naszych bossów przemysłowych. Nie

interesują mnie tego typu ludzie. Miał sporą kolekcję rzeźb Thorvaldsena. – Alex wzdrygnął się z obrzydzeniem. – Już samo to mówi za siebie. Mój Boże, ci wszyscy milionerzy!

Inspektor Curry mierzył Alexa uważnym spojrzeniem, po czym zapytał zniechęcony:

– Czy interesują pana trucizny, panie Restarick?

– Trucizny? Nie powie pan chyba, że Gulbrandsen został najpierw otruty, a potem zastrzelony. To byłoby zbyt dramatyczne.

– Nie, nie został otruty. Ale nie odpowiedział pan na moje pytanie.

– Owszem, trucizny mają w sobie pewien urok. Nie są tak prymitywne jak kula rewolwerowa. Ale nie znam się na tym zbyt dobrze.

– Czy miał pan kiedyś arszenik w swoim posiadaniu?

– Na przykład w sandwiczach po skończonym spektaklu? Tak, to jest pomysł. Zna pan Rose Glidon? To jedna z tych aktorek, którym wydaje się, że mają nazwisko. Nie, nigdy nie miałem arszeniku. Podobno można go wyprodukować ze środków chwastobójczych.

– Jak często odwiedza pan Stonygates?

– Różnie, panie inspektorze. Czasami nie ma mnie tutaj całymi tygodniami. Z reguły jednak staram się przyjeżdżać w każdy weekend. Zawsze traktowałem Stonygates jak mój prawdziwy dom.

– Czy to pani Serrocold sprawiła, że czuje się pan tutaj tak dobrze?

– Nigdy nie zdołałam odwdziżyć się pani Serrocold za to, co dla mnie uczyniła, za jej sympatię, zrozumienie...

– ...oraz za ładną sumkę w gotówce, prawda?

Alex popatrzył na inspektora z niesmakiem.

– Zawsze traktowała mnie jak syna i wierzy w sens mojej pracy.

– Czy nie rozmawiała z panem o swoim testamencie?

– Rozmawiała. Ale czy mogę zapytać, do czego zmierzają te indagacje, panie inspektorze? Pani Serrocold chyba nic nie grozi?

– Miejmy nadzieję – odparł sucho inspektor.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Jeżeli pan nie wie, tym lepiej, a jeżeli pan wie, to ostrzegam pana.

Gdy Alex wyszedł, sierżant Lake zauważył:

– Niezły z niego ptaszek, nie uważa pan, panie inspektorze?

– Trudno powiedzieć. Być może rzeczywiście ma talent twórczy. A może kocha tylko wygodne życie i wielkie słowa? Nie wiem. Słyszał czyjeś kroki. Czy rzeczywiście? Założę się, że to sobie wymyślił.

– Z jakiegoś szczególnego powodu?

– Pewnie tak. Nie wiemy, dlaczego, choć prawdopodobnie niebawem będziemy wiedzieli.

– Być może okaże się, że to któryś z tych obiecujących młodzieńców z Instytutu.

Z pewnością są wśród nich rozmaici specjaliści od zamków, a jeśli tak...

– Coś mi się wydaje, że ktoś po prostu chce, abyśmy tak sądzili. Byłoby to zbyt proste. Jeśli jednak miałyby się okazać, że prawda jest właśnie taka, to zjem swój własny kapelusz.

* * *

– Siedziałem przy fortepianie – opowiadał Stephen Restarick – i coś tam sobie brzdąkałem, kiedy się rozpoczął ten cały spektakl. To znaczy kłótnia między Lewisem a Edgarem.

– I co pan wtedy pomyślał?

– Prawdę powiedziawszy, nie brałem tego zbyt poważnie. Ten chłopak już wcześniej miewał różne ataki. Miotał się na wszystkie strony i wykrzykiwał pogróżki, ale nigdy nikt nie

brał tego poważnie. On po prostu odreagowuje w ten sposób. Przecież tak naprawdę to my wszyscy działamy mu na nerwy. Zwłaszcza Gina.

– Gina? Mówi pan o pani Hudd? Dlaczego zwłaszcza ona miałaby działać mu na nerwy?

– Bo jest kobietą, w dodatku piękną kobietą. I uważa, że Lawson jest komiczny. Gina jest półkrwi Włoszką, a Włosi mają skłonności do okrucieństwa. Nie mają współczucia dla kogoś, kto jest stary, szpetny czy w jakiś sposób upośledzony. Wytykają go palcami i wyśmiewają się z niego. To samo robi Gina, nie dosłownie, oczywiście. Lawson jest żalony, pompatyczny i cierpi na kompleks niższości. Chciałby robić odpowiednie wrażenie, tymczasem jego jedyny sukces polega na tym, że znakomicie mu się udaje wyglądać głupio. To, że ten biedny chłopak cierpi, Ginę nic a nic nie obchodzi.

– Sugeruje pan, że Edgar Lawson jest zakochany w pani Hudd? – zapytał inspektor.

– Tak – odparł zupełnie swobodnie Stephen. – Zresztą wszyscy jesteśmy w niej mniej lub bardziej zakochani. A Ginie się to podoba.

– Czy jej mężowi także się to podoba?

– Ten biedak cierpi, nawet bardzo cierpi. Ale to już nie potrwa długo. Sądzę, że to małżeństwo niebawem się rozpadnie. To był taki typowo wojenny związek.

– To bardzo interesujące – zauważył inspektor – ale odeszliśmy trochę od tematu. Nas interesuje odpowiedź na pytanie, kto zamordował Christiana Gulbrandsena.

– Na ten temat nie potrafię panom absolutnie niczego powiedzieć. Siedziałem przy fortepianie i pozostawałem tam aż do chwili, gdy pojawiła się Jolly z pękiem starych zardzewiałych kluczy i zaczęła próbować, czy któryś z nich pasuje do drzwi gabinetu.

– Zeznał pan, że siedział przy fortepianie. Czy grał pan przez cały czas?

– Przypuszcza pan, że dawałem podkład muzyczny do tej walki na śmierć i życie, jaka toczyła się za ścianą? Nie, przestałem grać, gdy awantura przybrała na sile. Nie, żebym się obawiał o wynik tego starcia. Lewis potrafi poskramiać bestie wzrokiem. Wystarczyło, aby popatrzył na Edgara.

– A jednak Edgar Lawson strzelił do niego dwa razy.

Stephen pokręcił głową.

– Odgrywał komedię, nic więcej. Moja kochana mamunia miała ten sam miły zwyczaj. Byłem czterolatkiem, kiedy umarła czy uciekła z kimś, ale doskonale pamiętam, jak wymachiwała rewolwerem, gdy ją coś zdenerwowało. Kiedyś występowała w nocnym klubie i wystrzelała tam przepiękny wzorek na ścianie, co spowodowało oczywiście masę kłopotów. Matka strzelała wyśmienie. Była Rosjanką. Tancerką.

– Czy wczoraj wieczorem w krytycznym momencie ktoś wychodził z holu?

– Tak. Walter Hudd poszedł naprawić światło, a Juliet Bellever udała się na poszukiwanie klucza, który pasowałby do drzwi gabinetu. Poza nimi chyba już nikt.

– A czy zauważyłby pan, gdyby ktoś wyśliznął się z holu?

Stephen zastanawiał się przez chwilę.

– Prawdopodobnie nie. To znaczy, gdyby wymknął się po cichu i tak samo po cichu wrócił. Było stosunkowo ciemno, a wydarzenia za ścianą pochłaniały całą naszą uwagę.

– A czy może pan powiedzieć, kto z całą pewnością nie wychodził?

– Tak. Pani Serrocold... i Gina. To mogę przysiąc.

– Dziękuję panu.

Stephen ruszył w stronę drzwi. Zawahał się jednak i przystanął.

– A co to za historia z arsenikiem? – zapytał.

– Kto panu powiedział o arseniku?

– Mój brat.

– Ach, tak.
– Czy ktoś podał arszenik pani Serrocold? – pytał dalej Stephen.
– Dlaczego przyszła panu do głowy akurat pani Serrocold?
– Czytałem o objawach zatrucia arszenikiem. Mniej więcej zgadzałyby się z tym, na co pani Serrocold uskarżała się od pewnego czasu. Poza tym przypomniałem sobie, że Lewis nie pozwolił jej wczoraj zażyć lekarstwa. Czy rzeczywiście ktoś próbował otruć panią Serrocold?
– Badamy tę sprawę – odparł inspektor urzędowym tonem.
– A czy ona o tym wie?
– Pan Serrocold przykłada wielką wagę do tego, aby nie niepokoić żony.
– Niepokoić to nie jest właściwe słowo, panie inspektorze. Jeszcze nigdy nie widziałem pani Serrocold zaniepokojonej. Ale czy to nie może być wytłumaczeniem śmierci Gulbrandsena? Czyżby wiedział o próbie otrucia? Ale skąd miałby wiedzieć? To wszystko wydaje mi się takie nieprawdopodobne. Przecież w tym nie ma za grosz sensu.
– Pan wydaje się tym wszystkim mocno zdumiony.
– I jestem. Nie mogłem wprost uwierzyć, gdy Alex mi o tym opowiedział.
– A kto – według pana – mógłby wchodzić w grę jako sprawca?
Przez twarz Stephena Restaricka przemknął lekki uśmiech.
– Z pewnością nie ten, o kim się zawsze najpierw myśli. Męża może pan spokojnie wykluczyć. Lewis Serrocold nic by na tym nie zyskał, poza tym on ubóstwia swoją żonę. Jest zrozpaczony, gdy zaboli ją mały paluszek.
– A więc kto? Ma pan jakieś podejrzenia?
– Więcej, jestem prawie pewny.
– Proszę mi więc powiedzieć.
Stephen pokręcił głową.
– Nie. Mam tu na myśli pewność w sensie psychologicznym. Nie mam natomiast żadnych dowodów. Zresztą i tak by mi pan nie uwierzył.

Wyszedł nonszalanckim krokiem.

Inspektor Curry bazgrał po leżącym przed nim kawałku papieru. Różne myśli przebiegały mu przez głowę. Po pierwsze, że Stephen Restarick jest bardzo pewny siebie. Po drugie, że Stephen Restarick i jego brat Alex tworzą wspólny front. Po trzecie wreszcie, że Stephen Restarick jest bardzo przystojny, w przeciwieństwie do Waltera Hudda. Inspektor zastanawiał się również, co miał na myśli Stephen, mówiąc o „pewności w sensie psychologicznym”. Poza tym, czy ze swojego miejsca przy fortepianie rzeczywiście mógł widzieć Ginę. Inspektor bardzo w to wątpił.

* * *

Na tle ciemnego, gotyckiego wnętrza biblioteki Gina wyglądała niczym egzotyczne zjawisko. Inspektor Curry aż zmrużył oczy, gdy ta piękna młoda kobieta zajęła miejsce za stołem, pochyliła się w jego stronę i tonem pełnym oczekiwania zapytała:

– A więc?

Inspektor zmierzył wzrokiem jej purpurową bluzkę i ciemnozielone szerokie spodnie, następnie zauważył sucho:

– Jak widzę, nie nosi pani żałoby, pani Hudd.

– Nawet nie mam czarnej sukni – odparła Gina. – Wiem, wiem, wszyscy uważają, że każda kobieta powinna mieć w garderobie coś czarnego do noszenia z perłami. Ale ja nie mam. Nienawidzę czarnego koloru. Uważam, że jest okropny i że powinien być noszony wyłącznie przez pokojówki, recepcjonistki i zarządzające domem. Poza tym nie byłam nawet spokrewniona z Christianem Gulbrandsenem. On był pasierbem mojej babki.

- Ale dobrze go pani znała?
- Gina zaprzeczyła ruchem głowy.
- Był tutaj trzy lub cztery razy, gdy byłam mała. Później, w czasie wojny wyjechałam do Ameryki i wróciłam dopiero przed sześcioma miesiącami.
- Wróciła pani na stałe czy też przyjechała pani z dłuższą wizytą?
- Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam.
- Wczoraj wieczorem była pani w holu, gdy Christian Gulbrandsen udawał się do swojego pokoju?
- Tak. Powiedział „dobranoc” i wyszedł. Babunia zapytała go jeszcze, czy ma wszystko, czego mu potrzeba, a on odparł, że tak, że Jolly zatroszczyła się o wszystko. Oczywiście nie użył dokładnie tych słów, ale sens był właśnie taki. Powiedział też, że ma do napisania kilka listów.
- A później?
- Gina opisała zajście między Lewisem Serrocoldem a Edgarem Lawsonem. Była to ta sama historia, której inspektor wysłuchał już kilkakrotnie, w ustach Giny zabrzmiała ona jednak bardziej dramatycznie.
- To był rewolwer Waltera – mówiła. – To aż dziwne, że Edgarowi starczyło odwagi, żeby go zabrać z jego pokoju. Nigdy bym go o to nie podejrzewała.
- Czy była pani bardzo wystraszona, gdy ci dwaj udali się do gabinetu i Edgar Lawson zamknął drzwi na klucz?
- O nie – powiedziała Gina, szeroko otwierając oczy ze zdumienia. – Początkowo uważałam to za świetną zabawę. To było takie teatralne, że aż szmirowate. Edgar zawsze zachowuje się w ten sposób. Nie można go traktować poważnie ani przez moment.
- Ale w końcu wystrzelił z rewolweru?
- Tak. Wtedy wszyscy pomyśleliśmy, że jednak zastrzelił Lewisa.
- I to też uznała pani za świetną zabawę? – Inspektor nie mógł się powstrzymać od tej uwagi.
- Oczywiście że nie. Wtedy już byłam przestraszona. Zresztą wszyscy byliśmy przestraszeni. Z wyjątkiem babuni. Babunia była zupełnie spokojna.
- Czy to nie dziwne?
- Właściwie nie. Ona po prostu taka jest. Zupełnie nie z tego świata. Należy do ludzi, którzy nigdy nie wierzą, aby mogło wydarzyć się coś złego. Ona jest kochana.
- Kto był w holu w tym czasie?
- Wszyscy. Oprócz wuja Christiana, oczywiście.
- Nie wszyscy, pani Hudd. Jedni wchodzili, inni wychodzili...
- Naprawdę? – zapytała Gina z wahaniem.
- Na przykład pani mąż poszedł naprawić światło.
- O tak, Wally świetnie się na tym zna.
- Jak słyszałam, pan Hudd był nieobecny w czasie, gdy usłyszano strzał. Wszystkim się wydawało, że huk dobiegł gdzieś z parku, czy tak?
- Nie przypominam sobie tego momentu. Chociaż, zaraz... tak, teraz pamiętam. To było w chwili, gdy światła zapaliły się ponownie i Walter wrócił.
- Czy jeszcze ktoś opuszczał hol?
- Chyba nie, nie pamiętam.
- Gdzie pani siedziała?
- Przy oknie.
- W pobliżu drzwi prowadzących do biblioteki?
- Tak.

– Wychodziła pani?
– Wychodzić? Przy tym całym zamieszaniu? Oczywiście że nie! – Gina była najwyraźniej oburzona podobnym przypuszczeniem.
– A gdzie siedzieli inni?
– Większość w pobliżu kominka. Ciotka Mildred i ciocia Jane – to jest, panna Marple – robiły na drutach. Babunia po prostu siedziała.
– A pan Stephen Restarick?
– Stephen? Początkowo grał na fortepianie. Później nie wiem.
– A panna Bellever?
– Miotła się to tu, to tam, tak jak to zwykle robi. Ona nie potrafi usiedzieć spokojnie. Szukała kluczy... Aha, a co to za historia z babuni lekarstwem na wzmocnienie? Czy to farmaceuta się pomylił, czy też stało się coś innego?
– Skąd to pani przyszło do głowy?
– Bo zniknęła butelka z lekarstwem. Jolly biegała jak szalona, usiłując ją odnaleźć. Nie mogła się uspokoić. Alex mówi, że butelkę zabrała policja. Czy to prawda?
Inspektor Curry nie odpowiedział na to pytanie. Zapytał natomiast:
– A więc mówi pani, że panna Bellever była zaniepokojona?
– Jolly jest zawsze czymś zaniepokojona – odparła lekko Gina. – Ona uwielbia robić zamieszanie. Czasami się dziwię, jak babunia potrafi znieść ten ciągły ruch.
– Jeszcze jedno pytanie, pani Hudd. Kto, pani zdaniem, mógł zamordować Christiana Gulbrandsena i z jakiego powodu?
– Moim zdaniem zrobił to ktoś z podopiecznych Instytutu. Większość z nich to pospoliccy przestępcy – nie zawahaliby się sprzątnąć kogoś z drogi, aby zdobyć pieniądze czy kosztowności. Ale są wśród nich także osobnicy niezrównoważeni psychicznie. Któryś z nich mógł zamordować po prostu dla zabawy, nie sądzi pan? Nie znam żadnego innego powodu, dla którego ktoś mógłby pragnąć śmierci wuja Christiana. Oczywiście nie chcę przez to powiedzieć... zaraz, chyba coś pokręciłam... „dla zabawy” to nie jest najlepsze określenie.
– Chce pani powiedzieć, nie mając motywu?
– Tak, właśnie tak – potwierdziła Gina z wdzięcznością. – Bo przecież niczego nie zrabowano.
– Budynek Instytutu był dokładnie zamknięty, pani Hudd. Nikt nie mógł go opuścić nie zauważony.
– Niech pan w to nie wierzy. – Gina roześmiała się. – Ci chłopcy zewsząd się wydostaną, jeżeli tylko będą chcieli! Uczyli mnie kiedyś tych swoich sztuczek.
– Ta ma temperament – powiedział sierżant Lake po wyjściu Giny. – Po raz pierwszy miałem okazję przyjrzeć się jej z bliska. A jaką ma figurę! Zupełnie nie angielską.
Inspektor Curry rzucił swemu podwładnemu karcące spojrzenie.
– Można by powiedzieć, że ta cała historia ją bawi – dodał pośpiesznie sierżant.
– Nie wiem, czy Stephen Restarick ma rację, twierdząc, że to małżeństwo niebawem się rozleci – powiedział inspektor – ale wydaje mi się godne uwagi to, co powiedziała, a mianowicie, że Walter Hudd wrócił do holu, zanim usłyszano strzał.
– A to nie zgadza się z zeznaniami pozostałych.
– Właśnie.
– Nie powiedziała też, że panna Bellever opuściła hol, aby poszukać kluczy.
– Tak – zgodził się inspektor w zamyśleniu – o tym także nie wspomniała.

XIV

Mildred Strete pasowała do wystroju biblioteki o wiele lepiej niż Gina Hudd. W jej wyglądzie nie było nic egzotycznego. Czarną suknię zdobiła onyksowa broszka, siwe włosy były starannie ufryzowane i przytrzymane siatką.

„Wygląda dokładnie tak, jak powinna wyglądać wdowa po kanoniku kościoła anglikańskiego” – pomyślał inspektor Curry. To wydało mu się nawet trochę dziwne, gdyż ludzie rzadko – rzadziej niż można by się tego spodziewać – wyglądają na to, czym są w rzeczywistości.

Nawet linia mocno zaciśniętych warg kojarzyła się z kościelną ascezą. „Tak, Mildred Strete niewątpliwie jest uosobieniem Chrześcijańskiego Hartu Ducha i Chrześcijańskiej Wytrwałości, natomiast nie ma w sobie nic z Chrześcijańskiego Miłosierdzia” – zauważył inspektor.

Co więcej, najwyraźniej była obrażona.

– Spodziewałam się, że raczy mnie pan najpierw poinformować, kiedy będę przesłuchiwana – zaczęła. – Byłam zmuszona całe przedpołudnie siedzieć beczynn timer i czekać.

Inspektor pomyślał, że Mildred Strete czuje się zraniona w swoim poczuciu godności. Pośpieszył więc wylewać oliwę na wzburzone wody.

– Bardzo proszę o wybaczenie. Być może niezbyt dobrze orientuje się pani w metodach działania policji. Trzeba pani wiedzieć, że zawsze rozpoczynamy nasze postępowanie od zeznań o mniejszym znaczeniu, by mieć je – jak to się potocznie mówi – z głowy. Natomiast przesłuchanie osoby najważniejszej – wiarygodnego obserwatora, osoby, na której zeznaniach możemy naprawdę polegać – zostawiamy z reguły na koniec. W ten sposób najłatwiej jest nam zweryfikować zeznania poprzedników.

Mildred Strete rozpogodziła się natychmiast.

– Rozumiem, nie zdawałam sobie sprawy...

– Pani jest kobietą światową. Jest pani bystrą obserwatorką i ma zdolność trafnego osądu. Oprócz tego jest pani córką tego domu. Od pani z pewnością będę mógł uzyskać najwięcej informacji o ludziach, którzy tu mieszkają.

– Z całą pewnością – przyznała skwapliwie pani Strete.

– Tak więc w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, kto zamordował Christiana Gulbrandsena, pani pomoc będzie dla nas wprost bezcenna.

– Ale czy tu mogą być jakiegokolwiek wątpliwości? Czyż to, kto zamordował mojego brata, nie jest zupełnie oczywiste?

Inspektor Curry zamyślił się. Lekko przyglądził wasy.

– Cóż, musimy postępować z wielką rozważą. A więc pani zdaniem sprawa jest zupełnie oczywista?

– Jak najbardziej. Któż inny mógł to zrobić, jak nie ten okropny Amerykanin, mąż naszej Giny? Jest tu jedynym obcym i nie wiemy o nim absolutnie nic. Prawdopodobnie jest jednym z tych okropnych amerykańskich gangsterów.

– To jednak niczego nie wyjaśnia. Wciąż pozostaje otwarta kwestia, dlaczego miałby zamordować pana Gulbrandsena.

– To bardzo proste. Christian dowiedział się czegoś kompromitującego na temat jego przeszłości. Dlatego też przyjechał do Stonygates w tak krótkim czasie po swojej poprzedniej wizycie.

– Jest pani tego pewna, pani Strete?

– Wydaje mi się to oczywiste. Wprawdzie Christian starał się zasugerować nam, że przyjechał tu w sprawach Fundacji, ale to przecież nonsens. Jako kurator był tu miesiąc temu,

a od tego czasu nic ważnego się nie wydarzyło. Musiał więc przyjechać z zupełnie innych powodów. Podczas poprzedniej wizyty poznał Waltera Hudda. Mógł go rozpoznać, mógł też zasięgnąć o nim informacji w Stanach – Christian miał wszędzie swoich agentów – i dowiedział się o czymś kompromituującym. Gina jest w najwyższym stopniu nierozsądna, zresztą zawsze była taka. To do niej podobne – poślubić człowieka, o którym nikt nic nie wie. Przecież on mógł być przestępcą, mógł być poszukiwany przez policję, mógł być wreszcie żonaty. Ale mój brat Christian nie dał się oszukać. Przyjechał tu – jestem tego pewna – aby uporządkować sprawę. Chciał zdemaskować Hudda. Nic dziwnego, że Hudd go zastrzelił.

Inspektor Curry, który właśnie rysował w notatniku kolejnego kota, powiedział przeciągle:

– Taaak?

– Nie zgadza się pan ze mną, kiedy twierdzę, że tak musiało być?

– Mogło tak być – przyznał inspektor.

– Jakież inne rozwiązanie wchodzi w rachubę? Christian nie miał żadnych wrogów.

Zupełnie nie rozumiem, dlaczego Walter Hudd do tej pory nie został aresztowany.

– Widzi pani, nie mamy dowodów.

– Dowody moglibyście uzyskać bardzo szybko. Wystarczy zatelegrafować do Stanów.

– O, z pewnością zbierzemy informacje na temat Waltera Hudda. Jednak jak długo nie możemy udowodnić mu motywu, poruszamy się na bardzo śliskim gruncie. Oczywiście nie można zaprzeczyć, że miał możliwość.

– Poszedł za Christianem pod pretekstem wymiany bezpieczników.

– Przecież naprawdę były przepalone.

– Mógł to łatwo spreparować.

– Istotnie.

– Poszedł za Christianem do jego pokoju, zastrzelił go, wymienił bezpieczniki i wrócił do holu.

– Jego żona twierdzi, że wrócił do holu, zanim usłyszano ten strzał w parku.

– Ależ skądże! Gina tylko tak mówi. Włoszce nie należy wierzyć, w dodatku jeszcze katoliczce.

Inspektor Curry nie podjął dyskusji na tematy wyznaniowe. Zapytał natomiast:

– A więc sądzi pani, że jego żona była współniczką?

Mildred Strete zawahała się przez moment.

– Nie, tego nie twierdzę – powiedziała z żalem w głosie, jakby rozczarowana, że nie może potwierdzić podobnego przypuszczenia. – Być może to właśnie stanowiło motyw zbrodni. Walter nie chciał, aby Gina poznała kompromitujące fakty z jego przeszłości. Przecież związek z Giną oznacza dla niego życie w dostatku.

– Pani Hudd jest bardzo piękna.

– Tak, zawsze mówiłam, że Gina wygląda dobrze. Choć oczywiście we Włoszech nie wyróżniałaby się urodą. Stanowi przeciętny typ włoskiej dziewczyny. Ale jeżeli pyta mnie pan o zdanie, to powiem panu, że Huddowi zależy wyłącznie na jej pieniądzech. Dlatego właśnie ożenił się z nią i zgodził się zamieszkać w Stonygates.

– Pani Hudd jest bardzo zamożna, jak słyszałem.

– Teraz już nie. Mój ojciec zostawił matce Giny i mnie taką samą sumę pieniędzy. Ale matka Giny przyjęła obywatelstwo włoskie, no i jeszcze trzeba wziąć pod uwagę wojnę oraz to, że jej mąż był faszystą. Tak że w tej chwili Gina nie posiada zbyt wiele. Moja matka zawsze ją rozpieszczała, podobnie jak jej amerykańska ciotka, pani van Rydock. O, ta nawet w czasie wojny potrafiła wydawać na Ginę ogromne sumy pieniędzy. Gina mogła kupować, co tylko

chciała. Mimo to jej mąż nie może liczyć na zbyt wiele, jak długo żyje moja matka. Dopiero po jej śmierci Gina odziedziczy ładną sumkę.

– Podobnie jak pani.

Blade policzki Mildred poróżwiały lekko.

– Podobnie jak ja, jak pan raczył zauważyć. Ale ja i mój mąż byliśmy zawsze bardzo oszczędni. On wydawał pieniądze wyłącznie na książki – był wielkim uczonym – poza tym prowadziliśmy spokojny tryb życia, tak że mój majątek niemal się podwoił. Jak na moje skromne potrzeby jest to aż za dużo. Jednak zawsze mogę użyć pieniędzy, aby zrobić coś dla innych. Tak, każdą sumę, jaka przypadnie mi w udziale, uważam za święte powiernictwo.

– Wydawało mi się, że to nie ma być fundusz powierniczy – powiedział inspektor, błędnie rozumiawszy tę ostatnią wypowiedź. – Sądziłem, że ma pani otrzymać całą sumę bez ograniczeń.

– Słucham?... Ach, tak, oczywiście. Cała kwota będzie należała wyłącznie do mnie.

Coś w głosie Mildred sprawiło, że inspektor spojrział z uwagą. Nie patrzyła na niego. Jej oczy błyszczały podnieceniem, na ustach pojawił się triumfujący uśmiech.

– Widzę, że z pewnością miała pani dość dowodów na to, że Walterowi Huddowi zależy wyłącznie na pieniądzach, jakie jego żona odziedziczy po śmierci pani Serrocold – odezwał się inspektor. – Nawiasem mówiąc, zdaje się, że pani matka nie cieszy się dobrym zdrowiem?

– Matka zawsze była bardzo delikatna.

– Jednak czasami zdarza się, że delikatne natury żyją znacznie dłużej niż ludzie obdarzeni doskonałym zdrowiem.

– Możliwe.

– Czy nie wydaje się pani, że stan zdrowia matki pogorszył się ostatnio?

– Matka cierpi na reumatyzm. Zwykła starcza dolegliwość. Nie rozumiem ludzi, którzy zamezczają swoje otoczenie, skarżąc się na każdą błaHOSTKĘ.

– Czy pani Serrocold uskarża się na każdą błaHOSTKĘ?

Mildred Strete milczała przez dłuższą chwilę, po czym powiedziała:

– Nie, ona sama nie. Ale przyzwyczaiła się do tego, że zawsze robi się wiele hałasu z jej powodu. Mój ojczym jest wręcz nadopiekuńczy, a panna Bellever zachowuje się po prostu śmiesznie. Tak, panna Bellever ma zdecydowanie zły wpływ na ten dom. Mieszka tu od wielu lat i jej oddanie matce jest godne podziwu, co jednak nie zmienia faktu, że jest plagą dla domowników. Matkę dosłownie tyranizuje. Sądzę, że Lewisa to czasami mocno irtuje. Nie zdziwiłabym się, gdyby jej w końcu wymówił. Panna Bellever nie ma ani odrobiny taktu. To chyba nie jest przyjemne dla męża widzieć, jak żona pozostaje pod wpływem tak nieodpowiedniej osoby.

Inspektor Curry ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Tak, doskonale to rozumiem. Natomiast jedno jeszcze nie jest dla mnie jasne. Jak wygląda pozycja braci Restaricków? Co oni właściwie robią w tym domu?

– To też był wyłącznie głupi sentymentalizm. Ich ojciec poślubił moją biedną matkę wyłącznie dla pieniędzy. W dwa lata później uciekł z jakąś jugosłowiańską śpiewaczką, osobą na wskroś niemoralną. On sam też był człowiekiem kompletnie pozbawionym zasad. Moja matka miała miękkie serce i współczuła jego synom. Oczywiście nie mogli spędzać wakacji pod jednym dachem z kobietą, która się źle prowadzi, więc zaczęli przyjeżdżać tutaj i matka prawie ich adoptowała. Tak więc żyją w Stonygates jak dwa darmozjadów. O tak, w tym domu mamy wielu darmozjadów, mogę pana zapewnić.

– Alex Restarick miał możliwość popełnienia tej zbrodni. Był sam, w momencie gdy padł strzał. A Stephen?

– Stephen był z nami w holu. Osobiście nie cenię Alexa – wygląda na grubianina i z pewnością nie prowadzi się moralnie – ale nie mogę go sobie wyobrazić w roli mordercy. Poza tym, jakież miałby cel w zabijaniu mojego brata?

– Tak, zawsze wracamy do pytania o motyw – stwierdził inspektor. – Co takiego mógł wiedzieć Christian Gulbrandsen o jednej z osób, że stało się to aż przyczyną jego śmierci?

– A widzi pan – powiedziała Mildred triumfująco – to musiał być Walter Hudd!

– O ile nie był to ktoś ze ściśle rodzinnego kręgu.

– Co chce pan przez to powiedzieć?! – zapytała ostro Mildred.

Inspektor Curry odparł powoli:

– Pan Gulbrandsen wydawał się zaniepokojony stanem zdrowia pani Serrocold.

Mildred zmarszczyła czoło.

– Ludzie zawsze troszczą się o nią niepotrzebnie, gdyż matka wygląda tak delikatnie.

Zresztą ona sama też lubi, gdy się koło niej skacze. Być może Christian przejął się tym, co naopowiadała Juliet Bellever.

– Pani sama nie jest zaniepokojona stanem zdrowia matki?

– Nie, na to jestem zbyt rozsądna. Oczywiście matka nie jest już młoda...

– ...i każdy musi kiedyś umrzeć – dokończył inspektor sucho. – Ale nie przed czasem.

Temu musimy zapobiec.

Mildred opacznie zrozumiała jego ostatnie słowa. Powiedziała z ożywieniem:

– Ludzie są okropni. Nikt oprócz mnie nie wydaje się dotknięty śmiercią Christiana.

Zresztą dlaczego to miałyby ich dotknąć? Jestem jedyną osobą, która była z nim spokrewniona. Dla matki był tylko pasierbem, z Giną w ogóle nie łączyły go więzy krwi. Natomiast dla mnie był bratem.

– Przyrodnim.

– Tak, przyrodnim bratem. Ale oboje byliśmy Gulbrandsenami.

– Rozumiem pani uczucia – powiedział inspektor przyjaźnie i zakończył przesłuchanie.

Z oczami wilgotnymi od łez Mildred Strete wyszła z pokoju. Inspektor Curry popatrzył na sierżanta Lake'a i stwierdził:

– Ta jest całkowicie przekonana, że sprawcą jest Walter Hudd. Nawet nie chciała słyszeć o kimś innym.

– Może ma rację.

– Niewykluczone. W przypadku Hudda wszystko się zgadza. Sposobność, motyw. Jeśli chciał szybko wejść w posiadanie pieniędzy żony, to jej babka musiała umrzeć. To prawdopodobne, że majstrował przy tym lekarstwie i został przyłapany przez Christiana Gulbrandsena. Albo też Gulbrandsen dowiedział się o tym w jakiś inny sposób. Wszystko pasuje...

Zamyślił się przez chwilę, a potem podjął wątek:

– Mildred Strete też kocha pieniądze. Być może jest oszczędna i wydaje niewiele, ale je kocha. Nie wiem, dlaczego. Może jest po prostu skąpa. Albo też kocha pieniądze z powodu władzy, jaką one dają. Dobroczynność? Pochodzi w końcu z Gulbrandsenów. A może chciałaby dorównać ojcu?

– Kompleksy? – wtrącił sierżant, drapiąc się w głowę.

– Myślę, że pójdziemy teraz porozmawiać z tym młodym Lawsonem, a potem rozejrzemy się po holu, zobaczymy, gdzie kto siedział, kto miał możliwość wyjść niepostrzeżenie i tak dalej. Tak, tego ranka zdobyliśmy kilka bardzo interesujących informacji.

* * *

Inspektor Curry stwierdził, że bazowanie na opiniach innych bywa zwodnicze.

Wysłuchał już kilku charakterystyk Edgara Lawsons, jednak teraz, patrząc na tego młodego człowieka, doszedł do wniosku, że jego własna opinia jest zupełnie różna od pozostałych. Edgar nie był dla niego w najmniejszym nawet stopniu „dziwny”, „niebezpieczny” czy „nienormalny”. Wręcz przeciwnie, sprawiał wrażenie zupełnie przeciętnego młodzieńca, trochę może żalosego.

Edgar mówił dużo, ze wszystkich sił starając się usprawiedliwić.

– Wiem, że postąpiłem bardzo źle. Naprawdę nie mam pojęcia, co mnie napadło. Jak mogłem tak postąpić? Strzelać z pistoletu, strzelać do pana Serrocolda, który zawsze był dla mnie taki dobry, który okazał mi tyle życzliwości!

Nerwowo zaplatał dłonie. Były to piękne dłonie, o szczupłych, rasowych przegubach.

– Jeśli mam stanąć za to przed sądem, jestem gotów. Zasłużyłem na karę. Przyznaję się do winy.

– Na razie nikt nie wystąpił z oskarżeniem przeciwko panu – powiedział inspektor Curry spokojnie. – Nie mamy więc żadnych podstaw do wszczęcia dochodzenia. Według pana Serrocolda to był czysty przypadek, że pistolet wystrzelił.

– Pan Serrocold powiedział tak, bo jest bardzo dobry. Nigdy jeszcze nie spotkałem tak dobrego człowieka jak pan Serrocold. Uczynił dla mnie wszystko, a ja mu odplaciłem taką niewdzięcznością.

– Dlaczego pan to zrobił?

Edgar wyglądał na zakłopotanego.

– Zachowałem się jak głupiec.

– W istocie – zauważył sucho inspektor. – Powiedział pan panu Serrocoldowi, i to w obecności świadków, że odkrył pan, iż to on jest pańskim ojcem. Czy to jest prawda?

– Absolutnie nie.

– Jak pan do tego doszedł? Czy ktoś zasugerował panu podobną myśl?

– To jest takie trudne do wytłumaczenia.

Inspektor Curry popatrzył na niego łagodnie i podjął przyjaznym tonem:

– Niech pan spróbuje. Naprawdę staramy się panu pomóc.

– To było tak. Miałem trudne dzieciństwo. Inni chłopcy wyśmiewali się ze mnie, bo nie miałem ojca. Nazywali mnie bękartem, zgodnie z prawdą. Matka była najczęściej pijana. Przyjmowała różnych mężczyzn. Mój ojciec to pewnie cudzoziemski marynarz. W domu panował ciągle brud. Moje dzieciństwo było dla mnie piekłem. I wtedy powiedziałem sobie: a gdyby tak mój ojciec nie był zwykłym marynarzem, tylko znaną osobistością?... Zaczęłem to sobie wyobrażać. Takie dziecinne mrzonki: zamieniony w kołysce... wyzuty z dziedzictwa... Potem poszedłem do szkoły. Opowiadałem kolegom, że mój ojciec był na przykład admirałem. W końcu sam zacząłem w to wierzyć. Nie czułem się wtedy tak okropnie... – Zamilkł na chwilę.

– Później zacząłem wymyślać także inne historie. Miałem zwyczaj mieszkać w hotelach i opowiadać gościom hotelowym, że byłem lotnikiem albo że działałem w służbie wywiadowczej. Zawsze wymyślałem coś nowego. Nie mogłem się wyzwolić z opowiadania tych kłamstw. Ale nigdy nie wyłudzałem w ten sposób pieniędzy. Po prostu chciałem, aby ludzie patrzyli na mnie z szacunkiem, aby mnie podziwiali. Nie chciałem być nieuczciwy. Może pan zapytać doktora Mavericka albo pana Serrocolda. Oni to wiedzą.

Inspektor Curry skinął potakująco głową. Przystudiował już zarówno historię choroby, jak i jego akta policyjne.

– W końcu pan Serrocold ściągnął mnie tutaj. Powiedział, że potrzebuje sekretarza do pomocy. I pomagałem mu, naprawdę. Ale inni wyśmiewali się ze mnie.

– Jacy inni? Na przykład pani Serrocold?

– Nie, nie. Pani Serrocold to prawdziwa dama. Jest zawsze taka miła i przyjazna. Ale Gina traktowała mnie, jakbym był śmieciem, podobnie Stephen Restarick. Pani Strete patrzyła na mnie z góry, gdyż nie jestem dżentelmenem. Tak samo panna Bellever. A sama kim jest? Płatną służącą, nikim więcej.

Edgar z trudem hamował wzburzenie.

– Nie lubi jej pan? – zapytał inspektor.

– Traktują mnie tak, ponieważ jestem nieślubnym dzieckiem! – rzucił z pasją Edgar. – Gdybym miał ojca, wszystko potoczyłoby się inaczej!

– I dlatego wymyślił pan sobie kilku znanych ojców.

Edgar zaczerwienił się.

– Chyba nie potrafię już wyzwolić się z tych wszystkich kłamstw – wymamrotał.

– A w końcu powiedział pan, że to Lewis Serrocold jest pańskim ojcem. Dlaczego?

– Bo wydawało mi się, że tym zamknę im wreszcie usta. Gdyby właśnie on był moim ojcem, nie traktowałiby mnie tak okropnie.

– Rozumiem. Ale jednocześnie zarzucił mu pan, że jest on pańskim wrogiem i że prześladowuje pana.

– Widzi pan – Edgar zmarszczył czoło – to wyszło nie tak, jak chciałem. Czasami robię wszystko na odwrót...

– Pan zabrał rewolwer z pokoju Waltera Hudda, czy tak?

Edgar zrobił zdumioną minę.

– Naprawdę to zrobiłem?

– Nie pamięta pan?

– Chciałem zagrozić panu Serrocoldowi rewolwerem – mówił powoli Edgar – napędzić mu stracha. Po prostu taka dziecinada.

Inspektor Curry nadal cierpliwie pytał:

– Skąd pan miał rewolwer?

– Przecież sam pan powiedział. Z pokoju tego Amerykanina.

– Przypomniał pan to sobie?

– Przecież musiałem go wziąć z jego pokoju. Inaczej skąd bym go miał?

– Tego nie wiem – odparł inspektor. – Mógł go panu ktoś dać.

Nastąpiła chwila ciszy. Twarz Edgara nie wyrażała żadnych uczuć.

– Czy nie tak było? – zapytał inspektor.

– Nie pamiętam – odparł żałośnie Edgar. – Byłem taki wzburzony. Chodziłem po ogrodzie i dosłownie wszystko się we mnie gotowało. Myślałem, że mnie śledzą, prześladowają, że wszyscy są przeciwko mnie. Nawet ta miła, siwa pani. Czułem, że wariuję. Nie pamiętam, jak długo tam byłem i co robiłem.

– Ale z pewnością pamięta pan, kto panu powiedział, że Lewis Serrocold jest pańskim ojcem.

Edgar Lawson popatrzył na inspektora. Twarz miał nadal bez wyrazu.

– Nikt mi tego nie powiedział – odparł ponurym tonem. – Tak mi to jakoś samo przyszło do głowy.

Inspektor Curry westchnął. Nie czuł się usatysfakcjonowany, jednak zdawał sobie sprawę, że w tej chwili nie uda mu się osiągnąć niczego więcej.

– No dobrze – powiedział w końcu – na przyszłość niech się pan weźmie w garść.

– Dobrze, proszę pana.

Gdy Edgar wyszedł, inspektor z irytacją potrząsnął głową.

– Do diabła z tymi patologicznymi przypadkami.

– Myśli pan, że on jest chory umysłowo?

– Szczerze mówiąc, jest mniej zwariowany, niż przypuszczałem. Trochę słaby na umyśle, pyszałek i z pewnością kłamca, ale w gruncie rzeczy jest w nim coś sympatycznego. Prawdopodobnie jest bardzo podatny na sugestię.

– Myśli pan?

– Tak. Sądzę, że panna Marple miała rację. Ta dama ma głowę nie od parady. Bardzo chciałbym wiedzieć, kto mógł mieć na niego taki wpływ. On sam nigdy nam tego nie powie. Ale chodźmy, sierzancie, musimy zrekonstruować tę scenę w holu.

* * *

– No tak, wszystko pasuje.

Inspektor Curry siedział przy fortepianie. Sierżant Lake zajął miejsce przy oknie, skąd miał widok na staw.

– Kiedy spoglądałam w stronę drzwi gabinetu, wcale pana nie widzę, sierzancie.

Sierżant przeszedł na palcach w stronę drzwi prowadzących do biblioteki.

– Ta część pokoju tonęła w ciemnościach. Światła paliły się tylko przy drzwiach gabinetu. Tak, sierzancie, nie widzę pana wcale. Mógłby pan spokojnie przejść przez bibliotekę na korytarz, zastrzelić Gulbrandsena i wrócić cichcem na swoje miejsce przy oknie. Panie przy kominka były odwrócone plecami. Pani Serrocold siedziała na prawo od kominka, w pobliżu drzwi do gabinetu, i wszyscy zgodnie twierdzą, że nie ruszała się z miejsca. Panna Marple siedziała tutaj. Spoglądała to na panią Serrocold, to na drzwi gabinetu. Pani Strete zajmowała miejsce na lewo od kominka, w pobliżu drzwi wiodących na korytarz, w ciemnym kącie holu. Mogła niepostrzeżenie wyjść i równie niepostrzeżenie wrócić. – Inspektor uśmiechnął się szeroko. – Ale ja także mógłbym zniknąć. – Podniósł się z taboretu i skierował ku drzwiom. – Jedyna osoba, która była w stanie zauważyć, że Stephen Restarick nie siedzi już przy fortepianie, to Gina Hudd. A pamięta pan, sierzancie, co ona powiedziała: „Początkowo grał na fortepianie. Później nie wiem”.

– Myśli pan, inspektorze, że to był Stephen Restarick?

– Nie wiem. Nie byli to ani Edgar Lawson, ani Lewis Serrocold, ani pani Serrocold, ani panna Marple. Co do pozostałych... – Wzruszył ramionami. – Być może to ten Amerykanin. Przepalone bezpieczniki to bardzo wygodny zbieg okoliczności. Chociaż ten młody człowiek nawet mi się podoba. Ale to oczywiście o niczym nie świadczy... – W zamyśleniu zaczął przerzucać nuty leżące na fortepianie. – Hindemith. Któż to taki? Nigdy o nim nie słyszałem. Szostakowicz? Jakież nazwiska miewają ci ludzie!? – Podniósł wieko staroświeckiego taboretu. – O, tu mamy starsze rzeczy. Largo Haendla, etiudy Czernego. To wszystko pochodzi pewnie jeszcze z czasów starego Gulbrandsena. „Znam pewien piękny ogród”. Pamiętam, żona pastora śpiewała to, gdy byłem chłopcem...

Urwał nagle, trzymając nuty w wysoko uniesionej ręce. Pod spodem, na preludiach Chopina, leżał mały automatyczny pistolet.

– Stephen Restarick! – zawołał sierżant Lake.

– Niech pan nie wyciąga zbyt pochopnych wniosków – ostrzegł go inspektor Curry. – Założę się z panem, że komuś zależy na tym, abyśmy tak właśnie pomyśleli.

XV

Panna Marple weszła na piętro i zapukała do drzwi sypialni pani Serrocold.

– Czy można, Carrie Louise?

– Oczywiście, droga Jane.

Carrie Louise siedziała przed lustrem, szczotkując włosy. Teraz odwróciła się i zapytała:

– Policja? Będę gotowa za kilka minut.

– A jak się czujesz?

– Doskonale. Jolly uparła się, że muszę zjeść śniadanie w łóżku, a Gina przyniosła mi je dosłownie na paluszkach, zupełnie jakbym była ciężko chora. Ludzie nie rozumieją, że taka tragedia jak śmierć Christiana dla kogoś w moim wieku nie jest już szokiem. Gdy człowiek jest stary, zaczyna zdawać sobie sprawę z faktu, że w życiu wszystko może się wydarzyć i że niewiele z tego, co nas spotyka, jest naprawdę ważne.

– Tak sądzisz? – zapytała panna Marple z powątpiewaniem.

– A ty tak nie uważasz?

Panna Marple powiedziała powoli:

– Christian Gulbrandsen został zamordowany.

– Tak... wiem, co masz na myśli. Ty uważasz, że to jest ważne.

– A ty nie?

– Nie z punktu widzenia Christiana – odparła Carrie Louise po prostu. – Oczywiście jest to ważne dla tego, kto go zamordował.

– Czy domyślasz się, kto to mógł uczynić?

Pani Serrocold potrząsnęła głową.

– Nie, nie mam najmniejszego pojęcia. Nie mogę też wymyślić żadnego motywu.

Przypuszczam, że wiąże się to jakoś z wizytą Christiana sprzed miesiąca. Nie wiem, dlaczego miałyby bez szczególnego powodu pojawiać się tu po raz drugi w tak krótkim czasie. Cokolwiek się wydarzyło, musiało zacząć się właśnie wtedy. Wiele o tym myślałam, ale nie potrafię sobie przypomnieć nic nadzwyczajnego.

– A kto był wtedy w domu?

– Te same osoby, co teraz. Alex przyjechał z Londynu. Była też Ruth.

– Ruth?

– Tak. Akurat wpadła z wizytą.

– Ruth... – powtórzyła panna Marple. Jej myśli krążyły żywo. Ruth była zaniepokojona po tej wizycie, ale nie potrafiła sobie uzmysłowić powodów swego niepokoju. Czuła jedynie, że coś jest nie w porządku. Natomiast Christian Gulbrandsen wiedział lub podejrzewał coś, czego Ruth nie wiedziała ani nie podejrzewała. Wiedział bądź przypuszczał, że ktoś usiłuje otruć Carrie Louise. Ale co mogło mu nasunąć te podejrzenia? Może coś zobaczył albo usłyszał? Czy było to coś, co Ruth także widziała lub słyszała, nie zdając sobie jednak sprawy z prawdziwego znaczenia tego faktu? Panna Marple z żalem stwierdziła, że nie ma pojęcia, co to mogło być. Jej własne, niesprecyzowane przypuszczenia, że to coś (cokolwiek to było) dotyczyło w jakiś sposób Edgara Lawsons, wydały jej się mało prawdopodobne, gdyż Ruth nawet o nim nie wspominała. Panna Marple westchnęła.

– Wy wszyscy coś przede mną ukrywacie, prawda? – powiedziała Carrie Louise.

Panna Marple wzdrygnęła się lekko.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Bo tak jest. Nie mówię o Jolly. Ale inni coś przede mną ukrywają. Nawet Lewis.

Przyszedł do mnie rano, gdy jadłam śniadanie, i zachowywał się bardzo dziwnie. Wypił trochę mojej kawy, zjadł nawet grzanekę z marmoladą. To do niego zupełnie niepodobne. Zwykle pija

herbatę i nie lubi marmolady. Musiał więc myśleć o czymś zupełnie innym niż jedzenie. Sądzę, że zapomniał zjeść śniadanie. Lewisowi często się zdarza, że nie pamięta o jedzeniu, gdy jest czymś przejęty. Teraz też wyglądał na mocno zdenerwowanego.

– Morderstwo... – zaczęła panna Marple.

– Tak, wiem, morderstwo to okropna sprawa – przerwała jej Carrie Louise. – Nigdy jeszcze nie miałam do czynienia z morderstwem. Ty miałaś, Jane?

– Nie mogę zaprzeczyć – przyznała panna Marple.

– Ruth opowiadała mi.

– Opowiadała ci podczas swojej ostatniej wizyty? – zapytała panna Marple z zaciekawieniem.

– Nie, chyba nie wtedy. Nie pamiętam dokładnie... – Carrie Louise mówiła w zamyśleniu, jakby nieobecna duchem.

– O czym myślisz, Carrie Louise?

– Myślałam o Ginie – odparła i uśmiechnęła się lekko. – O tym, co powiedziałaś o Stephenie Restaricku. Gina to dobre stworzenie. Jestem pewna, że kocha Waltera. O tak, na pewno go kocha.

Panna Marple milczała.

– Dziewczęta takie jak Gina lubią być czasami trochę lekkomyślne. – Pani Serrocolld mówiła takim tonem, jakby prosiła, by przyjaciółka uwierzyła w jej słowa. – Są młode, lubią okazywać swoją moc. To zupełnie naturalne. Wiem oczywiście, że Walter Hudd nie jest takim typem mężczyzny, jakiego wyobrażaliśmy sobie, myśląc o zamążpójściu Giny. W normalnych warunkach nigdy by się z nim nie zetknęła. Ale spotkała go, zakochała się i prawdopodobnie sama wie najlepiej, co robi.

– Być może – powiedziała panna Marple.

– To bardzo ważne, aby Gina była szczęśliwa.

Panna Marple popatrzyła pytająco.

– Sądzę, że dla każdego jest ważne, aby był szczęśliwy – stwierdziła.

– Tak. Ale Gina jest szczególnym przypadkiem. Kiedy wzięliśmy jej matkę... kiedy wzięliśmy do siebie Pippę, wierzyliśmy, że nasz eksperyment musi się udać. Widzisz, jej matka... – Carrie Louise urwała.

– Kim była matka Pippy? – zapytała panna Marple.

– Eric i ja przyrzekliśmy, że nigdy tego nikomu nie zdradzimy. Nikomu.

– Chętnie bym się dowiedziała – naciskała panna Marple.

Carrie Louise patrzyła na przyjaciółkę z wahaniem.

– Nie jest to z mojej strony zwykła ciekawość – mówiła panna Marple. – Uwierz mi, ja po prostu muszę to wiedzieć! Potrafię trzymać język za zębami.

– Tak, ty potrafisz dochować tajemnicy, Jane – powiedziała Carrie Louise, uśmiechając się do swoich wspomnień. – Matką Pippy była Katherine Elsworth. Poza doktorem Galbraithem – on jest teraz biskupem Cromer – nikt o tym nie wie.

– Elsworth? Zaraz, czy to przypadkiem nie ta, która otruła męża arsenikiem? Bardzo głośny przypadek.

– Tak.

– Została powieszona.

– Tak. Ale jej wina nie była do końca udowodniona. Mąż był uzależniony od arszeniku.

Wtedy nie znano się zbyt dobrze na tych sprawach.

– Ale ona moczyła w arseniku lepy na muchy.

– Eric i ja zawsze sądziliśmy, że to zeznanie było tylko zwykłą złośliwością ze strony

służącej.

– A więc Pippa to córka tej Elsworth...

– Tak. Postanowiliśmy, że damy dziecku nowy start, że w naszym domu będzie wzrastało otoczone miłością i opieką, tak jak inne dzieci. I udało się nam. Pippa była... och, po prostu Pippa. Najdroższe i najśladzsze stworzenie, jakie można sobie wyobrazić.

Panna Marple milczała przez dłuższą chwilę.

– Jestem gotowa – powiedziała Carrie Louise i odwróciła się od lustra. – Może poprosisz inspektora, czy kto to tam jest, aby zechciał przyjść do mojego saloniku. Z pewnością nie będzie miał nic przeciwko temu.

* * *

Inspektor Curry rzeczywiście nie miał nic przeciwko temu. Nawet wołał rozmawiać z panią Serrocold na jej własnym terytorium.

Czekając na nią, rozglądał się ciekawie. Ten pokój wcale nie odpowiadał wyobrażeniom o buduarze bogatej damy.

W saloniku stała staroświecka sofa i kilka wiktoriańskich, niewygodnych krzeseł o toczonych oparciach. Perkalowe obicia były stare i wyblakłe, jednak ich elegancki deseń przywodził na myśl epokę Kryształowego Pałacu. Salonik – jedno z mniejszych pomieszczeń w budynku – był znacznie większy niż pokoje w nowoczesnych mieszkaniach. Ozdobiony licznymi fotografiami i innymi drobiazgami, buduar sprawiał bardzo przyjemne wrażenie. Inspektor przyjrzał się z uwagą dużej fotografii dwóch dziewczynek. Jedna była ciemnowłosa i pełna życia, druga wyblakła i bezbarwna, ze zgorzkniałym wyrazem twarzy. Podpis pod fotografią głosił: „Pippa i Mildred”. Na ścianie w ciężkiej, złoczonej ramie wisiało zdjęcie Erica Gulbrandsena. Inspektor odkrył właśnie fotografię przystojnego, roześmianego mężczyzny, prawdopodobnie Johna Restaricka, gdy drzwi otworzyły się i do pokoju weszła pani Serrocold.

Ubrana była w czarną suknię. Drobną, lekko zaróżowioną twarz pod koroną srebrnych włosów sprawiała wrażenie bardzo małej. Cała jej postać wyglądała tak krucho i delikatnie, że inspektor poczuł nagłe wzruszenie. Teraz zrozumiał to, co do tej pory wydawało mu się tak nieprawdopodobne i zdumiewające. Zrozumiał, dlaczego wszyscy w tym domu ciągle myśleli o tym, aby oszczędzić Carrie Louise wszystkiego, co tylko mogło być jej oszczędzone. Pomyślał też, że osoba taka jak ona nigdy nie robiłaby zamieszania z byle powodu.

Pani Serrocold przywitała się z inspektorem, poprosiła go, aby usiadł, sama zajęła miejsce naprzeciwko. Inspektor zaczął zadawać pytania. Odpowiadała spokojnie i bez wahania. Zgaśnięcie światła, awantura między jej mężem a Edgarem Lawsonem, strzał, który słyszeli...

– Czy odniosła pani wrażenie, że strzał padł w domu?

– Nie, wydawało mi się, że huk dobiegł gdzieś z zewnątrz. Myślałam, że był to może gaźnik przejeżdżającego samochodu.

– Czy podczas tego incydentu między pani mężem a młodym Lawsonem zauważyła pani, że ktoś wychodził z holu?

– Walter Hudd poszedł naprawić światło. W chwilę później wyszła panna Bellever.

Chciała coś przynieść, nie pamiętam już co.

– I nikt więcej poza tymi dwiema osobami?

– Nie wiem, czy ktoś jeszcze wychodził.

– A zauważyłaby to pani?

– Nie, nie sądzę, abym to mogła zauważyć.

– Pani uwaga była skierowana na to, co działo się za drzwiami gabinetu?

– Tak.

– I obawiała się pani, że może dojść do jakiegoś wypadku?

- Nie, to nie to. Naprawdę nie przypuszczałam, aby coś mogło się wydarzyć.
- Przecież Lawson miał rewolwer.
- Tak.
- I groził pani mężowi.
- Owszem, ale nie myślał o tym poważnie.

Inspektor poczuł narastające rozdrażnienie, słysząc po raz kolejny podobną wypowiedź.

A więc ona także...

- Nie mogła pani przecież tego wykluczyć.
- Ależ mogłam. Byłam tego pewna. Przecież Edgar tylko... – zaraz, jak to się mówi... aha, odgrywał komedię. To duży dzieciak. Głupi i melodramatyczny, napawał się odgrywaniem roli zdesperowanego bohatera, ale tak naprawdę nie miał wcale zamiaru strzelać.

– Ale strzelił!

Carrie Louise uśmiechnęła się wyrozumiale.

– Sądzę, że rewolwer sam wypalił. Czysty przypadek.

Inspektor opanował się z niejakim trudem.

– To nie był przypadek! – rzucił gniewnie. – Lawson strzelił dwukrotnie. Celował do pani męża. Obie kule chybiły zaledwie o włos. Ślady w ścianie są tego dowodem.

Carrie Louise wydawała się zdumiona.

– Jakoś nie mogę w to uwierzyć – powiedziała poważnie. – Oczywiście – pośpieszyła z wyjaśnieniem – muszę uwierzyć w to, co pan mówi. Ale sądzą, że powinno tu być jakieś proste wytłumaczenie. Może doktor Maverick będzie umiał to wyjaśnić.

– O tak – odparł inspektor z ironią – doktor Maverick z pewnością będzie umiał to wyjaśnić. Doktor Maverick potrafi wszystko wytłumaczyć. Nie wątpię w to.

– Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że wiele rzeczy, które tu robimy, ocenia pan jako głupie i bez sensu – powiedziała nieoczekiwanie pani Serrocold. – Wiem także, że psychiatrzy często potrafią być szalenie irytujący. Faktem jednak jest, że mamy tu sporo osiągnięć. Oczywiście i sporo porażek, ale nasze sukcesy potrafimy udowodnić. To, czego tu próbujemy, jest warte zachodu. Pan może nie wierzyć, ale Edgar jest bardzo, ale to bardzo oddany mojemu mężowi. Był taki wzburzony, przyszedł tu z absurdalnym twierdzeniem, że Lewis to jego ojciec. Zrobił tak dlatego, że zawsze życzył sobie ojca, który byłby podobny do Lewisa. Nie potrafię tylko zrozumieć, dlaczego nagle zachował się z taką gwałtownością. Jego stan ostatnio bardzo się poprawił, zdawał się zupełnie normalny. Ja zawsze traktowałam go jak kogoś całkiem normalnego.

Inspektor, nie komentując tego stwierdzenia, powiedział:

– Rewolwer, którego użył Lawson, należał do męża pani wnuczki. Prawdopodobnie Edgar zabrał go z jego pokoju. A teraz proszę się zastanowić, czy widziała pani kiedyś tę oto broń.

Na wyciągniętej dłoni inspektora leżał mały, automatyczny pistolet. Carrie Louise obejrzała go uważnie.

– Nie, chyba nie.

– Znalazłem go w taborecie przy fortepianie. Niedawno z niego strzelano. Nie mamy jeszcze wyników analizy, ale jestem przekonany, że z tej właśnie broni zastrzelono Christiana Gulbrandsena.

– I znalazł pan to w taborecie przy fortepianie? – zapytała Carrie Louise ze zdumieniem.

– Tak. Pod starymi nutami, prawdopodobnie nie przeglądany już od lat.

– Pistolet był tam schowany?

– Tak. Pamięta pani, kto wczoraj wieczorem siedział przy fortepianie?

- Stephen Restarick.
- Grał?
- Tak. Jakąś cichą, melancholijną melodię.
- A kiedy przerwał?
- Kiedy przerwał? Nie wiem.
- Ale przerwał? Czy też może grał przez cały czas, podczas gdy w gabinecie trwała awantura?
- Nie, nie grał. Muzyka ucichła.
- Czy wstał od fortepianu?
- Nie wiem. Nie mam pojęcia, co robił aż do chwili, gdy podszedł do drzwi gabinetu, aby wypróbować klucze.
- Czy zna pani jakiś powód, dla którego Stephen Restarick mógłby zastrzelić Christiana Gulbrandsena?
- Nie i nie wierzę, aby to zrobił – powiedziała Carrie Louise zdecydowanie.
- Być może pan Gulbrandsen dowiedział się czegoś, czego ujawnienie byłoby dla Stephena Restaricka bardzo niekorzystne?
- To brzmi bardzo mało prawdopodobnie.

* * *

Gdy Carrie Louise zeszła po schodach, spotkała na dole trzy osoby, które nadeszły z trzech różnych kierunków. Gina szła długim korytarzem, panna Marple wyszła z biblioteki, a panna Bellever z holu.

Gina odezwała się pierwsza.

- I jak było? – zawołała żywo. – Dobrze się czujesz? Czy bardzo cię dręczyli? Zastosowali może badania trzeciego stopnia?
- Oczywiście, że nie, Gino. Co ci przychodzi do głowy? Inspektor Curry był bardzo miły i uważający.

– Zachował się tak, jak należało – skomentowała panna Bellever. – Cara, tutaj są listy i jakaś paczka. Właśnie szłam z tym do ciebie.

– Weźmy to do biblioteki.

Wszystkie cztery weszły do biblioteki. Carrie Louise zaczęła otwierać koperty. Było ich ponad dwa tuziny. Po otwarciu wręczyła listy panie Bellever, która rozsortowała je zrećźnie na trzy stosy.

– Są trzy rodzaje listów – wyjaśniła panie Marple. – Listy od opiekunów czy rodziców chłopców przekazuję doktorowi Maverickowi, na listy z prośbami odpowiadam sama, a na listy prywatne Cara dyktuje mi odpowiedzi.

Skończywszy z korespondencją, pani Serrocold zajęła się paczką. Przecięła sznurek. Spod gustownego papieru wyłoniło się eleganckie pudełko czekoladek przewiązane złotą wstążką.

– Ktoś musiał pomyśleć, że mam urodziny – powiedziała ze śmiechem, starannie składając wstążeczkę. Otworzyła przykrywkę i wyjęła leżącą pod nią wizytówkę.

– „Od Alexa z wyrazami miłości” – przeczytała zdumiona. – Jakież to dziwne z jego strony. Po co przysyłał mi pocztą czekoladki, skoro sam tu przyjechał?

Panna Marple poczuła nagły niepokój.

– Poczekaj chwilę, Carrie Louise. Nie jedz tego.

Pani Serrocold popatrzyła bezradnie na przyjaciółkę.

– Miałam zamiar poczęstować wszystkich – powiedziała.

– Proszę, nie – rzekła panna Marple. – Gino, czy Alex jest w domu?

– Chyba tak, przed chwilą był w holu – odparła szybko Gina. Otworzyła drzwi i zawołała

go.

Alex Restarick pojawił się niemal natychmiast. Podszedł do pani Serrocold i ucałował ją w oba policzki.

– Madonna, widzę, że już wstałaś – powiedział. – Jak się czujesz?

Panna Marple odezwała się pierwsza:

– Carrie Louise chciała panu podziękować za czekoladki.

– Jakie czekoladki? – zdumiał się Alex.

– Te tutaj. – Carrie Louise wskazała pudełko.

– Ależ ja nie wysyłałem ci żadnych czekoladek!

– W pudełku był twój bilet wizytowy – powiedziała panna Bellever.

Alex przyjrzał się wizytówce.

– Tak, rzeczywiście moja. Jakie to dziwne. Naprawdę nie wysyłałem ci tych czekoladek.

– Czy widział ktoś coś takiego? – zdziwiła się panna Bellever.

Gina zajrzała do pudełka.

– Wyglądają po prostu wspaniale. Zobacz, babuniu, na wierzchu są te twoje ulubione z wiśniami.

Grzecznym, ale stanowczym ruchem panna Marple sięgnęła po pudełko. Bez słowa opuściła bibliotekę i udała się na poszukiwanie Lewisa Serrocolda. Zabrało jej to trochę czasu, gdyż Lewis poszedł do Instytutu. Znalazła go w końcu w pokoju doktora Mavericka i wręczyła mu pudełko. Lewis wysłuchał jej wyjaśnień ze zmartwiałą twarzą.

Razem z doktorem zaczęli ostrożnie wyjmować czekoladkę po czekoladce.

– Myślę, że te, które odłożyłem na bok, są podejrzane – stwierdził doktor. – Widzi pan, są wyraźne ślady, że ktoś przy nich majstrował. Trzeba je dać do analizy.

– To wydaje się zupełnie niewiarygodne – odezwała się panna Marple. – Przecież każdy z nas mógł się tym otruć.

Lewis Serrocold pokiwał głową. Twarz miał bladą.

– Tak, to było bezwzględne i okrutne... – Urwał. – Chociaż nie... te czekoladki z wiśniami... to ulubione czekoladki Caroline. Nasz truciciel pomyślał o wszystkim.

Panna Marple powiedziała spokojnie:

– Jeśli pańskie podejrzania okażą się prawdziwe, jeśli w tych czekoladkach naprawdę jest trucizna, to obawiam się, że Carrie Louise będzie musiała się o tym dowiedzieć.

– Tak – odparł Lewis, zmarszczywszy brwi. – Caroline będzie musiała się dowiedzieć, że ktoś pragnie jej śmierci. Z pewnością nie będzie chciała w to uwierzyć.

XVI

– Proszę pani, proszę pani, czy to prawda, że w Stonygates grasuje truciciel?

Gina aż podskoczyła, słysząc za plecami nieoczekiwany szept. Odgarnęła włosy z czoła. Na policzkach i na spodniach miała smugi farby. Wraz z kilkoma pomocnikami była zajęta malowaniem Nilu o zachodzie słońca – dekoracji do planowanego spektaklu. Pytanie zadał Ernie, młody chłopak, który uprzednio udzielił jej cennych wskazówek na temat różnych sposobów otwierania zamków. Palce Erniego pracowały równie zręcznie przy tworzeniu scenicznych rekwizytów. Był doskonałym pomocnikiem. Teraz jego oczy błyszczały ciekawością.

– W Instytucie mówi się tylko o tym – relacjonował. – Ale to naprawdę nie był żaden z nas. To nie w naszym stylu. Poza tym nikt z nas nie zrobiłby krzywdy pani Serrocold. Nawet Jenkins. Co innego, gdyby chodziło o tę starą jędzę.

– Proszę tak nie mówić o panie Bellever.

– Przepraszam, wyrwało mi się. Co to była za trucizna? Czy strychnina? Ofiara dostaje okropnych skurczy i umiera w męczarniach. A może kwas pruski?

– Nie wiem, o czym ty mówisz, Ernie.

Ernie popatrzył na nią szelmowsko.

– Założę się, że pani wie. Mówią też, że to pan Alex przywiózł z Londynu zatrute czekoladki. Ale to nieprawda. Pan Alex nigdy by tego nie zrobił. To już prędzej pan Baumgarten. On się zawsze tak szpetnie wykrzywia podczas gimnastyki. Don i ja uważamy, że on nie jest całkiem tego...

– Oczywiście, że Alex by tego nie zrobił – powiedziała Gina. – I zabierz stąd terpentynę, Ernie. Stoi w samym przejściu.

Chłopak posłuchał, mrużąc przy tym do siebie:

– Nie do wiary, co się tutaj wyprawia. Wczoraj załatwili starego Gulbrandsena, dzisiaj znowu jakiś tajemniczy truciciel. – Znowu zwrócił się do Giny: – Myśli pani, że to ta sama osoba? A co by pani rzekła na to, gdybym powiedział, że wiem, kto wykończył Gulbrandsena?

– Przecież nie wiesz.

– Tak pani uważa? Przypuśćmy, że byłem poprzedniego dnia na dworze i widziałem to czy tamto.

– Jak mogłeś być wieczorem na dworze? Przecież po wieczornym apelu drzwi Instytutu zawsze są zamykane.

– Co tam apel. Mogę wychodzić, kiedy zechcę. Zamki nie stanowią dla mnie żadnego problemu. Wychodzę na dwór, kiedy tylko mam ochotę, po prostu dla zabawy.

– Wolalabym, żebyś nie karmił mnie tymi wszystkimi kłamstwami, Ernie.

– Kto tu kłamie?

– Ty. Przechwalasz się, opowiadając różne wyssane z palce historyjki.

– To pani tak twierdzi. Niech no pani poczeka, aż przyjdą gliny i zapytają mnie, co widziałem wczoraj wieczorem.

– A co widziałeś?

– Teraz chciałaby pani wiedzieć!

Gina pogroziła mu i Ernie przezornie odsunął się na bok.

Zza kulis wynurzył się Stephen. Po chwili wraz z Giną skierowali się w stronę domu.

– Wszyscy już wiedzą o tych zatrutych czekoladkach – odezwała się Gina. – Mam na myśli chłopców z Instytutu. Jak mogli się dowiedzieć?

– Takie wiadomości szybko się rozchodzą. – Stephen wzruszył ramionami.

– Wiedzą też o bilecie wizytowym Alexa. Swoją drogą, czy nie sądzisz, że to bardzo głupie ze strony tego kogoś wkładać do pudełka wizytówkę Alexa? Skoro on sam przyjechał tutaj

na weekend...

– Tak. Ale kto mógł przewidzieć, że Alex przyjedzie? Zdecydował się przecież w ostatniej chwili i zatelegrafował. Może paczka z czekoladkami była już wtedy w drodze? Ale gdyby Alex się tu nie pojawił, pomysł z jego wizytówką nie byłby wcale taki zły. Alex przysyła czasami Caroline czekoladki. Czego natomiast nie mogę pojąć, to...

– ...to dlaczego ktoś mógłby pragnąć śmierci babuni – wpadła mu w słowa Gina. – Tak, naprawdę nie do pomyślenia! Babunia jest taka kochana. Przecież wszyscy ją wręcz uwielbiają. Stephen nie odpowiedział. Gina popatrzyła na niego ostro.

– Wiem, o czym myślisz, Steve!

– Naprawdę?

– Tak. Myślisz, że Walter jej nie uwielbia. Ale Wally nie byłby zdolny do morderstwa.

Co za idiotyczny pomysł!

– Oto słowa prawdziwie lojalnej małżonki.

– Nie mów do mnie takim kpiącym tonem.

– Wcale nie kpię. Jestem przekonany, że jesteś lojalną żoną i podziwiam cię za to. Ale, Gino, kochanie, przecież tak dłużej być nie może.

– Nie wiem, co masz na myśli, Steve.

– Ależ wiesz, wiesz doskonale. Ty i Walter nie pasujecie do siebie, po prostu nie pasujecie. On też zdaje sobie z tego sprawę. Pewnego dnia, może już niebawem, rozejdziecie się. Oboje będziecie wtedy o wiele szczęśliwsi.

– Och, Steve, nie bądź durniem.

Stephen roześmiał się.

– Bądź wreszcie szczerą. Nie możesz przecież powiedzieć, że pasujecie do siebie, ty i Walter, albo że on czuje się tutaj szczęśliwy.

– Nie wiem, co się stało Walterowi! – krzyknęła Gina. – Bez przerwy się o coś dąsa. Nic nie mówi, chodzi naburmuszony. Sama nie wiem, co mam robić. Przecież przedtem było nam dobrze ze sobą, sądziliśmy, że wszystko układa się wspaniale.

A teraz jakbym miała do czynienia z zupełnie obcym człowiekiem. Dlaczego ludzie tak się zmieniają?

– Czy ja także się zmieniłem?

– Nie, kochany, ty jesteś zawsze taki sam. Czy pamiętasz, jak biegałam wszędzie za tobą, gdy przyjeżdżałeś w czasie ferii? Jak nie dawałam ci spokoju?

– A ja uważałem cię wtedy za wstrętnego, dokuczliwego bachora. Co za głupiec był wtedy ze mnie! Dzisiaj sytuacja zupełnie się odwróciła. Masz mnie dokładnie tam, gdzie chciałaś mnie mieć.

– Głupiec! – rzuciła Gina i szybko zmieniła temat. – Czy sądzisz, że Ernie kłamie? Mówi, że wczoraj wieczorem był na dworze i że mógłby nam sporo powiedzieć na temat morderstwa. Myślisz, że to może być prawda?

– Prawda? Oczywiście, że nie. Po prostu chce być ważny.

– Tak, chyba tak. Ale mimo wszystko zastanawiam się...

Szli dalej, nic nie mówiąc.

* * *

Promienie zachodzącego słońca oświetlały zachodnią elewację domu.

Inspektor Curry popatrzył w tę stronę.

– Tak więc poprzedniego wieczoru zaparkował pan samochód mniej więcej w tym miejscu? – zapytał.

Alex Restarick zastanowił się przez chwilę.

– Tak, chyba tutaj – powiedział w końcu. – Trudno jest mi określić dokładniej; wtedy była taka mgła. Ale to było gdzieś w tym miejscu.

Inspektor Curry rozglądał się przez chwilę.

Wysypana żwirem droga zataczała łagodny łuk. W miejscu gdzie stali, pomiędzy krzewów rododendronów wynurzała się elewacja ogrodowa domu, z tarasem i schodami opadającymi ku trawnikom, przesłonięta częściowo szpalerem cisów. Żwirowa droga biegła dalej półkolem, wijąc się między domem a stawem w parku, wreszcie kończyła się przy wschodniej fasadzie niewielkim podjazdem.

– Dodgett! – zawołał inspektor.

Posterunkowy Dodgett rzucił się do biegu, niczym nakręcony sprężyną. Przebiegł ukosem przez trawnik, wbiegł po schodach na taras i wpadł do domu bocznymi drzwiami. Wkrótce potem poruszyła się zasłona w jednym z okien. Za chwilę posterunkowy ponownie pojawił się w bocznych drzwiach i odbył swój bieg przez trawnik w przeciwnym kierunku. Sapał przy tym niczym lokomotywa.

– Dwie minuty i czterdzieści dwie sekundy – powiedział inspektor, spoglądając na stoper.

– A więc nie zajęło to zbyt wiele czasu, nie sądzi pan? – Jego ton był bardzo uprzejmy.

– Nie biegam tak szybko jak pański sierżant – odparł Alex Restarick. – Zakładam oczywiście, że mierzył pan czas, jaki byłby mi potrzebny do popełnienia tej zbrodni.

– Stwierdzam tylko fakt, że miał pan sposobność tego dokonać, nic więcej. Nie oskarżam pana, panie Restarick. Na razie.

Alex odwrócił się do posterunkowego Dodgetta, który ciągle jeszcze z trudem łapał powietrze.

– Nie biegam wprawdzie tak szybko jak pan, ale jestem chyba w lepszej formie – stwierdził.

– Tej zimy przeszedłem bronchit – usprawiedliwiał się Dodgett.

Alex ponownie spojrzał na inspektora.

– Ale mówiąc poważnie, nawet jeśli teraz usiłuje mnie pan wprawić w zakłopotanie i pilnie obserwuje moje reakcje – cóż, my artyści jesteśmy tacy wrażliwi! – to przecież nie może pan serio przypuszczać, że miałem z tym coś wspólnego. Nie wysłałbym przecież pudełka zatrutych czekoladek z własną wizytówką.

– Może tak właśnie mieliśmy pomyśleć. Istnieje coś takiego jak podwójny blef, panie Restarick.

– Ach tak. Policja jest naprawdę pomysłowa. Nawiasem mówiąc, czy te czekoladki rzeczywiście były zatrute?

– Tak. Sześć czekoladek z wiśniowym nadzieniem z górnego rzędu było zatrutych. Zawierały akonitynę.

– To nie jest moja ulubiona trucizna, panie inspektorze. Ja osobiście mam słabość do kurary.

– Kurarę wprowadza się do organizmu przez układ krwionośny, nie przez żołądek, panie Restarick.

– Proszę, proszę, jaka ta nasza policja jest wykształcona – rzucił Alex tonem pełnym podziwu.

Inspektor Curry przypatrywał się młodemu człowiekowi z ukosa. Zauważył lekko szpiczaste uszy, zupełnie nieangielskie, jakby trochę mongolskie rysy twarzy i błyszczące oczy o drwiącym wyrazie. Doprawdy trudno było zgadnąć, o czym ten człowiek naprawdę myśli. „Satyr. A może raczej faun? Tak, przekarmiony faun” – stwierdził inspektor i ta myśl wydała mu się w jakiś sposób niemiła.

Spryciarz, ale i mądra głowa – tak inspektor najkrócej scharakteryzowałby Alexa Restaricka. Z pewnością mądrzejszy od brata. Zdaje się, że matka była Rosjanką. Dla inspektora Curry'ego słowo „Rosjanie” miało dokładnie ten sam wydźwięk, co słowo „Hunowie”. Wszystko, co w jakikolwiek sposób wiązało się z Rosją, było złe i gdyby okazało się, że to Alex Restarick zamordował Gulbrandsena, inspektor czułby się w pełni usatysfakcjonowany. Niestety, jak dotąd wcale nie był przekonany o winie Alexa.

Posterunkowy Dodgett, który wreszcie złapał oddech, powiedział:

– Poruszyłem zasłonę, jak pan sobie życzył, sir, i policzyłem do trzydziestu. Przy tej okazji zauważyłem, że jedna z żabek jest oderwana. Tak więc z zewnątrz można zobaczyć, czy w pokoju pali się światło.

– Czy wczoraj wieczorem zauważył pan światło w tym pokoju? – zwrócił się inspektor do Alexa.

– Przez tę mgłę w ogóle nie widziałem domu.

– Czasami mgła rozstępuje się na moment.

– Nie, samego domu nie widziałem ani przez chwilę. Wyłącznie zarysy budynku obok. Wynurzał się z mgły, jakby się nagle materializował. Miałem wrażenie, że to spichrz w dokach, a że przygotowuję właśnie wystawienie „Nocy w Limehouse”...

– Tak, wspominał już pan – przerwał inspektor.

– Mam zwyczaj patrzenia na wszystko z punktu widzenia scenicznego, a nie zwykłej rzeczywistości.

– Rozumiem. Jednak obraz sceniczny także ma w sobie coś rzeczywistego.

– Nie bardzo rozumiem, panie inspektorze.

– No przecież obraz na scenie jest zbudowany z prawdziwych materiałów. Z płótna, drewna, farby, tektury. Złudzenie powstaje w oku patrzącego, a nie na samej scenie. To znaczy, że naprawdę wszystko jest rzeczywiste, zarówno gdy popatrzymy na to od strony widowni, jak i od strony kulis.

Alex zwrócił się do inspektora z nagłym ożywieniem:

– A wie pan, panie inspektorze, że to bardzo interesująca uwaga. Przyszło mi do głowy pewne rozwiązanie...

– Do nowego przedstawienia?

– Nie, nie do nowego przedstawienia... Mój Boże, czy wszyscy byliśmy aż tak ślepi?

* * *

Inspektor Curry i posterunkowy Dodgett szli przez trawnik, kierując się w stronę domu. Alex przypuszczał, że szukają odcisków stóp, ale mylił się. Z szukaniem śladów policja uporała się już rano. Bez skutku, zresztą, gdyż w nocy padał ulewny deszcz.

Alex szedł wolno podjazdem. Z rozmyślań wyrwał go widok Giny spacerującej ścieżką nad brzegiem stawu.

Dom był usytuowany na niewielkim wzniesieniu. Od wysypanego żwirem podjazdu teren opadał łagodnie w dół, ku wodzie otoczonej kępami rododendronów i innych krzewów.

Alex szybkimi krokami pokonał odległość dzielącą go od Giny.

– Gdyby usunąć stąd to wiktoriańskie monstrum, mielibyśmy śliczny obrazek sceniczny – powiedział, mrużąc oczy. – Jezioro Łabędzie i ty, Gino, jako królowa łabędzi. Chociaż jak się dobrze zastanowić, przypominasz raczej Królową Śniegu. Bezlitosna, pragnąca za wszelką cenę przeprowadzić własną wolę, bez śladu łagodności i współczucia. Jesteś bardzo kobieca, Gino.

– Jakiś ty złośliwy.

– Dlatego, że nie dałem się nabrać na twoje sztuczki? Musisz być z siebie bardzo zadowolona. Masz nas wszystkich tam, dokąd chciałaś nas doprowadzić; Stephena, mnie,

swojego męża.

– Mówisz głupstwa.

– Bynajmniej. Stephen jest w tobie zakochany, ja jestem w tobie zakochany, a biedny Walter jest nieszczęśliwy. Czegóż więcej może pragnąć kobieta?

Gina popatrzyła na niego i wybuchnęła śmiechem.

Alex energicznie skinął głową.

– Jak widzę, jesteś przynajmniej szczerą. Bardzo mnie to cieszy. Nie starasz się nikomu wmówić, że nie wypróbujesz bez przerwy swojej siły przyciągania i że jest ci bardzo żal tych wszystkich biednych mężczyzn, na których robisz takie wrażenie. Ty po prostu cieszysz się, kiedy mężczyźni ulegają twojemu urokowi. Nawet jeśli jest to ten mały Edgar Lawson. Czy nie mam racji, okrutnico?

Gina popatrzyła na niego poważnie i powiedziała zdecydowanie:

– To nie trwa nigdy zbyt długo, sam o tym wiesz. Kobietom żyje się na tym świecie o wiele trudniej niż mężczyznom. Łatwiej je zranić. Potem mają dzieci i stają się tak bardzo zależne. A gdy już tracą urodę, mężczyźni, którzy je przedtem kochali, przestają kochać. Kobiety są oszukiwane, odsuwane na dalszy plan. Nie oskarżam mężczyzn; pewnie byłabym taka sama. Nie lubię ludzi starych, szpetnych, cierpiących, narzekających na kłopoty albo śmiesznych, takich jak nasz Edgar, który biega dookoła i wyobraża sobie, że jest Bóg wie kim. Mówisz, że jestem okrutna. To świat jest okrutny. Prędzej czy później będzie taki także i dla mnie. Ale na razie jestem młoda, ładna i pociągająca. – Uśmiechnęła się promiennie. – Cieszę się tym, Alex, po prostu cieszę się. Dlaczego miałabym tego nie robić?

– Tak, dlaczego nie? Ale ja chciałbym się dowiedzieć, jakie są twoje plany. Wyjdiesz za Stephena czy poślubisz mnie?

– Jestem żoną Waltera.

– Przejściowo. Każda kobieta ma prawo raz się pomylić w tych sprawach. Ale nie ma powodu, aby taki błąd ciągnąć w nieskończoność.

– Chciałbyś mnie poślubić? Jakoś nie mogę sobie ciebie wyobrazić w roli żonatego mężczyzny.

– Nalegam na małżeństwo. Romanse zawsze uważałem za takie staromodne. Kłopoty z paszportem, z meldowaniem się w hotelach. Nie, to nie dla mnie. Nigdy nie będę miał kochanki, chyba że byłaby to jedyna droga do zdobycia ciebie!

Gina roześmiała się srebrzyście.

– Bawisz mnie, Alex.

– To moja wielka zaleta. Stephen jest o wiele przystojniejszy niż ja. Jest też bardziej namiętny, a kobiety to lubią. Ale namiętność bywa nużąca w małżeństwie. Życie ze mną będzie dla ciebie o wiele bardziej zajmujące.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że jesteś we mnie do szaleństwa zakochany?

– Nawet gdyby tak było, nigdy bym ci tego nie wyznał. Natomiast składam ci najzupełniej poważną ofertę małżeńską.

– Będę to sobie musiała przemyśleć – powiedziała Gina z uśmiechem.

– Oczywiście. Musimy też zadbać o to, by Walter zbyt nie cierpiał. Mam dla niego wiele sympatii. Jakimże piekłem dla niego musi być małżeństwo z tobą i to, że wciągnęłaś go w tę przesyconą filantropią rodzinną atmosferę.

– Ale z ciebie łotrzyk, Alex.

– Łotrzyk, który potrafi obserwować.

– Czasami wydaje mi się, że Walter nic już do mnie nie czuje – stwierdziła Gina. – Prawie nie zwraca na mnie uwagi.

– Drażnisz go, a on nie reaguje? To rzeczywiście przykre.

Gina gwałtownym ruchem uniosła dłoń i wymierzyła mu siarczysty policzek.

– Touche! – zawołał Alex. Złapał ją w objęcia i zanim zdążyła zareagować, przycisnął swoje wargi do jej ust w namiętym pocałunku. Opierała się przez chwilę, potem uległa.

– Gina!

Oboje odskoczyli od siebie. Przed nimi stała Mildred Strete z płonącymi policzkami i drżącymi wargami. Przez chwilę nie potrafiła wydobyć z siebie głosu.

– Oburzające... wstrętne... ty podła, zepsuta dziewczyno... Jesteś zupełnie taka sama jak twoja matka... Ta sama krew... Od początku wiedziałam... Zupełnie niemoralna. Zdeprawowana. Jesteś nie tylko łajdaczką, jesteś morderczynią! Tak, wiem, to ty jesteś morderczynią!

– Cóż ty możesz wiedzieć? Nie bądź śmieszna, ciociu Mildred.

– Dzięki Bogu nie jestem twoją ciotką. Nie ma między nami więzów krwi. Nie wiesz nawet, kim była twoja matka, skąd pochodziła! Wiesz za to dokładnie, kim była moja matka i kim był mój ojciec. Jak myślisz, jakie dziecko wzięli sobie na wychowanie? Prawdopodobnie dziecko jakiejś kryminalistki, może nawet prostytutki! Powinni byli przewidzieć, że ta zła krew się w tobie odezwie. Jesteś półkwi Włoszką, stąd to upodobanie do trucizny!

– Jak śmiesz tak mówić?!

– Mówię, co mi się podoba. Ktoś przecież usiłował otruć moją matkę. Kto jest najbardziej podejrzany? Kto odziedziczy wielki majątek po jej śmierci? Ty, właśnie ty! Nie myśl sobie, że policja przeoczy ten fakt.

Mildred Strete oddaliła się szybko, cała rozdygotana.

– Patologia – skomentował Alex. – Przecież to przypadek patologiczny. To bardzo interesujące. Czy zmarły kanonik Strete kiedykolwiek...? Może miał jakieś zahamowania natury religijnej? A może... impotencja?

– Nie bądź niesmaczny, Alex. Nienawidzę jej, nienawidzę! – Gina potrząsnęła dłońmi zaciśniętymi w pięści.

– Na szczęście nie nosisz noża w pończosze. Inaczej nasza miła pani Strete mogłaby zapoznać się z morderstwem z punktu widzenia ofiary. Uspokój się, Gino. Nie bądź taka melodramatyczna, nie występujesz przecież we włoskiej operze.

– Jak ona śmiała? Jak śmiała powiedzieć, że usiłowałam otruć babunię?

– Cóż, kochanie, ktoś przecież usiłował to zrobić, a nie da się ukryć, że ty masz motyw.

– Ależ, Alex! – Gina popatrzyła na niego wzburzona. – Nie chcesz chyba powiedzieć, że policja też tak myśli?

– Nikt nie wie, co myśli policja. Ci panowie potrafią doskonale się maskować. I wcale nie są głupi. O, właśnie! Dobrze, że sobie przypomniałem...

– Dokąd się wybierasz?

– Przemyśleć to, co mi przyszło do głowy.

XVII

– Mówisz, że ktoś próbował mnie otruć? – W głosie Carrie Louise brzmiało zakłopotanie.
– Wiesz, naprawdę nie potrafię w to uwierzyć.

Milczała przez chwilę, siedząc z przymkniętymi oczami.

– Chciałem ci tego oszczędzić, moja droga – odezwał się łagodnie Lewis.

Wyciągnęła do niego rękę niemal bezwiednym ruchem, a on ujął ją troskliwie.

Panna Marple, siedząca obok nich, ze współczuciem potrząsnęła głową.

Carrie Louise otworzyła oczy.

– Czy to prawda, Jane? – zapytała.

– Obawiam się, że tak.

– A więc wszystko jest... – Zawahała się przez moment. – Zawsze wydawało mi się, że wiem, co jest prawdą, a co nie jest. Pewne rzeczy sprawiały wrażenie nierealnych, a jednak były realne. Czyżbym się myliła co do wszystkiego? Ale kto mógłby mi zrobić coś takiego? Nie wierzę, aby w tym domu ktoś chciał mnie zabić.

– Myślałem tak samo – powiedział Lewis – ale myliłem się.

– I Christian o tym wiedział? Tak, to wszystko tłumaczy.

– Co tłumaczy? – chciał wiedzieć Lewis.

– Jego zachowanie – odparła Carrie Louise. – Było takie dziwne, zupełnie inne niż zwykle. Coś go wyraźnie gnębiło, sprawiał wrażenie, jakby chciał mi coś powiedzieć. Ale w końcu nie powiedział nic. Pytał tylko, czy mam zdrowe serce, czy dobrze się czułam ostatnio. Może chciał mi dać wskazówkę. Ale dlaczego nie powiedział wprost? Byłoby to o wiele łatwiejsze niż takie krążenie wokół tematu.

– Nie powiedział, bo chciał ci oszczędzić bólu, Caroline.

– Bólu? Ale dlaczego...? Ach tak, rozumiem. Więc przypuszczasz, że...? Mylisz się, Lewis, zapewniam cię, że się mylisz.

Lewis Serrocold wyraźnie unikał spojrzenia żony.

– Nie miej mi tego za złe – powiedziała Carrie Louise po krótkiej chwili milczenia – ale nie mogę uwierzyć, aby te incydenty, jakie miały miejsce ostatnio, były prawdziwe. Atak Edgara na ciebie, Gina i Stephen, te zatrute czekoladki... Nie, to po prostu nie może być prawdą!

Nikt się nie odezwał.

Carrie Louise westchnęła.

– Myślę, że żyłam do tej pory w świecie urojeń – powiedziała. – Wybaczcie mi, ale chciałabym zostać teraz sama. Muszę spróbować zrozumieć to wszystko.

* * *

Panna Marple schodziła ze schodów. Stojący w drzwiach holu Alex Restarick wykonał zapraszający gest.

– Proszę, proszę – powiedział takim tonem, jakby cały hol należał do niego. – Myślałem właśnie o wczorajszym wieczorze.

Lewis Serrocold, który opuścił pokój Carrie Louise chwilę po panie Marple, minął ich, przeszedł przez hol i zamknął się w swym gabinecie.

– Próbuje pan zrekonstruować zbrodnię – zapytała Alexa ze źle ukrywaną ciekawością panna Marple.

– Słucham? – Popatrzył na nią ze zmarszczonym czołem. Potem jednak odprężył się. – Ach, o tym pani myśli. Niezupełnie. Próbuję spojrzeć na całą sprawę z zupełnie odmiennego punktu widzenia. Wyobraziłem sobie, że ten hol jest teatrem. Niech pani podejdzie bliżej i spróbuje spojrzeć na to pomieszczenie oczami widza w teatrze. Światła, wyjścia, wejścia, dramatis personae, odgłosy dobiegające zza kulis. Tak, to bardzo interesujące. Niestety nie jest to

mój własny pomysł. Podsunął mi go inspektor Curry. Ten człowiek lubi się znęcać. Robił wszystko, co w jego mocy, aby napędzić mi stracha.

– I udało mu się?

– Nie jestem pewien – powiedział Alex i podśmiewając się ze zmęczenia posterunkowego Dodgetta, opisał barwnie eksperyment, jaki przeprowadził inspektor. – Odczucie upływającego czasu bywa często bardzo mylące – dodał. – Nieraz człowiekowi wydaje się, że coś trwało bardzo długo, podczas gdy w rzeczywistości była to tylko chwila.

– W istocie – przyznała panna Marple, rozglądając się uważnie po holu i usiłując wczuć się w rolę publiczności w teatrze. Tył sceny stanowiła ściana pokryta tapetą, skryta teraz w półmroku. Po lewej stronie sceny stał fortepian, po prawej znajdowało się okno, obok którego stało krzesło. Drzwi prowadzące do biblioteki były usytuowane właśnie w sąsiedztwie okna. Taboret przy fortepianie był oddalony od drzwi wiodących na korytarz nie więcej niż o dwa metry. Dwa bardzo dogodne wyjścia! Oczywiście publiczność mogła je doskonale widzieć...

Jednak poprzedniego dnia publiczności nie było. Nikt nie spoglądał na scenę, tak jak to teraz czyniła panna Marple. Poprzedniego wieczoru publiczność siedziała plecami do sceny.

Panna Marple zastanawiała się, ile czasu potrzeba, aby wymknąć się z holu, przebiec przez korytarz, zastrzelić Gulbrandsena i wrócić. Pewnie niezbyt wiele. Gdyby to zmierzyć w minutach i sekundach, nie wyszłoby tego dużo.

Co miała na myśli Carrie Louise, mówiąc do męża: „Więc ty przypuszczasz, że...? Mylisz się, Lewisie”.

– Muszę przyznać, że tamto spostrzeżenie inspektora było szalenie trafne – powiedział Alex, wrywając pannę Marple z zamyślenia. – Stwierdził on mianowicie, że dekoracja na scenie jest czymś realnym, wykonanym z drewna i papieru połączonych klejem. Realnym zarówno po stronie pomalowanej, jak i niepomalowanej. Złudzenie, jak to trafnie ujął inspektor, powstaje w oku patrzącego.

– Dokładnie na tym samym polegają sztuczki iluzjonistów – zauważyła panna Marple. – Tylko że oni często posługują się lustrami...

W tym momencie do holu wszedł lekko zdyszany Stephen Restarick.

– Wiesz, Alex – zaczął – ten mały Ernie Gregg... Pamiętasz go może?

– Tak, pamiętam. To ten, który grał w *Dwunastej nocy*, prawda? Chłopak ma talent.

– Tak, na pewno. Ma też bardzo zręczne ręce. Jest doskonałym scenografem. Ale nie o to w tej chwili chodzi. Ten mały powiedział Ginie, że często wymyka się nocą z Instytutu. Twierdzi, że wczoraj wieczorem też wychodził i że coś zobaczył.

– Co zobaczył? – zapytał Alex z ciekawością.

– Nie chce zdradzić. Chociaż mnie się wydaje, że on zmyśla, chcąc zwrócić na siebie uwagę. To urodzony kłamca. Jednak może warto z nim porozmawiać.

– Zostawmy go na razie w spokoju. Niech sobie nie myśli, że udało mu się wzbudzić naszą ciekawość.

– Może masz rację. To do wieczora – rzucił Stephen, kierując się do biblioteki.

Panna Marple, która nadal wczuwała się w rolę publiczności i spacerowała po holu, omal nie wpadła nagle na Alexa.

– Przepraszam pana.

Popatrzył na nią lekko nieprzytomnym wzrokiem.

– To ja przepraszam – rzekł i dodał ze zdumieniem: – Ach, to pani?

Ta ostatnia uwaga wydała się pannie Marple trochę dziwna, jako że przed chwilą ze sobą rozmawiali.

– Zamyśliłem się – powiedział Alex. – Ten Ernie... – Nie dokończył i jakby tknięty nagłą

myślą skierował swe kroki w ślad za Stephenem.

Zza zamkniętych drzwi biblioteki dobiegały odgłosy rozmowy, jednak panna Marple, zajęta własnymi rozważaniami, nie zwracała na nie większej uwagi. Nie interesował jej wszechstronnie utalentowany Ernie ani to, czego był świadkiem czy też twierdził, że był świadkiem. Podejrzewała, że nie widział niczego. Nie wierzyła, aby w tak mglisty, zimny i nieprzyjemny wieczór chciało mu się wymykać z Instytutu i włóczyć po parku. Prawdopodobnie nigdzie nie wychodził. Po prostu błagował i to wszystko. „Zupełnie niczym Johnnie Blackhouse” – pomyślała panna Marple, która zawsze miała na podorędziu spory zapas analogicznych przypadków. Materiału do tych porównań dostarczali jej zwykle mieszkańcy St Mary Mead.

Johnnie Blackhouse, gdy pragnął komuś dokuczyć, zwykł mawiać złośliwie: „Widziałem cię wczoraj wieczorem”. Ta z pozoru niewinna uwaga była zadziwiająco skuteczna. Jakże często ludziom zdarza się przebywać w miejscach, gdzie wcale nie pragną być widziani.

Panna Marple przestała myśleć o Johnnie i skoncentrowała się na tym, co jej powiedział Alex Restarick o swojej rozmowie z inspektorem. Jedna z uwag inspektora podsunęła Alexowi pewien pomysł. Panna Marple nie była całkowicie pewna, czy ona też ma jakiś pomysł. A jeśli tak, to czy taki sam. A może inny?

Stała dokładnie w tym miejscu, w którym uprzednio stał Alex Restarick. „To nie jest rzeczywisty hol” – pomyślała. „To tylko tektura, drewno i płótno. Scenografia”.

Jej myśli krążyły chaotycznie:

„Złudzenie... W oku patrzącego... Posługują się lustrami... Akwarium ze złotymi rybkami... Całe metry kolorowych wstążek... Znikająca dama... Arsenał używany przez iluzjonistów”.

Coś ją wyraźnie nurtowało. Alex powiedział coś takiego... coś jej opisywał... Posterunkowy Dodgett z trudem łapiący oddech, zasapany... Właśnie, zasapany! Oczami wyobraźni panna Marple zobaczyła podobny obraz. I wtedy zrozumiała wszystko.

– Ależ oczywiście! – powiedziała do siebie. – To przecież musiało być właśnie tak.

XVIII

– Och, Wally, ale mnie przestraszyłeś.

Wychodząca z teatru Gina cofnęła się gwałtownie, gdy w ciemności zamajaczyła sylwetka Waltera Hudda.

Nie było jeszcze zupełnie ciemno. W panującym półmroku rzeczywiste kontury przedmiotów uległy zatarciu, przekształcając się w fantastyczne formy, upodabniając się do różnych baśniowych stworów.

– Co ty tu robisz? Zazwyczaj trudno cię spotkać w sąsiedztwie teatru.

– Może szukałem cię. Ciebie można tu spotkać prawie zawsze.

Głos Waltera brzmiał spokojnie i bez nacisku, jednak Gina lekko zadrżała.

– To jest moja praca. Kocham ją. Kocham atmosferą teatru, zapach farby i płótna.

– Tak, zauważyłem, że to dla ciebie wiele znaczy. Powiedz mi, jak długo, według ciebie, będzie się jeszcze ciągnęła ta sprawa morderstwa?

– Jutro ma się odbyć przesłuchanie u koronera. Dalsza rozprawa zostanie odroczone o dwa tygodnie. Tak przynajmniej dał nam do zrozumienia inspektor Curry.

– Dwa tygodnie – powtórzył Walter w zamyśleniu. – Powiedzmy, że trzy. A potem jesteśmy wolni. Ja wracam do Stanów.

– Och! – wykrzyknęła Gina – nie mogę tak nagle rzucić tego wszystkiego i uciec stąd. Nie mogę zostawić babuni. Poza tym przygotowujemy dwa nowe spektakle.

– Nie powiedziałem, że my wracamy do Stanów. Mówiłem tylko, że ja wracam.

Gina przystanęła raptownie i popatrzyła na męża. Gra cieni sprawiła, że Walter jakby nagle urósł. Jego masywna, spokojna sylwetka nagle wydała się Ginie niebezpieczna. Górował nad nią. Groził jej...?

– Czy to znaczy, że nie chcesz, abym pojechała z tobą? – zapytała niepewnie.

– Tego nie powiedziałem.

– Ale jest ci obojętne, czy pojedę czy nie? To masz na myśli? – Czują wzbierający gniew.

– Posłuchaj mnie, Gino. Nadszedł czas, abyśmy powiedzieli sobie otwarcie o pewnych rzeczach. W chwili zawierania małżeństwa nie wiedzieliśmy zbyt wiele o sobie. Nie wiedzieliśmy nic o naszych rodzinach, o naszych środowiskach i tak dalej. Sądziłyśmy, że najważniejsze jest, aby było nam razem dobrze. Ten etap mamy już za sobą. Twoja rodzina nie lubiła mnie i nadal za mną nie przepada. Może mają rację, może nie pasujemy do siebie. Ale jeśli sądzisz, że mam ochotę zostać tutaj i dać się wciągnąć w ten zwariowany interes – tak właśnie oceniam wszystko, co się tutaj wyprawia – to się mylisz. Chcę mieszkać we własnym kraju, wykonywać pracę, którą sam sobie wybrałem i która mi będzie dawała satysfakcję. Chciałbym też, aby moja żona była podobna do tych kobiet, które towarzyszyły dawnym pionierom, gotowe znosić wszelkie trudy, ubóstwo i ciężkie warunki obcego kraju. Może wymagam od ciebie zbyt wiele, ale jestem maksymalistą. Może zbyt cię przynagliłem do tego małżeństwa. Jeśli tak, będzie najlepiej, jeśli uwolnisz się ode mnie i zaczniesz nowe życie. Musisz wybierać. Jeśli zdecydujesz się na któregoś z tych młodych ludzi, którzy mają tyle zrozumienia dla sztuki, to twoja sprawa. Ja wracam do Stanów.

– To świństwo! – zawołała Gina. – Mnie się tu podoba. Uważam, że mieszkanie tutaj jest zabawne.

– Naprawdę? Ja tak nie myślę. Może nawet o tym morderstwie powiesz, że jest zabawne? Gina gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Jak możesz tak mówić? Bardzo lubiłam wuja Christiana. A poza tym czy ty wiesz, że ktoś z premedytacją usiłował otruć babunię? To przecież straszne.

– Przecież powiedziałem, że nie podoba mi się tutaj i dlatego wyjeżdżam.

– Jeżeli ci pozwolą. Czy ty nie zdajesz sobie sprawy, że możesz zostać aresztowany jako podejrzany o zamordowanie wuja Christiana? Wcale mi się nie podoba sposób, w jaki inspektor Curry ci się przygląda. Wygląda zupełnie jak kot czający się na mysz. A wszystko dlatego, że w krytycznym momencie opuściłeś hol, by wymienić bezpieczniki, i że nie jesteś Anglikiem. Jestem przekonana, że będą usiłovali przypisać ci to morderstwo.

– Będą potrzebowali dowodów.

– Walter, boję się o ciebie – wyszeptała Gina.

– Dlaczego? Powiedziałem ci już, nie zrobią mi niczego bez dowodów.

Przez chwilę szli dalej milcząc. W końcu Gina odezwała się:

– Nie wierzę, abyś naprawdę chciał, bym wróciła z tobą do Stanów.

Walter Hudd nie zareagował. Gina przyglądała mu się przez chwilę, aż wreszcie wybuchnęła:

– Nienawidzę cię, nienawidzę! Jesteś wstrętny, okrutny, bezlitosny! Chcesz mnie zostawić po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam! Jest ci zupełnie obojętne, czy mnie jeszcze zobaczysz czy nie. A więc dobrze! Mnie też jest to obojętne. Byłam głupia wychodząc za ciebie. Żądam rozwodu i to jak najprędzej. A potem wyjdę za Stephena albo za Alexa i będę szczęśliwsza, niż kiedykolwiek byłam z tobą. Mam też nadzieję, że po powrocie do Stanów ożenisz się z jakąś okropną dziewczuchą, która zmieni ci życie w piekło!

– Świetnie! – powiedział Walter. – Teraz przynajmniej oboje wiemy, na czym stoimy!

* * *

Panna Marple patrzyła na Ginę i Waltera wracających do domu.

Stała na trawniku, w miejscu gdzie po południu inspektor Curry i posterunkowy Dodgett przeprowadzali swój eksperyment. Głos panny Bellever za jej plecami sprawił, że podskoczyła gwałtownie.

– Przeziębci się pani, panno Marple. Słońce dawno już zaszło.

Posłusznie podreptała za panną Bellever w stronę domu.

– Myślałam o sztuczki iluzjonistów – powiedziała. – Gdy człowiek je ogląda, wydają mu się wręcz nieprawdopodobne, a potem – gdy wiemy już, na czym polega trik – okazują się dziecinnie proste. Chociaż ja do dzisiaj nie potrafię pojąć, w jaki sposób iluzjoniści potrafią wyczarować akwarium ze złotymi rybkami. A czy widziała pani kiedyś sztuczkę z kobietą przeciętą na pół? Pamiętam, że gdy miałam jedenaście lat, bardzo mnie to fascynowało. A potem natknęłam się w gazecie na artykuł, w którym opisywano, na czym ta sztuczka właściwie polega. Sądzę, że gazety nie powinny zdradzać takich rzeczy, to nie jest w porządku, nie uważa pani? Otóż tak naprawdę to nie jest jedna kobieta, lecz dwie! Widać głowę jednej, ale nogi drugiej. Wszyscy są przekonani, że widzą tylko jedną osobę, podczas gdy w rzeczywistości widzą dwie. Ale ten trik może funkcjonować także w drugą stronę, nie uważa pani?

Panna Bellever obrzuciła swoją rozmówczynię zdumionym spojrzeniem. Do tej pory pannie Marple raczej nie zdarzało się mówić od rzeczy. „Widocznie morderstwo i to, co się tutaj dzieje, to zbyt wiele dla biednej starowinki” – pomyślała.

– Kiedy ogląda się rzeczy tylko z jednej strony, dostrzega się tylko jedną stronę – mówiła dalej panna Marple. – Ale kiedy człowiek uświadomi sobie, co jest prawdą, a co złudzeniem, wszystkie elementy zaczynają doskonale pasować do siebie. – Przerwała na chwilę, a potem zapytała zniecka: – Czy Carrie Louise dobrze się czuje?

– Tak – odparła panna Bellever – teraz już dobrze. Musiało być to dla niej ciężkie przeżycie, gdy dowiedziała się, że ktoś chce ją otruć. Zwłaszcza dla niej, która nigdy nie dostrzegła zła i przemocy.

– Carrie Louise często rozumie to, czego inni nie potrafią pojąć – powiedziała powoli

panna Marple. – Zawsze tak było.

– Wiem, co pani ma na myśli. Ale tak naprawdę Cara nie pojmuje rzeczywistości, nie ma z nią żadnego kontaktu.

– Tak pani sądzi?

Panna Bellever była lekko zdumiona.

– Przecież jeszcze nigdy nie spotkałam człowieka, który by rozumiał z rzeczywistości tak niewiele jak Cara.

– A czy nie sądzi pani... – panna Marple urwała w pół zdania, gdyż właśnie mijał je Edgar Lawson. Ukłonił się nieśmiało, odwracając w bok zawstydzoną twarz. – Nareszcie sobie uświadomiłam, kogo on mi przypomina. Pewnego młodego człowieka nazwiskiem Leonard Wylie. Jego ojciec był dentystą. Ale później zestarzał się, pogorszył mu się wzrok, ręce mu drżały, więc ludzie zaczęli chodzić do syna. Stary Wylie był zupełnie załamany stratą swoich pacjentów, mówił, że widocznie jest już całkiem do niczego. Leonard, który miał miękkie serce i nie grzeszył przy tym rozumem, zaczął udawać, że pije. Zawsze czuć było od niego whisky, zachowywał się jak pijany i to w czasie, gdy pacjenci odwiedzali jego gabinet. Myślał, że dzięki temu pacjenci wrócą do jego ojca, uważając, że syn nie jest dobrym dentystą.

– I robili to?

– Oczywiście, że nie. Stało się dokładnie to, co mógł łatwo przewidzieć każdy obdarzony choć odrobiną zdrowego rozsądku. Wszyscy pacjenci poszli do doktora Reilly'ego. Tak, wielu ludzi ma dobre serce, za to ani za grosz rozumu. Poza tym Leonard Wylie bardzo źle grał swoją rolę alkoholika. Jego wyobrażenie o zachowaniu się pijanego wcale nie było zgodne z rzeczywistością. Przesadzał też w szczegółach. Zawsze wylewał zbyt wielkie ilości whisky na ubranie.

Obie damy weszły do domu bocznymi drzwiami.

XIX

Znalazły całą rodzinę zgromadzoną w bibliotece. Atmosfera była wyraźnie napięta.

– Czy coś się stało? – zapytała panna Bellever.

– Ernie Gregg nie pojawił się na wieczornym apelu – odparł krótko Lewis Serrocold.

– Uciekł?

– Tego nie wiem. Maverick i inni właśnie go szukają. Jeżeli go nie znajdą, będziemy zmuszeni zawiadomić policję.

– Babuniu – Gina obdarzyła Carrie Louise spojrzeniem pełnym troski – babuniu, wyglądasz na chorą.

– Jestem bardzo zmartwiona. Biedny, biedny chłopak.

– Miałem zamiar wypytać go, czy rzeczywiście widział coś wczoraj wieczorem – zaczął Lewis. – Mam informację o dobrej posiadzie dla niego, chciałem mu złożyć ofertę, a potem wypytać o tamto... Teraz... – urwał.

– Biedny głuptas – szepnęła panna Marple.

– A więc ty też przypuszczasz, że...? – zapytała cicho pani Serrocold.

Do biblioteki wszedł Stephen Restarick.

– Czekałem na ciebie w teatrze – zwrócił się do Giny. – Mówiłaś, że przyjdiesz. Ale co się tutaj właściwie stało?

Lewis objaśnił mu w krótkich słowach. Nie skończył jeszcze mówić, gdy w bibliotece pojawił się doktor Maverick, prowadząc ze sobą młodego blondynka o podejrzenie anielskiej twarzyczce. Panna Marple przypomniała sobie, że ten właśnie chłopiec jadł z nimi kolację w dniu jej przyjazdu do Stonygates.

– Przeprowadziłem Arthura Jenkinsa – powiedział Maverick. – Zdaje się, że on ostatni rozmawiał z Erniem.

– Posłuchaj, Arthurze – zaczął Lewis Serrocold. – Chciałbym, abyś nam pomógł. Gdzie jest Ernie? Czy to jakiś żart?

– Nie wiem, sir, naprawdę nie wiem. Ernie nic nam nie powiedział. Cały czas był zajęty teatrem. Mówił, że ma nowy pomysł dekoracji i że pani Hudd i pan Stephen będą zachwyceni.

– Ernie twierdził, że wczoraj wieczorem po apelu opuścił budynek Instytutu i przebywał na dworze. Czy to prawda?

– Oczywiście, że nie. Ernie łączy jak z nut. To urodzony kłamca. Zawsze powtarza, że potrafi wyjść, kiedy tylko zechce, że potrafi otworzyć każdy zamek. Ale to nieprawda. Takiemu prawdziwemu zamkowi nie dałby rady. A już z całą pewnością wczoraj wieczorem był w Instytucie. To wiem na pewno.

– Nie mówisz tego wyłącznie po to, abyśmy ci dali spokój?

– Słowo honoru. – Arthur uderzył się z rozmachem w piersi.

Lewis Serrocold nie wyglądał jednak na przekonanego.

– Słuchajcie – odezwał się nagle doktor Maverick – tam chyba coś się stało.

Zza drzwi dobiegł odgłos czyichś pośpiesznych kroków.

W chwilę później drzwi zostały otwarte gwałtownym pchnięciem i do biblioteki wpadł pan Baumgarten. Był bardzo blady i wyglądał jak ktoś ciężko chory.

– Znaleźliśmy ich – wyjąkał. – Znaleźliśmy ich. To okropne... – Opadł na najbliższe krzesło i otarł pot z czoła.

– Co pan wygaduje? Jakich znowu ich? – zapytała ostrym tonem Mildred Strete.

Pan Baumgarten drżał na całym ciełe.

– Za sceną – powiedział. – Głowy mają dosłownie zmiażdżone. Musiała zlecieć ta wielka przeciwwaga. Ernie Gregg i Alex Restarick. Obaj nie żyją.

– Przyniosłam ci filiżankę mocnego bulionu – powiedziała panna Marple. – Proszę, wypij to natychmiast.

Carrie Louise podniosła się na swoim wielkim, dębowym, rzeźbionym łożu. Wyglądała jak małe, chore dziecko. Jej policzki straciły zwykły rumieniec, oczy spoglądały bez wyrazu.

Posłusznie odebrała filiżankę z rąk panny Marple i zaczęła popijać bulion drobnymi łyżkami. Jej przyjaciółka przysiadła na krześle stojącym obok łóżka.

– Najpierw Christian – powiedziała Carrie Louise – a teraz Alex i ten biedny, mały, głupi Ernie. Myślisz, że on naprawdę coś wiedział?

– Nie sądzę – odparła panna Marple. – Kłamał, bo chciał zwrócić na siebie uwagę, poczuć się kimś znaczącym. Dlatego właśnie twierdził, że coś widział. Tragiczne jest natomiast, że ktoś uwierzył w jego kłamstwa.

Carrie Louise zadrżała. Spoglądała przed siebie, jakby starając się dojrzeć coś, co jest bardzo daleko.

– Zamierzaliśmy tyle zrobić dla tych chłopców... i naprawdę robiliśmy. Wielu z nich wyszło na ludzi. Mają teraz odpowiedzialne stanowiska. Naturalnie były też wypadki recydywy. Tego nie da się nigdy uniknąć. Warunki, jakie stwarza współczesna cywilizacja, są zbyt skomplikowane dla tych prostych i często niedojrzałych charakterów. Słyszałaś może o wielkim planie Lewisa? Otóż zawsze był on zdania, że dawnymi czasy zesłanie uratowało wielu ludzi przed całkowitym stoczeniem się na drogę przestępstwa. Wysyłani za morze złoczyńcy zaczynali w prymitywnych warunkach zesłania zupełnie nowe życie. Lewis pragnął nadać tej idei bardziej współczesną formę. Planował nabycie wielkiej posiadłości ziemskiej, może nawet wyspy, i stworzenie tam kolonii, która by się sama utrzymywała. Miało to być miejsce oddalone od cywilizacji, aby uchronić jego mieszkańców przed pokusą ucieczki do miasta i powrotem do dawnego trybu życia. Stworzenie takiej kolonii jest marzeniem Lewisa, ale zrealizowanie podobnych planów wymaga oczywiście ogromnych nakładów finansowych. Niestety, w dzisiejszych czasach niewielu jest filantropów – wizjonerów. Potrzebujemy drugiego Erica. O, Eric z pewnością odniósłby się do tego planu z entuzjazmem.

Panna Marple wzięła do ręki małe nożyczki i obejrzała je uważnie.

– Co za dziwne nożyczki – powiedziała – z dwoma otworami na palce po jednej stronie i z drugim po przeciwnej.

Carrie Louise drgnęła, jakby nagle przywołana do rzeczywistości. Jej wzrok przestał błądzić gdzieś w dali.

– Alex ofiarował mi je dzisiaj rano. Powiedział, że będzie mi teraz łatwiej obcinać paznokcie u prawej ręki. Kochany chłopiec, był taki zachwycony tymi nożyczkami. Nie dał mi spokoju, dopóki ich natychmiast nie wypróbowałam.

– Następnie zebrał starannie wszystkie obcięte paznokcie i zabrał je ze sobą – uzupełniła panna Marple.

– Tak, on... – zaczęła Carrie Louise i urwała nagle. – Skąd wiedziałaś, Jane?

– Myślałam o Alexie. Miał głowę nie od parady.

– Czy sądzisz... Czy sądzisz, że właśnie dlatego zginął?

– Przypuszczam, że tak.

– On i Ernie. Okropne. Kiedy to się stało?

– Prawdopodobnie dzisiaj wieczorem między szóstą a siódmą.

– Po tym jak skończyli pracę na dzisiaj?

– Tak.

„Gina była w teatrze tego wieczoru, Walter Hudd był w teatrze. Stephen Restarick także. Mówił przecież, że poszedł tam po Ginę. Każdy mógł więc...” – tok myśli panny Marple został nagle zmacony, gdyż Carrie Louise zapytała nieoczekiwanie:

– Ile ty wiesz, Jane?

Spojrzenia obu przyjaciółek się skrzyżowały.

– Gdybym tylko mogła uzyskać całkowitą pewność... – powiedziała powoli panna Marple.

– Sądzę, że jesteś całkowicie pewna, Jane.

– Co chcesz, abym zrobiła? – zapytała panna Marple z ociąganiem.

Carrie Louise opadła na poduszki.

– Wszystko jest teraz w twoich rękach, Jane. Rób to, co uważasz za słuszne.

Zamknęła oczy.

– Jutro... – zaczęła niepewnie panna Marple – będę musiała porozmawiać z inspektorem Currym. O ile oczywiście zechce mnie wysłuchać.

XXI

– Tak, panno Marple? – powiedział inspektor Curry z lekkim zniecierpliwieniem.

– Czy moglibyśmy udać się do holu?

Inspektor popatrzył ze zdumieniem.

– Chodzi pani o rozmowę w cztery oczy? Ale przecież tutaj... – Rozejrzał się po gabinecie.

– Nie chodzi mi o rozmowę w cztery oczy. Przede wszystkim chciałam panu coś pokazać. Coś, na co zwrócił mi uwagę Alex Restarick.

Inspektor stłumił westchnienie. Wstał i pośpieszył za panną Marple.

– Czy ktoś pani coś powiedział? – zapytał z wyraźną nadzieją w głosie.

– Nie – odparła. – Nie chodzi mi o to, co ktoś powiedział. Sprawa dotyczy raczej pokazów sztuk magicznych. Iluzjoniści często posługują się lustrami i innymi rekwizytami. Nie wiem, czy pan mnie dobrze rozumie?

Inspektor Curry nie rozumiał. Spoglądał na pannę Marple i zastanawiał się, czy przypadkiem nie zwariowała.

Panna Marple stanęła na samym środku holu i gestem wskazała mu miejsce obok siebie.

– Niech pan sobie wyobrazi, że to jest scena teatru, panie inspektorze. Rzecz dzieje się tego samego wieczoru, kiedy został zamordowany Christian Gulbrandsen. Pan siedzi na widowni i obserwuje osoby znajdujące się na scenie: panią Serrocol, panią Strete, Ginę, mnie i Stephena Restaricka. Podobnie jak na prawdziwej scenie, mamy tutaj różne drzwi, przez które przechodzą aktorzy udający się tu czy tam. Gdy jednak siedzi pan na widowni, nie zastanawia się pan wcale nad tym, dokąd oni naprawdę idą. To znaczy, aktor wypowiada kwestię, że idzie „do kuchni” albo „do ogrodu”, otwiera drzwi i wychodzi, a publiczność widzi za drzwiami fragment odpowiednio pomalowanego tła. W rzeczywistości jednak aktor idzie za kulisy, gdzie siedzą elektrycy i inni pracownicy techniczni, gdzie pozostali aktorzy czekają na swoje wejście. Innymi słowy, aktor schodzący ze sceny przechodzi w zupełnie inny świat.

– Przyznaję, że niezupełnie panią rozumiem, panno Marple.

– Och, ja wiem, że tłumaczę to tak nieporadnie. Proszę po prostu potraktować wydarzenia, jakie się tu rozegrały, jak sztukę teatralną, a hol Stonygates jak scenę. Co właściwie znajduje się za sceną, za kulisami? Taras, prawda? Taras, na który wychodzą okna poszczególnych pomieszczeń. Teraz już widzi pan, w jaki sposób dokonano całej sztuczki? Na rozwiązanie naprowadził mnie stary trik z kobietą przeciętą na pół.

– Z kobietą przeciętą na pół? – powtórzył inspektor. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości co do stanu umysłu panny Marple.

– Tak, to taka fascynująca sztuczka. Z pewnością musiał ją pan kiedyś widzieć. W rzeczywistości nie jest to wcale jedna kobieta, tylko dwie. Głowa należy do jednej, a nogi do drugiej. Całość wygląda tak, jakby to była jedna osoba, tymczasem są to dwie osoby. Pomyślałam sobie, że to może działać i w drugą stronę. Dwie osoby mogą się w rzeczywistości okazać jedną!

– Dwie osoby mogą się w rzeczywistości okazać jedną? – powtórzył inspektor Curry bezradnie. Na jego twarzy malował się wyraz desperacji.

– Dokładnie tak. Oczywiście nie na długo. Ile czasu potrzebował pański sierżant, aby przebiec z parku do domu i wrócić? Dwie minuty i czterdzieści pięć sekund? W rzeczywistości nie trwało to nawet dwóch minut.

– Co nie trwało nawet dwóch minut?

– Zwodniczy trik. Trik, w którym wystąpiło nie dwóch aktorów, lecz jeden. Tam obok, w gabinecie. Z widowni widoczna jest tylko przednia część sceny. Za sceną znajduje się taras

z rzędem okien. Cóż prostszego dla jednej z dwóch osób znajdujących się w gabinecie, jak otworzyć okno, przebiec przez taras (te właśnie kroki słyszał Alex Restarick), wejść do domu bocznymi drzwiami, zastrzelić Christiana Gulbrandsena i wrócić? W tym samym czasie osoba pozostająca w gabinecie prowadzi głośną rozmowę, używając na przemian to swojego głosu, to naśladowując głos współnika. Wobec czego wszyscy są przekonani, że w gabinecie przebywają razem. Bo naprawdę przez większość czasu były tam dwie osoby, wyjąwszy ten krótki okres około dwóch minut.

Inspektor Curry po krótkiej chwili odzyskał zdolność mówienia.

– Czy pani sugeruje, że to Edgar Lawson zastrzelił Gulbrandsena i usiłował otruć panią Serrocold?!

– Nie, panie inspektorze. Naprawdę to nikt nie usiłował otruć pani Serrocold! To był fałszywy trop. Morderca wykorzystał fakt, że objawy zapalenia stawów są podobne do objawów zatrucia arsenikiem. Znowu stary trik iluzjonistów, którzy celowo kierują naszą uwagę na tę, a nie na inną kartę. To było proste. Dosypać trochę arseniku do butelki ze środkiem na wzmocnienie i dodać kilka linijek do tkwiącego w maszynie listu. Prawdziwym powodem, dla którego pan Gulbrandsen przyjechał do Stonygates, był ten najbardziej prawdopodobny: Fundacja Gulbrandsena. Chodziło oczywiście o pieniądze. Załóżmy, że dokonywano tu nadużyć finansowych, nadużyć na wielką skalę. Kto mógł tego dokonać? Tylko jedna osoba...

Inspektor Curry otworzył szeroko usta.

– Lewis Serrocold? – wyszeptał tonem pełnym zdumienia.

– Lewis Serrocold – powtórzyła panna Marple.

XXII

Wyjątek z listu Giny Hudd do ciotki:

... i wiedz, droga ciociu Ruth, to był prawdziwy koszmar, zwłaszcza pod sam koniec. Pisałam ci już o tym głupim Edgarze Lawsonie? Zawsze był tchórzliwy niczym królik i gdy inspektor zaczął go przesłuchiwać, załamał się zupełnie i stracił panowanie nad sobą. Wskoczył przez okno i zaczął uciekać. Biegł jak szalony podjazdem, a gdy stojący tam policjant usiłował zastąpić mu drogę, zawrócił pędem w stronę stawu. Wskoczył do starego, zupełnie już spróchniałego czółna i odbił od brzegu. Oczywiście to było zupełnie bez sensu, ale jak już mówiłam, Edgar zupełnie stracił głowę. Lewis krzyknął okropnym głosem: „Przecież to czółno jest spróchniałe!” i też tam pobiegł. Parę metrów od brzegu czółno zaczęło tonąć i Edgar, który nie umiał pływać, pogrążył się w wodzie. Lewis wskoczył do jeziora i zaczął płynąć w jego stronę. Dopłynął, ale wtedy obaj znaleźli się w niebezpieczeństwie, gdyż zaplątali się w sitowie. Jeden z policjantów obwiązał się liną i wszedł do wody, ale też się zaplątał i trzeba go było wyciągać. Ciotka Mildred powtarzała jak katarynka: „Przecież oni się utopią, przecież oni się utopią”. A babunia powiedziała po prostu: „Tak”. Nie potrafię Ci nawet opisać, jak ona to powiedziała! Jedno, jedyne słowo TAK, a przesywało człowieka niczym miecz.

Czy to, co piszę, brzmi głupio i melodramatycznie? Być może, ale tak to właśnie wyglądało.

A później, gdy było już po wszystkim...

Obu wyciągnięto na brzeg, zastosowano sztuczne oddychanie (które nic nie pomogło) i inspektor powiedział do babuni: „Obawiam się, pani Serrocold, że nie ma już żadnej nadziei”. Zaś babunia odpowiedziała zupełnie spokojnym tonem: „Dziękuję panu, panie inspektorze”. I popatrzyła na nas wszystkich. Tak bardzo chciałam jej przyjść z pomocą, ale zupełnie nie wiedziałam jak. Jolly miała minę ponurą i zdesperowaną, też nie wiedziała, co mogłaby zrobić. Stephen wyciągnął do babuni obie ręce. Ta cudowna, staroświecka panna Marple wyglądała na zmęczoną i smutną. Nawet Walter był przejęty. Wszyscy tak bardzo ją kochamy i wszyscy chcieliśmy COŚ dla niej uczynić.

Ale babunia powiedziała tylko: „Mildred”, a ciotka Mildred powiedziała: „Mamo”. I poszły obie do domu. Babunia, taka krucha i delikatna, wsparta na ramieniu ciotki Mildred. Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo się obie kochają. Nigdy dotychczas nie okazywały tego, ale ta miłość zawsze była między nimi.

Gina przez chwilę ssała koniec pióra. Potem dopisała jeszcze:

Co się tyczy Waltera i mnie, to wracamy do Stanów, kiedy to tylko będzie możliwe.

XXIII

– Jak do tego doszłaś, Jane?

Panna Marple chwilę zwlekała z odpowiedzią. W zamyśleniu przyglądała się swoim rozmówcom – Carrie Louise, wyglądającej jeszcze bardziej krucho i bezbrinnie niż zwykle, a jednocześnie jakby zupełnie nieporuszonej tym, co się wydarzyło, oraz doktorowi Galbraithowi, biskupowi Cromer, starszemu mężczyźnie o bujnej, zupełnie białej czuprynie i łagodnym uśmiechu.

Biskup ujął Carrie Louise za rękę.

– Musiał to być dla ciebie wielki ból, moje drogie dziecko.

I ogromny szok.

– Ból tak, ale szok właściwie nie.

– Otóż to – potwierdziła panna Marple. – I to właśnie skierowało mnie na właściwy trop.

Wszyscy uparcie powtarzali, że Carrie Louise żyje w świecie złudzeń i iluzji, że nie pojmuje otaczającej ją rzeczywistości. Prawda natomiast jest taka, że ty, droga Carrie Louise, doskonale pojmujesz rzeczywistość i nie dajesz się omamić złudzeniom, jak to czyni większość z nas. Gdy to sobie uświadomiłam, wiedziałam już, że punktem wyjścia dla mnie musi być to, co ty myślisz i czujesz. Byłaś zupełnie pewna, że nikt nie próbuje cię otruć. I miałaś zupełną rację, nie wierząc w to. Nigdy nie wierzyłaś, by Edgar mógł wyrządzić krzywdę Lewisowi. I znowu miałaś rację. Byłaś przekonana, że Gina naprawdę kocha tylko swojego męża. Nie myliłaś się. Gdy zaczęłam myśleć twoimi kategoriami, musiałam przyjąć, że wszystko, co odbieraliśmy jako rzeczywistość, było tylko złudzeniem, iluzją mającą służyć bardzo konkretnemu celowi. W podobny sposób iluzjoniści posługują się różnymi trikami, aby odwrócić uwagę widzów. W tym wypadku widzami byliśmy my wszyscy.

Alex Restarick domyślił się prawdy, gdyż miał możliwość popatrzeć na całą tę historię z odmiennego punktu widzenia, mianowicie z zewnątrz. Gdy stał z inspektorem na podjeździe i spoglądał w stronę domu, spostrzegł, jaką możliwość stwarzają okna wychodzące na taras. Przypomniał sobie, że przecież tamtego wieczoru słyszał czyjeś kroki. Jednocześnie eksperyment z biegnącym posterunkowym Dodgettem pozwolił mu uświadomić sobie, że często jakies wydarzenie zajmuje naprawdę niewiele czasu, choć nam może się wydawać, że trwało znacznie dłużej. Zastanawiając się nad tym, przypomniałam sobie, że Alex mówił, iż posterunkowy był bardzo zdyszany. Lewis Serrocold otwierając tamtego wieczoru drzwi swojego gabinetu też był zasapany. Bo właśnie przed chwilą biegł...

Ale najważniejszym punktem zaczepienia była dla mnie osoba Edgara Lawsons. Zawsze miałam wrażenie, że w jego przypadku coś się nie zgadza. Wszystko, co mówił i robił, odpowiadało temu, czego się po nim spodziewano, a jednak w jakiś sposób nie był prawdziwy. Bo w rzeczywistości był zupełnie normalnym młodym człowiekiem, który tylko udawał schizofrenika i trochę – jak to się często zdarza – przesadził w odgrywaniu swojej roli. Był zbyt teatralny.

Całość była dokładnie przemyślana i starannie zaplanowana. Lewis musiał się domyślać, że podczas swojej ostatniej wizyty Christian Gulbrandsen nabrał pewnych podejrzeń. A znał go na tyle dobrze, aby wiedzieć, że ów nie spocznie tak długo, dopóki się nie upewni, czy jego podejrzania są usprawiedliwione, czy nie.

– Tak, Christian był dokładnie taki, jak mówisz – wtrąciła Carrie Louise. – Był powolny i pedantyczny, ale bardzo dociekliwy. Nie wiem, co mogło wzbudzić jego podejrzania. Ale natychmiast zaczął badać całą sprawę i najwidoczniej doszedł prawdy.

– Mam wyrzuty sumienia – odezwał się biskup – że nie dosyć dokładnie wypełniałem swoje obowiązki kuratora.

– Nikt od księdza nie oczekiwał, że będzie się ksiądz znał na finansach. To była domena zmarłego pana Gilfoya – odparła Carrie Louise. – Ale po jego śmierci Lewis, dzięki swojemu doświadczeniu, stanął na czele kuratorium i to uderzyło mu do głowy. – Jej blade policzki poróżwiały nagle. – Lewis był naprawdę wielkim człowiekiem. Był prawdziwym wizjonerem i wierzył, że swoje wielkie idee mógłby urzeczywistnić dzięki pieniądзом. Nie pożywał pieniędzy dla nich samych – nie był chciwy w potocznym znaczeniu tego słowa. Pragnął poczucia potęgi i mocy, jakie daje posiadanie pieniędzy, pragnął wydawać je, by czynić dobro...

– Chciał być Bogiem – dodał doktor Galbraith. Jego głos brzmiał bardzo poważnie. – Zapomniał, że człowiek jest jedynie skromnym narzędziem w rękach Stwórcy.

– A więc udowodniono, że sprzeniewierzył majątek Fundacji? – zapytała panna Marple.

– Nie tylko to – odparł biskup z ociąganiem.

– Niech ksiądz wszystko opowie. Jane to moja przyjaciółka – powiedziała Carrie Louise.

– Lewis Serrocold był swego rodzaju geniuszem finansowym – rozpoczął biskup. – Już w młodości opracował różne metody popełniania nadużyć finansowych, praktycznie nie do udowodnienia. Wówczas nie robił z nich żadnego użytku, traktując swoje zainteresowania jako czysto akademickie studia. Ale później, gdy już poznał, ile możliwości daje człowiekowi posiadanie wielkich sum pieniędzy, przeszedł od teorii do praktyki. Do dyspozycji miał świetny materiał. Spośród wychowanków Instytutu dobrał sobie małą grupkę pomocników. Wszyscy mieli instynkty przestępcze, lubili hazard i przygodę i byli inteligentni. Nie zbadaliśmy jeszcze tego dokładnie, jedno jest już pewne: ta mała grupka wybrańców otrzymywała od Lewisa zupełnie specyficzny rodzaj wykształcenia. Potem chłopcy, dzięki poparciu Lewisa, byli zatrudniani w różnych przedsiębiorstwach. Działając według jego wskazówek, fałszowali księgi, defraudując spore sumy. Słyszałem, że było to tak skomplikowane, że fachowcy będą się teraz biedzić całymi miesiącami, zanim to wszystko rozwikłają. W każdym razie Lewis nagromadził w różnych bankach i oczywiście na różne nazwiska ogromne kwoty. Mógłby nawet urzeczywistnić swój plan stworzenia zamorskiej kolonii dla młodocianych kryminalistów.

– To było jego marzenie, które tylko w ten sposób mogło przeistoczyć się w rzeczywistość – powiedziała Carrie Louise.

– Tak, mogło. Ale Lewis Serrocold posłużył się nieuczciwymi metodami i Christian Gulbrandsen to odkrył. Był wstrząśnięty, zwłaszcza gdy sobie uświadomił, co by oznaczało dla ciebie, droga Carrie Louise, ujawnienie tych faktów i późniejsze śledztwo.

– Dlatego pytał mnie, czy mam zdrowe serce i zdawał się poruszony moim stanem zdrowia. Nie mogłam tego zrozumieć.

– Gdy Lewis wrócił z Liverpoolu, Christian spotkał się z nim przed domem i powiedział mu, że wie o wszystkim. Lewis przyjął to zupełnie spokojnie. Obaj zgodnie postanowili, że przede wszystkim trzeba oszczędzić Carrie Louise. Christian oznajmił, że napisze do mnie, abym jako kurator Instytutu przyjechał przedyskutować z nimi całą sprawę.

– Oczywiście Lewis Serrocold już od dłuższego czasu był przygotowany na możliwość wykrycia jego oszustw – wtrąciła panna Marple. – Wszystko sobie dokładnie zaplanował. Dlatego ściągnął do Stonygates tego młodego człowieka, który grał rolę Edgara Lawsons. Oczywiście Edgar Lawson to postać autentyczna, jego rejestry rzeczywiście są w rękach policji. Fałszywy Edgar dokładnie wiedział, co ma robić, aby zapewnić Lewisowi alibi na krytyczny czas – miał odegrać rolę schizofrenika, ofiarę manii prześladowczej. Także kolejny krok był z góry zaplanowany. Przecież tylko od Lewisa wiemy, czego dotyczyła jego rozmowa z Christianem Gulbrandsenem. Potem wystarczyło tylko dopisać kilka linijek do tkwiącego w maszynie listu; Lewis uczynił to, czekając na przybycie policji. Dodanie arszeniku do mikstury wzmacniającej też nie było żadną sztuką. Tobie, Carrie Louise, nie groziło najmniejsze nawet

niebezpieczeństwo. Lewis czuwał, abyś nie zażyła lekarstwa. Dodatkowym punktem były czekoladki, które oczywiście początkowo wcale nie zawierały trucizny. Lewis zastąpił kilka dobrych czekoladek zatrutymi dopiero w momencie przekazywania ich inspektorowi Curry'emu.

– Alex odgadł to wszystko – zauważyła Carrie Louise.

– Tak. Dlatego zebrał starannie twoje obcięte paznokcie. Badając je, można było stwierdzić, czy rzeczywiście od dłuższego czasu przyjmowałaś arsenik.

– Biedny Alex. I biedny Ernie.

W ciszy, jaka teraz nastąpiła, wszyscy pomyśleli o Christianie Gulbrandsenie, Alexie Restaricku i młodym Erniem, a także o tym, jak szybko morderstwo potrafi zdeprawować człowieka.

– Jednak Lewis sporo ryzykował, czyniąc z Edgara swojego współnika – zauważył biskup. – Nawet jeśli miał nad nim taką władzę.

Carrie Louise potrząsnęła głową.

– To nie była kwestia władzy. Edgar był bardzo przywiązany do Lewisa.

– Tak – powiedziała panna Marple – zupełnie niczym Leonard Wylie do swojego ojca.

Często zastanawiałam się... – Zrobiła taktowną pauzę.

– Przypuszczam, że rzuciło ci się w oczy podobieństwo – powiedziała Carrie Louise.

– Wiedziałaś przez cały czas?

– Domyśliłam się. Wiedziałam, że Lewis miał *liaison* z pewną aktorką, w czasach kiedy jeszcze nie znaliśmy się. Sam mi o tym opowiadał. Nie było to nic poważnego, ta kobieta była zwykłą poszukiwaczką przygód i nie zależało jej specjalnie na Lewisie. Ale jestem przekonana, że Edgar był jego synem.

– Tak – potwierdziła panna Marple – to wszystko tłumaczy.

– I na koniec oddał za niego swoje życie – powiedziała Carrie Louise, patrząc błagalnie na biskupa. – Bo przecież uczynił to. Cieszę się, że taki właśnie był jego koniec. Ofiarował swoje życie w nadziei, że ocali życie syna. Ludzie, którzy potrafią być bardzo dobrzy, potrafią być jednocześnie bardzo źli. Zawsze wiedziałam, że ta prawda dotyczy także Lewisa. Ale on kochał mnie i ja także go kochałam.

– Czy ty... Czy ty podejrzewałaś go od samego początku?

– Nie. Zmyliła mnie ta historia z arsenikiem. Wiedziałam, że Lewis nigdy by tego nie zrobił, a z listu Christiana wynikało zupełnie jednoznacznie, że ktoś usiłuje mnie otruć. Czułam się zagubiona, doszłam do wniosku, że wszystko, co sądziłam dotychczas o ludziach, musi być błędne.

– Ale gdy zginęli Alex i Ernie, zaczęłaś już podejrzewać?

– Tak. Byłam pewna, że nikt oprócz Lewisa nie odważyłby się tego zrobić. Zaczęłam się obawiać, do czego jeszcze mógłby się posunąć. – Carrie Louise zadrżała. – Podziwiałam Lewisa. Podziwiałam jego... jak mam to nazwać... dobroć, tak, jego dobroć. Ale wiem, że gdy ktoś jest dobry, powinien także być pokorny.

Doktor Galbraith powiedział miękko:

– I to jest właśnie ta cecha, którą zawsze podziwiałem w tobie, droga Carrie Louise. Jesteś dobra i pokorna jednocześnie.

Carrie Louise otworzyła szeroko swoje niebieskie niewinne oczy.

– Ależ ja nie jestem ani specjalnie mądra, ani dobra. Jedyne, co potrafię, to dostrzegać dobroć innych ludzi.

– Droga Carrie Louise – powiedziała panna Marple.

Epilog

– Myślę, że babuni doskonale się ułoży z ciotką Mildred – powiedziała Gina. – Ona nie sprawia już wrażenia takiej... jak mam to powiedzieć... takiej dziwnej, rozumie pani.

– Tak, rozumiem – potwierdziła panna Marple.

– Wally i ja za dwa tygodnie wracamy do Stanów. – Gina popatrzyła z ukosa na męża. – Postaram się zapomnieć o Stonygates, o Włoszech, o mojej młodości i przekształcę się w stuprocentową Amerykankę. Nasz pierwszy syn będzie się nazywał Walter Junior. Jaśniej już nie mogę się wyrazić, prawda, Wally?

– Z pewnością, Kasiu – powiedziała panna Marple.

Walter Hudd z pobłażaniem uśmiechnął się do starszej damy i poprawił łagodnie:

– Gina, nie Kasia.

Ale Gina roześmiała się.

– Panna Marple doskonale wie, co mówi. Lada moment nazwie cię Petruchem.

– Myślę – powiedziała panna Marple, zwracając się do Waltera – że działałeś bardzo mądrze, mój drogi chłopcze.

– Słowem, jesteś dla mnie wymarzonym mężem – uzupełniła Gina.

Panna Marple spoglądała to na jedno, to na drugie. „Jak to miło – pomyślała – mieć przed sobą parę młodych, tak bardzo w sobie zakochanych ludzi. I Walter Hudd jest taki odmieniony. W niczym nie przypomina tamtego ponuraka, którego spotkałam tu pierwszego dnia”.

– Wy dwoje – zaczęła – przypominacie mi...

Ale Gina zerwała się ze swojego miejsca i łagodnym, lecz zdecydowanym ruchem położyła jej dłoń na ustach.

– Nie! – zawołała. – Niech pani nic nie mówi. Boję się tych pani porównań. Zawsze tkwi w nich jakieś ukryte żądło. Pani jest prawdziwą wiedźmą, panno Marple.

Zamyśliła się.

– Kiedy pomyślę, że pani, ciotka Ruth i babunia byłyście kiedyś młode... Jakie mogłyście wtedy być? Jakoś zupełnie nie potrafię sobie tego wyobrazić.

– Nie przypuszczam, abyś potrafiła – skwitowała panna Marple. – To było tak dawno temu.

KONIEC